

JAN SZELC



między pracą



a przygodą



WSPOMNIENIA



MIEDZY PRACĄ A PRZYKODĄ  
PASJE

Wspomnienia nauczycieli

Maryli i Słazkowi Ostowski  
z weselem biśmiedzkim (str. 84)  
i wyrażeniem "Których godów"  
Drelec. 12.08.93





JAN SZELC

**MIĘDZY PRACĄ A PRZYGODĄ**  
**PASJE**

Wspomnienia nauczyciela

Rodzaj napisu

Nabłędem autora

Warszawa 1973



JAN SZELC

# MIĘDZY PRACĄ A PRZYGODĄ PASJE

Wspomnienia nauczyciela

Rodzinie mojej poświęcam

Nakładem autora  
Sanok 1993

Copyright by Jan Szelc, Sanok 1993

Okladkę projektował:  
Zdzisław Pękalski

Autorzy fotografii: nr 2,3 - J. Głowa, 4a, 4b - Z. Weber, 5a, 5b, 5c, 5d -  
F. Starakiewicz, 11, 12, 13 - W. Rychlicki, 21,22 - Z. Głowacki, 24, 25, 28, 37,  
41, 42 - W. Kirszner, 52 - J. Kwaśniewicz. Pozostałych: Jan Szelc

Wydanie II rozszerzone

Nakład 100 egz.

Skład komputerowy i redakcja techniczna

Wydawnictwo Exodus

Sanok, Kochanowskiego 11/4 tel.35114

Druk

Zakład Poligraficzny - Drukarnia - Elżbieta Czerwińska.

Sanok, Mickiewicza 5/1

## WSTĘP

Bieszczady - kraina znana dziś niemal w całej Polsce - dzięki energii elektrycznej z dwóch elektrowni wodnych i stosunkowo gęstej sieci dróg asfaltowych przestały być najbardziej zacofanym zakątkiem kraju. Swoją urodą, mniej skażonym powietrzem i osobliwościami przyrody przyciągają licznych turystów, poszukiwaczy szczęścia, a przede wszystkim ludzi czynu. Niektórych z nich nazywa się "zakapiorami".

Kilkuletnie krwawe walki w Bieszczadach przyniosły olbrzymie zniszczenia. Z liczby 160 wsi powiatu leskiego - spłonęło, wymordowano i rozproszono większość, tak, że niewiele ponad 30 pozostało i to w mniejszym lub większym stopniu zniszczonych.

Duże straty poniosło szkolnictwo powszechne powiatu zwłaszcza w bazie materialnej. W okresie okupacji i w czasie walk z UPA uległo całkowitemu lub częściowemu zniszczeniu 80% szkół i znaczna ilość sprzętu. Wielu nauczycieli opuściło swoje placówki w Bieszczadach przenosząc się do innych powiatów.

Mimo tak ogromnych zniszczeń wspólny wysiłek władz powiatowych i nauczycielstwa przy pomocy społeczeństwa, a niejednokrotnie i wojska spowodowały, że proces rozwoju szkolnictwa od roku 1947 zaczął nabierać tempa i z dniem 1 września 1950 roku rozpoczęto naukę w 46 szkołach.

W latach pięćdziesiątych weszły do realizacji wcześniej zaplanowane inwestycje szkolne, co jeszcze bardziej przyśpieszyło rozwój sieci szkolnej oraz poprawiło sytuację mieszkaniową nauczycieli w powiecie. Do realizacji tych inwestycji w znacznym stopniu przyczynił się ówczesny, niemal legendarny inspektor oświaty Jan Maciela.

Życie nauczycieli na wsi bieszczadzkiej, oddalonej od najbliższego miasta o dziesiątki kilometrów, pozbawione często łączności ze "światem" nie było łatwe. Rzadka sieć placówek handlowych, nie najlepsze zaopatrzenie, czasem brak mieszkania w szkole uzależniły nauczyciela od wsi, a odcięcie od wszelkich ośrodków kultury, brak radia, trudności z nabyciem pracy nie zachęcały do trwałego wiązania się z tym terenem. Mimo to część nauczycieli adaptowała się do surowych warunków życia, zakładała rodziny i pozostawała tu na dłużej albo na stałe.

Niemalą rolę spełniały w tym względzie władze szkolne i związkowe, które w trosce o nauczycieli docierały (nie raz z bochenkiem chleba) do najbardziej odległych placówek.

Pionierskie warunki życia i pracy wytworzyły specyficzną więź i solidarność wśród nauczycieli oraz między nauczycielstwem i władzami oświatowymi. Ułatwiły one przetrwanie pierwszego, najtrudniejszego etapu odradzania się życia i odbudowy szkolnictwa w Bieszczadach.

Nauczyciele w większych miejscowościach, położonych przy liniach kolejowych lub drogach głównych mieli lepsze warunki egzystencji i bardziej ułatwioną adaptację do pełnienia swojego zawodu w odmiennym środowisku bieszczadzkiem.

W wydaniu pierwszym treść wspomnień potraktowałem bardziej wybiórczo, koncentrując się głównie na pracy w szkole (i to w formie niemal kronikarskiej), mniej na charakterach ludzkich i przygodzie.

Ponieważ czytelnicy podobnie jak ja, odczuli niedosyt, wydanie drugie postanowiłem znacznie rozszerzyć o ciekawe wydarzenia i przygody, sylwetki interesujących ludzi, twórców i pionierów bieszczadzkich. Oprócz tego wprowadziłem więcej humoru i wątki z życia rodzinnego oraz znacznie więcej zdjęć.

Pominałem lub znacznie uprościłem sprawy trudne, bolesne, ludzkie błędy i ułomności. Uczyniłem tak dlatego, żeby nie łamać konwencji książki i zaoszczędzić czytelnikom tego, co niesie im codzienne, nieraz brutalne życie.

Przy okazji składam serdeczne podziękowanie za życzliwą i skuteczną dla mnie współpracę w zakresie fotografii kol. Aleksandrowi Szubie oraz Jerzemu Strachockiemu z Sanoka.

Uwaga:

Dane dotyczące powiatu leskiego pochodzą z mojej pracy dyplomowej "Odbudowa i rozbudowa szkolnictwa w powiecie leskim w latach 1944 - 1950".





## Decyzja

Jako absolwent Liceum Pedagogicznego w Krośnie w roku 1954 stanąłem przed alternatywą: "wschód" albo "zachód". Przez "wschód" rozumiało się powiaty leski i ustrzycki, a przez "zachód" - województwa zachodnie, przeważnie opolskie i wrocławskie. Odważniejsi, nie bojący się ryzyka postawili na "zachód". Inni, szczególnie mocniej związani z rodzinami i liczący na ich pomoc wybrali "wschód". Leżał bliżej, jakby "za miedzą", chociaż okryty był jakąś dziwną tajemnicą, a wieści stamtąd napawały kiedyś grozą.

Należałem do drugich i wybrałem powiat leski. Świadomość częstego kontaktu z domem rodzinnym była pokrzepiająca. Jednocześnie patrzyłem z podziwem na kolegę Józka Białasa, gdy stanąwszy przed mapą Polski nakrył dłonią duży czworobok Wrocławia i zawołał:

- Koledzy, to miasto będzie moje!

Ale Józek znany był w szkole z odwagi i podejmowania śmiałych decyzji. Oceny własnego wyboru dokonałem po latach.

## Wgórowstąpienie

W dniu 1 września 1954 roku wysiadłem z ciężką walizką w rękę i nakazem pracy w kieszeni z autobusu na przystanku PKS w Hoczwi. Razem ze mną wysiadł kolega z ławyszkolnej Janek Józefczyk, który także wybrał powiat leski tylko, że on miał objąć posadę w Berezce, a ja w Woli Matiaszowej, wsi położonej o 2 km dalej. Do Berezki nie jeździły autobusy, więc zaczęliśmy się rozglądać za "okazją". Niedaleko skrzyżowania dróg ujrzałem wóz konny ustawiony tak, jakby miał jechać w pożądanym przez nas kierunku. Woźnica o smagłej, opalonej twarzy i kruczych włosach zagadnięty przeze mnie skinął przychylnie głową i po chwili obydwaj ze swoim dobytkiem siedzieliśmy na wozie.

Jechaliśmy w milczeniu oszołomieni widokiem obcego dla nas krajobrazu. W kryształowym powietrzu bryły chałup, kopuły cerkiewek oraz pasmo lasu na horyzoncie miały ostre rysy i mocno oddziaływały na naszą młodzieńczą wyobraźnię.

Gospodarz też milczał. Nie należał do rozmownych. Poza tym nie znał nas, był nieufny. Dopiero mocne wstrząsy na wyboistym, kamienistym odcinku drogi przełamały częściowo barierę i zamienił z nami kilka zdań.

Po przejechaniu około 9-ciu kilometrów drogi wóz wtoczył się między zabudowania wsi, która okazała się Berezka. Wtedy mój towarzysz wysiadł, a ja pojechałem dalej skręcając w prawo. Po dziesięciominutowej jeździe kłusem w kłębach kurzu stanęliśmy u skraju wsi, w której miałem uczyć dzieci.

Przed nami stał dom sołtysa Jana Litery.

## Szkoła w izbie

Sołtys powitał mnie serdecznie, ale z pewnym zakłopotaniem w oczach.

- Budynek na szkołę jeszcze nie wyremontowany - rzekł unosząc krzaczaste, czarne brwi. W jego postawie i ruchach widać było ślady wojskowego drylu. Dowiedziałem się później, że brał udział w kampanii wrześniowej w stopniu oficera, a przybył w te strony po wojnie.

- Ale niech się kierownik nie martwi, jakoś zaradzimy - pocieszył mnie i wskoczył z nami na wóz. Po paru minutach siedzieliśmy razem przy masywnym, dębowym stole u Władysława Pacha, osadnika spod Limanowej, a sołtys dogadywał się z gospodarzem.

Wkrótce podjęli następującą decyzję: Zanim wyremontuje się opuszczony dom poukraiński, będę mieszkał i uczył dzieci w domu Pachów. W jednej izbie ustawi się ławki szkolne, w drugiej będzie moja kancelaria i sypialnia. Maria Pach, żona gospodarza będzie tymczasowo przyrządzać dla mnie posiłki.

Tak też się stało. W czterech ławkach ustawionych w izbie osadnika codziennie zasiadało dziewięcioro dzieci i słuchało z ciekawością swego pana, pierwszego na Woli nauczyciela.

Po lekcjach ławki odsuwało się pod ścianę i "klasa" stawała się znów izbą rodziny Pachów, a na noc zaścielała w niej łóżko Anielka, siostra Marii. Moja "sypialnia" znajdowała się w sąsiedniej izdebce przedzielonej przepierzeniem z desek, za którym przechowywano ziemniaki. Z powodu wybitej szyby

w oknie sen mój nie bywał nigdy zbyt głęboki i budził mnie pierwszy chłopski wóz, który przejeżdżał pod oknem o świcie.

Chłodne dni jesienne skruszyły serce gospodarza i "przeniósł" Anielkę na piec, a mnie odstąpił jej łóżko. Odtąd, jak przystało na kierownika szkoły, spałem pod pierzyną w izbie, w której nie brakowało szyb w oknach.

Po trzydziestu latach Władysław Pach, ojciec i dziadek powie: - Z początku bieda była, że siekierą nie przeciął. Szkoły też nie było, bo nie miał kto wyremontować budynku. Co miałem robić? Wynająłem część domu na szkołę bezpłatnie.

## W gościnie u Semczyka

Mikołaj Semczyk był najbogatszym gospodarzem na Woli. Jako agent skupu PZGS w Lesku skupował siano w okolicy, gromadził w stertach, a potem wynajmował ludzi, którzy przewozili je końmi do stacji kolejowej Lesko-Łukawica. Ponieważ nie miał odpowiedniej wagi i musiał przyjmować paszę "na oko", nie mógł na tym interesie tracić.

Pewnego dnia Mikołaj Semczyk zaprosił mnie do swego domu. Wypadalo aby dom, którego gospodarz znany był w całej okolicy, ugościł kierownika szkoły. Chętnie z zaproszenia skorzystałem.

Na podwórzu jego gospodarstwa obszczeakały mnie psy, ale skarcone przez gospodarza umilkły obwąchując mnie podejrzliwie. Semczyk przeprowadził mnie przez kuchnię, gdzie krzątała się żona, do drugiej izby, w której znajdował się solidny stół, szeroka ława i szafa z pozoru wyglądająca niewinnie. Kiedy gospodarz otworzył jedno skrzydło, zaskoczył mnie w niej nietypowy widok: na dole stała bateria butelek z wódką, a na kołkach-wieszakach, zamiast garderoby, wisiały pęta dobrze uwędzonej kielbasy.

Nasza pogawędka zapoznawcza nie trwała zbyt długo, ponieważ piliśmy ze szklanek, a gospodarz nalewał hojnie. Po mocnym trunku swojska wędlina smakowała bardzo, lecz mimo to głosy jego dzieci, których miał sporo pomieszały się wkrótce z poszczekiwaniami psów, podwoiły się pęta kielbasy i butelki w szafie, trzeba więc było, póki czas, pożegnać gospodarzy.

Wracając z gościnnego domu Semczyka do swojej kwatery kołysany wesolo przez kładkę nad potokiem, doszedłem do wniosku, że wszędzie można żyć i wszędzie można spotkać radość.

## Uciekaj stąd synu !

Wczesną jesienią odwiedził mnie ojciec przejęty bardzo moim żywotem pokutnika. Gospodarz, u którego mieszkałem i uczyłem dzieci, przyjął go życzliwie i ciepło, jak kogoś bardzo bliskiego. Powitalny posiłek jedliśmy z jednej ogromnej miski. Z potrawy wyczierało niewiele oczek tłuszczu, za to oczy "współbiesiadników" czyli domowników wypełnione były serdecznością. Temperatura domu ogrzała nieco stroskane serce ojcowskie, ale nie dała pełnego spokoju. Siedząc wieczorem przy stole i gawędząc z rodziną Pachów ojciec zerkał ukradkiem w mrok za oknami, jakby się czegoś bał.

W pewnej chwili ściany budynku przeniknął dziwny głos podobny do pohukiwania sowy, a częściowo do wołania człowieka. Ojciec zbladł i rzekł do mnie z lękiem:

- Uciekaj stąd synu! Tu pełno wilków.

- Niech się ojciec nie boją - uspokajał gościa gospodarz uśmiechając się tajemniczo. - To nie wilki, ale ludzie ukryci w szalaszach odstraszają w ten sposób dziki, żeby nie zapędziły się w kartofliska. Co noc muszą czuwać, na zmianę, często z psami aż do zakończenia wykopków.

Zrobiło się raźniej w izbie i w sercu ojca mimo, że mrok nocy zgęstniał na atrament.

## Odwiedziny matki

Końcem listopada otrzymałem list od matki, w którym zapowiedziała swoje odwiedziny. Wiadomość ta sprawiła mi ogromną radość. Ludzie zajęci od świtu do wieczora przygotowaniami do zimy nie mieli zbyt wiele czasu na kontakty ze mną, a barwy jesieni coraz mniej żywe pogłębiały moją nostalgię. W takiej sytuacji każdy gość, szczególnie z rodziny, był bardzo mile widziany. Gnębiła mnie jednak myśl, że mogę nie mieć nawet kromki chleba na przyjęcie matki. Głodu wprawdzie nigdy nie zaznałem, bo kiedy Pachowa wyczerpała swoje nadwyżki, przyjęła mnie na utrzymanie Maria Doboszowa, która gotowała smacznie za skromne 200 złotych miesięcznie. Ale moja spiżarka była pusta, a matkę wypadało ugościć swoim wiktem. Do sklepu zaś było za drogą 12 kilometrów i zbliżał się wieczór. Na drugi dzień miała przyjechać matka.

Z pomocą przyszedł mi sąsiad Jan Nowak. Zaprzęgnął konia, śmignął batem i ruszyliśmy za... chlebem. Droga wiła się wzdłuż potoku strzeżonego przez warty jałowców, kryjącego się miejscami w zaroślach olszyny. Tą drogą wjeżdżałem po raz pierwszy do Woli, tylko wtedy był ciepły, wrześniowy dzień i ziemia wyschnięta na popiół.

W Berecce przed budynkiem szkoły skręciliśmy w prawo, by po pierwszym kilometrze przeciąć towarzyszący nam potok. Potem droga wspięła się na wzgórze pokryte młodym lasem sosnowym i pilotowana przez kołujące jastrzębie zapadła między domami Myczkowa. Wreszcie zobaczyłem szyld sklepu i poczułem się weselej. Niestety na krótko; sklep był nieczynny.

Młody góral nie stracił głowy. Szarpnął za lejce i po chwili wóz zakołysał się na drodze tak wyboistej, że od wstrząsów kurczył się żołądek i musiałem stanąć na wozie w obawie przed wywróceniem. O zmierzchu dotarliśmy do jakiejś maleńkiej wioski, której nazwy już nie pamiętam, by się przekonać naocznie, że sklepu nigdy tu nie było i nie ma. Poczułem się załamany, ale Jan Nowak i tym razem zachował zimną krew. Mimo coraz mniejszej widoczności pognął konia na przelaj zarośniętym traktem leśnym do Bereżnicy Wyżnej, gdyż tam, jak twierdził, chleb być musi. I rzeczywiście był. "Patykiem pisany" także.

Po triumfalnym wypróżnieniu butelki ruszyliśmy w drogę powrotną odważni i weseli. Nagle z potoku wypadło stado spłoszonych dzików. Zostawiając konia i wóz z fantazją urządziliśmy pościg za grubą zwierzyną. Dziki nie wykazały jednak inteligencji, gdyż przed naszą szarżą zniknęły w mroku.

Wróciliśmy do Woli pod wrażeniem przygód i zachlapani błotem po uszy mając za sobą około 20 kilometrów bardzo złej drogi, przebytej w świetle gwiazd.

Za to na drugi dzień, w niedzielę nie zabrakło chleba na stole, a ja miałem co opowiadać matce podczas długiego wieczoru.

## Łączność ze światem

W grudniu ukończono remont budynku przeznaczonego na szkołę i mogłem się wprowadzić z domu Pachów do nowego obiektu. Nie sprawiło mi to jednak większej radości. U Pachów czułem się jak w rodzinie, szybciej

upływały słotne, jesienne dni. Poza tym musiałem opuścić wygodne łóżko i przenieść się na podobne do wyrka, wyścielone samą słomą, które użyczył mi uczynny Mikołaj Serbin, ten sam co mnie przywiózł na Wołę owego pamiętnego dnia 1 września 1954 roku.

Postanowiłem pogodzić jedno z drugim. Uczyłem w szkole i spałem w szkole (w salce sąsiadującej z klasą), ale czas wolny spędzałem przeważnie u Pachów lub u przyjaciela w Berezce, Jana Józefczyka, z którym chętnie wymieniałem swoje wrażenia i pierwsze doświadczenia.

Nasytzeni dialogiem przy zamkniętych drzwiach otwieraliśmy świat, który nas otaczał. W cieniu starych modrzewi, ocalałych z dawnego parku dworskiego szukaliśmy złudzeń, że znajdujemy się w minionej epoce. Odczuwa się to w wierszu "Zachód słońca nad Berezką":

Drzewa wstrzymały oddech  
nawet powietrza nie rania  
koronne modrzewie

Słychać kroki sprzed lat  
rozgawory drogi z kołami wozów  
rzeki bezimiennej szept

Duch dworu  
wypełza z ruin...

Prawie na każdą niedzielę wyjeżdżaliśmy do swoich rodzin. Drogę do miasteczka o długości 16 kilometrów musieliśmy pokonywać pieszo, ponieważ autobusy kursowały tu bardzo rzadko. Kiedy w Lesku nie było dogodnego połączenia z Zagórzem, dokładaliśmy jeszcze 5 kilometrów drogi, aby dotrzeć do stacji kolejowej Lesko-Łukawica. Podobnie wyglądały powroty.

W pewne pogodne, jesienne popołudnie miałem "spotkanie" z wilkami. Powoli, z ociąganiem oddalały się od drogi. Mijając miejsce, gdzie stado pozostawiło ślady, poczułem dziwną słabość i drżenie rąk mimo, że szare bestie pochłonał już leśny mrok.

Rekord w marszu osiągnąłem zdążając z Jankiem Józefczykiem na wesele w rodzinne strony. Było to w lutym 1955 roku. Drogi wtedy zawiąło i wystąpiły zakłócenia w komunikacji autobusowej. Żeby więc zdążyć na ostatni pociąg z Zagórzem do Krosna, trzeba było pokonać pieszo w śniegu i mrozie odległość 30 kilometrów. Idąc rozglądaliśmy się dookoła w obawie przed wilkami, które w tym okresie bywają niebezpieczne. Do Zagórzem dotarliśmy na 5 minut przed

odjazdem pociągu.

Z niemałym wysiłkiem wspiałem się po stopniach na platformę wagonu. Ręce zeszywniały od zimna, a nogi ciążyły jak ołów.

Taką cenę trzeba było nie raz płacić za łączność ze "światem".

## Zimowe wieczory

W zimowe wieczory droga do Berezki nie zawsze była przetarta, gwiazdy ostrzyły mróz, a księżyc sprzyjał wilkom. Rzadko więc odwiedzałem przyjaciela. Mało też czytałem, gdyż biblioteki w pobliżu nie było, a jedynym tygodnikiem, który docierał do szkoły była "Gromada". Od czasu do czasu listonosz wyjmował z torby list, a wtedy rozpierała mnie rozkosz. Najczęściej przesiadywałem u Pachów, gdzie przychodzili także jego sąsiedzi. Wśród nich był Władek Dobosz, młody człowiek, dopiero po wojsku, który znalazł we mnie przyjaciela.

Czas upływał nam na grze w karty, rozmowach, śpiewaniu góralskich i ukraińskich piosenek. Wieś liczyła wówczas 10 rodzin osadniczych i 4 rodziny miejscowych, ale na ogół panowała między nimi zgoda; każdy jakoś podświadomie unikał rozdrapywania ran. Zdarzało się, że pod okna przychodził stary Sarysz i wygrywał nam na harmonii różne melodie, a myśmy mu gromko wtórowali.

Najbliższym sąsiadem Pachów był Szafran. Sterany pracą, zniszczony wiekiem, a może czymś jeszcze, co trudno było rozpoznać z twarzy, ale można było odczytać z jego pleców. Niewielu je oglądało, za to mnie potraktował wyjątkowo. Zobaczyłem na nich długie, biegnące ukosem blizny po dawnych uderzeniach. Nie musiałem o nic pytać, wszystkiego mogłem się domyślić.

Bywało też, że zamykałem drzwi od szkoły na wszystkie spusty i oddawałem się samotnej kontemplacji. Rozmyślałem o ludziach, z którymi mi przyszło żyć w surowych warunkach, dzielić z nimi radości i smutki. Ujmowała mnie ich prostota, bezpośredniość i serdeczność, a u górali wrażliwość na piękno.

Mała cerkiewka, zagubiona w przydrożnych zaroślach była głucha, nie korzystali z niej nawet ci, którzy od dawna związani byli z tą ziemią. Powtarzając z pamięci ich nazwiska odkryłem, że wszystkie (Smolak, Serbin, Semczyk, Szafran) zaczynają się od tej samej litery. Gdy dodałem swoje, wydali mi się przez jeden ulotny moment jakby bliżsi i pomyślałem: jak dziwnie

złożona i skomplikowana jest natura ludzka.

## Chrzest

Głosowanie odbywało się w Myczkowie, siedzibie Gromadzkiej Rady Narodowej. Po oddaniu głosu wracałem z Mikołajem Semczykiem jego wozem, zaprzężonym w parę mocnych koni. Konie dobrze znały drogę, szły rażno i nieomylnie. Położył więc Semczyk bat przy sobie, lejce przycisnął udem i dysponując wolnymi rękami zaczął żywo gestykulować podczas rozmowy. W pewnej chwili kiedy byliśmy w połowie lasu, wyszarpnął gwałtownie lejce spod uda, ściągnął z lewej, krzyknął i konie skrzyły posłusznie w gęsty młodnik. Byłem tym manewrem zaskoczony, a kiedy rękę wsunął w zanadrze, tknęło mnie złe przecucie. Semczyk zaś bez skrpułów i zdecydowanym ruchem wyciągnął spod zimowej kurtki... butelkę z przezroczystym płynem. Napełnił z niej do połowy dwie szklanki wydobyte ze schowka i jedną podał mnie. Ująłem szklankę w zimną dłoń, nachyliłem do ust i wlałem w gardło całą zawartość, po czym nastąpiła dłuższa cisza, bo nie mogłem złapać oddechu.

- To pana chrzest, kierowniku - odezwał się pierwszy Mikołaj i ostatnie krople ze swojej szklanki upuścił na moją głowę. Po chwili uśmiechnął się znacząco i dokończył:

- Jest pan z nami pół roku, przyjął się pan.

W milczeniu przeżuwałem kanapkę z kielbasą, żeby przywrócić równowagę w ustach i żołądku, zerkając ukradkiem na etykietkę butelki. Etykietka wyjaśniła wszystko i słowa nie były potrzebne.

Wirujące płatki śniegu niczym rykoszety zimy kreśliły w powietrzu tajemnicze znaki, jakby chciały dopełnić obrzęd, a pogwizdywania wiatru w koronach sosen sprawiały wrażenie, że wraca do mnie utracony raj.

## Strzały nad Wola

Zbliżał się koniec zimy i dni wydłużały się. Trzeba było wymyślić coś nowego, bo schadzki w domu Pachów stawały się coraz krótsze. Od czasu do czasu wpadałem na pogawędkę do sołtysa Jana Litery, jedyne na Woli

myśliwego. Pewnej niedzieli zostałem nawet uraczony potrawą z dzika, pachnącego bieszczadzkim wiatrem. Taki posiłek był dla mnie, jak na owe czasy, prawdziwą frajdą. Z końcem zimy sołtys miał coraz więcej obowiązków "służbowych" i na częstsze posiedzenia w jego domu nie można było liczyć. Nie pamiętam kto, wpadł na pomysł utworzenia we wsi koła LPŻ, ale pamiętam, że zabrałem się do tego ochoczo. Jeszcze w liceum byłem dobrym w strzelaniu z broni małokalibrowej, więc pomysł ten odrodził moje hobby. Przewodniczący Powiatowego Zarządu LPŻ w Lesku Stanisław Kaprał przyjął nasz wniosek z zadowoleniem i wkrótce koło nasze liczyło 10 członków, a ja zostałem jego przewodniczącym.

Niedługo też otrzymaliśmy broń ćwiczebną: wiatrówkę, karabin sportowy typu kbks i karabin bojowy (kbk), ale z przepiłowaną iglicą i wywierconym w komorze naboju otworem, żeby nikt nie zrobił sobie albo komuś krzywdy. Z własnego pokoju uczyniłem "arsenał". Dwa karabiny postawiłem koło wezłowania, jeden przy końcu pryczy. Mój sen miał być odtąd spokojniejszy, ale jak się później okazało, bywało niekiedy odwrotnie.

Strzelnicę urządziliśmy w pobliżu posesji Semczyka, bo tam znajdowało się wzgórze nadające się na kulochwyty. Tam też odbywały się treningi strzeleckie z broni sportowej, bo karabin bojowy służył jedynie do poznawania tajników jego budowy, a wiatrówka... Z wiatrówką to poniosła nas fantazja; w korytarzu szkoły zawiesiłem na ścianie okładkę "Przyjaciółki" z fotografią głowy kota i tutaj odbywały się ćwiczenia w strzelaniu z tej broni, a ogromne kocie oczy służyły za cel.

Amunicję przywozili z Leska Jan Nowak i Władek Dobosz. Przeważnie w poniedziałki, kiedy wyjeżdżali do miasta na targ, bo wtedy mieli okazję wstąpić do Zarządu Powiatowego LPŻ. Pudełka z nabojami oddawali mi, ale w jednym wypadku wręczyli mi pudełka niekompletne. Gdy zrobiłem pytającą minę, odparli, że takie odebrali w zarządzie. Później dopiero wyszło na jaw, że sporą część amunicji wystrzelali w drodze, mierząc do kawek, jastrzębi i innych, podobnych, żywych celów. Mój żal, że wypożyczyłem im broń do domu, by ćwiczyli "na sucho" celowanie, był spóźniony.

W naszym kole spełniło się znane powiedzenie, że każdy karabin raz w roku strzela sam. Na szczęście ofiar w ludziach nie było, tylko jedną szybę w oknie budynku szkoły musiałem wymienić.

Najbardziej ryzykowne i niebezpieczne były wyprawy w góry z karabinem bojowym. Moi "chłopcy" wymienili w nim iglicę, w ruinach spalonych domów wygrzebali naboje i zaczęła się "zabawa", a echa ostrych strzałów błękały się po górach i lasach.

Po kilku tygodniach w Zarządzie Powiatowym LPŻ zjawił się komendant posterunku MO w Wołkowie i rzekł do przewodniczącego Kaprała:

- Słyszałem ostre strzały nad Wołą, a tam są wasi ludzie. Co to ma znaczyć?!

- A to komendancie - odpowiedział spokojnie Kapral - że, wy macie swoje sprawy i swoich ludzi, więc nie wtrącajcie się w nasze.

Wtedy można było tak odpowiedzieć. To były czasy!

## Polowanie "na dziko"

W dniu pierwszego kwietnia, późnym wieczorem kiedy za oknem panowała nieprzenikniona ciemność, ktoś zapukał w szybę i usłyszałem znajomy głos:

- Panie kierowniku, daj pan karabin! W zagonach Chalcarza buszuje stado dzików.

- Nie dam się nabrać - odpowiedziałem - dziś "prima aprilis".

Nie ustąpili. Tak długo przysięgali, że to nie żarty, aż musiałem ulec. Otworzyłem okno i wsadziłem w niewidzialną rękę karabin bojowy z nową iglicą i wywierconym otworem. Poszli w czerń nocy, a mnie zabrakło odwagi podążyć za nimi. Czekałem w napięciu na strzał. Wszędzie jednak panowała głucha, niczym niezmacona cisza. Dopiero po godzinie ktoś zapukał w okno, tym razem jakoś nieśmiało. Otworzyłem i wlepiłem oczy w czarny prostokąt nocy.

- Ech, kierowniku! Zanim my wyblągali od pana broń, dziki poczuły "pismo nosem" co się święci i poszły w las - poskarżył się na mnie Nowak i wsunął przez okno kolbę karabinu, z którego tym razem nie padł ani jeden strzał.

Tak się skończyło polowanie "na dziko".

## Niezwyčajny mecz

Raz w miesiącu, przeważnie pierwszego, urządzałem sobie pieszą wędrowkę przez Wierchy i wieś Rybne do Wołkowyi - "stolicy" tych okolic. Celem każdej wędrowki było podpisanie listy płac, a przy okazji podjęcie pensji. Czynności te odbywały się w szkole podstawowej, której kierownikiem był mój znajomy Józef Bacior, jeden z pionierów oświaty bieszczadzkiej i znany

na okolicę myśliwy. Słusznie inspektor oświaty nadał mu przydomek "orzeł górski".

Otóż w tejże miejscowości, nieopodal szkoły, na "wiejskim stadionie sportowym" miałem możliwość obejrzeć niezwykajny mecz. Niezwykajność jego polegała na tym, że w bramkach stali milicjanci w mundurach, w obronie strażnicy albo strażacy, po skrzydłach uganiał się, jak w nagonce na grubego zwierza, leśnicy w zielonych mundurach, a w ataku pośród innych napierał na przeciwnika piłkarz w gumiakach, którego nie można było zaszeregować, na pierwszy rzut oka, do żadnego zawodu. Dopiero gdy jeden z grających faulując go wyrzucił z siebie słowa "przepraszam księdza", otworzyłem usta, bo sprawa niby się wyjaśniła, a jednocześnie jeszcze bardziej skomplikowała.

- Nic z tego nie pojmuję - pomyślałem, ale żadne wyjaśnienie nie przychodziło mi do głowy i przyjść nie mogło, bo wypity przed chwilą alasz zielonego koloru umacniał jedynie barwę trawy oraz mundurów pana leśniczego i gajowego, ale nie wyostrzył umysłu.

Z niemym pytaniem na ustach wracałem o zachodzie słońca na Wolę, a z gardła parował alkohol. Parował chyba intensywnie, gdyż kwiczoły obsiadujące o zmierzchu przydrożne zarośla już na odległość zrywały się w popłochu i znikaly za horyzontem Wierchów.

## Zabawa pierwszomajowa

Tytuł rozdziału obiecuje coś zabawnego i wesołego. Nic takiego jednak nie będzie. Wszystko zaczęło się zgodnie z tradycją. Sala remizy była odświeżnie wystrojona, nie brakowało piwa, wód gazowanych ani trunków. Na podłodze sali kręciło się w rytm muzyki kilka, a co najmniej dwie narodowości, trzy pokolenia i grupa "zawołoków", czyli ludzi przybyłych z różnych stron kraju w ramach osadnictwa. Orkiestra grała skocznie, toasty miały jeszcze swój sens, było wesoło i barwnie.

Zajęty rozmową z miejscowym młodzieńcem, poznanym przed chwilą, nie zauważyłem jakichkolwiek oznak zbliżającej się awantury. Wypiliśmy jeszcze po "setce" i wstaliśmy od stołu, aby ruszyć w tany, gdy zaczęła się rozróżba. Kłębowski rozjuszonych mężczyzn najpierw wirowało, jak bąk, w środku sali, potem zbliżyło się ku wyjściu, by wyskoczyć jak piorun kulisty na zewnątrz. W kilku minutach ludzi jakby wymiotło z sali. Tracąc z oczu

towarzysza rozmowy, podążyłem za nimi, ale kiedy znalazłem się za drzwiami, sytuacja uległa zmianie. Kłębowisko rozpadło się, jakby pod działaniem magicznej siły, a na drodze zebrała się grupa wyrostków, którzy zaczęli obrzucać kamieniami rozproszonych w ucieczce osadników Berezki.

- Koniec zabawy - pomyślałem i ruszyłem także w kierunku Berezki nie spiesząc się zbyt ani nie oglądając za siebie jako, że nie byłem w konflikt zamieszany. Za błąd ten zapłaciłbym drogo, gdyby nie mój znajomy z Myczkowa. Szczęśliwym dla mnie zbiegiem okoliczności znalazł się blisko i w ostatniej chwili powstrzymał rękę napastnika mierzącego dużym kamieniem w moją głowę.

Różne pogłoski i opinie krążyły później na temat awantury w Myczkowie, która wybuchła podczas mile zapowiadającej się zabawy pierwszomajowej. Jedni powiadali, że to zmieszanie młodości z alkoholem było przyczyną zajścia, inni wiązali je z nacjonalizmem, a byli i tacy, co dopatrywali się przyczyn konfliktu w ogólnej niechęci mieszkańców wsi do ludzi obcych, osiedlonych w okolicy.

Jakakolwiek była prawda, a była z pewnością złożona, jeden wniosek nasunął się sam: Nie wszędzie istnieje taka harmonia i zbratanie ludzi, jak w małej wiosce, która zwie się Wolą Matiaszową i posiada mikroklimat większej rodziny.

## Razem czy osobno?

Ważnym i długo dyskutowanym wydarzeniem w życiu wsi była kolektywizacja. Władze powiatowe, szczególnie przedstawiciele rolnictwa z całą energią przystąpiły do zakładania spółdzielni produkcyjnej na Woli Matiaszowej. Do mnie zwrócono się o pomoc w zakresie agitacji. Przejęty nową rolą wykonywałem plakaty mające zachęcić rolników do łączenia swoich gruntów. Rozwieszałem je na stodole Sobczyka, bo to i w "centrum" wsi było i przy samej drodze. Mimo to, praca nad kolektywizacją gospodarstw szła opornie. Ludzie kalkulowali, jak będzie lepiej gospodarzyć: razem czy osobno? W końcu spółdzielnię utworzono, a raczej sklecono z obszaru PFZ, gruntów zabranych niektórym rolnikom oraz ziemi tych gospodarzy, którzy rezygnując z Woli wyjechali na zachód lub wrócili w rodzinne strony.

Do zarządu spółdzielni weszli: Litera, Semczyk, Serbin i Sroka. Ziarno siewne zgromadzono w wolnym pomieszczeniu szkoły, ponieważ własnych

magazynów spółdzielnia jeszcze nie miała. Dostęp do tego pomieszczenia mieli członkowie zarządu.

Mechanizacja prac polowych polegała na wykorzystaniu nielicznych maszyn i narzędzi rolniczych, będących własnością gospodarzy - członków spółdzielni. Parku maszynowego nie było.

Od początku zaczęło się źle. Ziemia PFZ była jałowa, częściowo zakrzaczona. Każdy pilnował przede wszystkim swojej działki prywatnej, w pierwszej kolejności ją uprawiał, a dopiero potem wychodził lub wyjeżdżał maszyną na pole spółdzielni. Pracę obliczano według dniówek. Istniała pewna dowolność w przeliczaniu, zatem niektórzy czuli się pokrzywdzeni. Wiadomo, kto posiadał maszyny, przy podziale zbiorów otrzymał więcej, kto nie posiadał, nie miał się czym chwalić. A zbiory przy takim gospodarowaniu nie mogły być wysokie. Dlatego żywot spółdzielni trwał zaledwie półtora roku.

Jeden z jej członków po latach powie: "-Ludzie nie byli przekonani, nie wszyscy przystąpili dobrowolnie. Kilku rolnikom zabrano pod spółdzielnię grunty już zasiane i zaorano traktorami. Musiało tak się skończyć."

### Dzwonek na przerwę

Wakacje przeleciały, jak latawiec porwany nagłym podmuchem wiatru. Lekki, ogrzany domowym ogniskiem wracałem do ziemi przypisanej mi nakazem pracy, a częściowo nakazem sumienia. Kilkanaście par dziecięcych oczu oczekiwało mnie, jak pisklęta pozostawione w gnieździe oczekują powrotu matki.

Teraz droga między Hoczwią, a Wolą Matiaszową wydawała się krótsza, a spojrzenia chat odwróconych oknami do drogi, bardziej przyjazne. Rozluźniony psychicznie mogłem wyluskiwać perły "egzotyki" w krajobrazie, a także rozpoznawać oznaki nadchodzącej jesieni.

Już druga... - pomyślałem z melancholią, a ja wciąż pod znakiem zapytania: Zostać na Woli, wsi bliskiej, a zarazem obcej czy pożegnać ją i pójść tam, gdzie słońce wcześniej wschodzi, a później zachodzi?

Widziałem doraźne rozwiązanie - wojsko. Przeczuwałem, że z ostatnim liściem, który spadnie z drzewa, spadnie na mnie nakaz nieodwołalny, a ja mu się oddam z pewną ulgą, bo uwolni mnie od podejmowania trudnej decyzji.

Intuicja nie zawiodła mnie. Pod koniec pewnej lekcji, kiedy dzieci

zaglądały w okno podziwiając ostatni akt jesieni do klasy wszedł listonosz i podał mi kopertę z czymś nieznanym, ale przeczuwanym, w środku. W napięciu otworzyłem; wewnątrz tkwiła, jak ładunek wybuchowy, karta powołania. Kazałem zadzwonić na przerwę i prześledziłem treść karty, podaną suchym, urzędowym językiem.

Była dla mnie dzwonkiem na przerwę - przerwę, która miała trwać dwa lata.

## Pożegnanie Woli

Pożegnanie było krótkie, ale wymowne. Ludzie oszczędzali słowa, ale twarze ich upodobniły się bardziej do twarzy jesieni. Ogarnął ich niepokój; kto będzie teraz uczył ich dzieci? W oczach "mojej gospodyni" zakręciły się łzy, a Semczyk zapowiedział, że pojedzie do Leska prosić osobiście inspektora szkolnego, żeby mnie po odbyciu służby wojskowej "przysłał" z powrotem na Wolę.

Wolę Matiaszową żegnałem ze sprzecznymi uczuciami. Moje refleksje były jeszcze świeże, nie pogłębione. Dopiero dystans czasu pozwolił mi na dojrzałe i powiązane z historią spojrzenie na wieś, w której odbyłem swój chrzest pracy nauczycielskiej w Bieszczadach. Uczyniłem to w wierszu "Z Woli Matiaszowej":

Przyłgnęła do drogi  
niby-wieś  
nasłuchując świata wiodła  
życie pokutny za grzech  
wyrodnego Ognia

Pod jednym niebem  
opamiętania  
Preczysta i Frasobliwy  
przemilczali zgodnie  
blizny

I próg każdy  
do stóp się lasił

koil ból  
a co usta niedomówiły  
czyniła to dłoń  
dobrej Woli

PIERWSZE LATA  
W OLSZANICY



Fot. 1. Maria Dobosz (z prawej) ze swą siostrą Zofią.



## PIERWSZE LATA W OLSZANICY

Za kilka dni powiadzi nas w Nysie koleżanka z liceum, która wybrała "zachód". Inspektor Wydziału Oświaty w Nysie tak nam nadzieje na zatrudnienie w swoim powiecie, że z ostatnią decyzją wzięliśmy się. Wzięliśmy do domu.

W sierpniu 1937 roku nadszedł telegram: "Przyjeżdżajcie, miłośnicy". Z treścią tego telegramu jako młodymi studentami swobodnie się powiodło w Wydziale Oświaty w Lesku. Tym razem inspektor był łaskawy. Po krótkiej naradzie w swoim gabinecie rzekł:

- Są dwa miejsciki w Olszaniej i Czarnym. Wybierajcie! Wybratem Olszanicę.

### Olszanica

Miejscowość o tej nazwie rozwinęła w rozwinięciu dróg z Sierpca, Pęciskiem i rzeką Olszanicą, otoczona malowniczym krajobrazem wzdłuż najołszaniek do najcieplej zagospodarowanych i urządzonych wsi w bliskim sąsiedztwie. Urodziła się pod koniec lat trzydziestych pałac wybudowany w 1905 roku, należący do romantycznego parku z stawami, należący przed wojną do właścicieli majątku Bohdana Aleksandrowicza.

Już w latach pięćdziesiątych Olszanica imponowała tym, że oprócz stacji kolejowej posiadała poczta, piekarnię, budynek, dwa sklepy, posterunek MO i szkołę z dwoma klasami.

Ludność w większości stanowili Polacy, przeważnie młodzi, którzy w czasie wojny przybyli do Olszanic z terenów okupowanych.



## Wybór

Po odbyciu służby wojskowej zgłosiłem się z Jankiem Józefczykiem w Wydziale Oświaty w Lesku. Inspektor szkolny Jan Maciela zaproponował mi Bukowiec, Jankowi Terkę, a więc placówki położone w głębi Bieszczadów, dalej od Woli Matiaszowej i Berezki. Byliśmy wyraźnie rozczarowani i przygnębieni. Po dwóch latach oddanych Ojczyźnie mamy iść w "zaświaty"? Podjęliśmy "desperacką" decyzję: jedziemy na Śląsk!

Za kilka dni powitała nas w Nysie koleżanka z liceum, która wybrała "zachód". Inspektor Wydziału Oświaty w Nysie dał nam nadzieję na zatrudnienie w swoim powiecie, ale z ostateczną decyzją wstrzymał się. Wróciliśmy do domu.

W sierpniu 1957 roku nadszedł telegram: "-Przyjeżdżajcie, miejsca są". Z treścią tego telegramu jako mocnym atutem stawiliśmy się powtórnie w Wydziale Oświaty w Lesku. Tym razem inspektor był łaskawszy. Po krótkiej naradzie w swoim gabinecie rzekł:

- Są dwa miejsca: w Olszanicy i Czaszynie. Wybierajcie! Wybrałem Olszanicę.

## Olszanica

Miejscowość o tej nazwie rozsiana w rozwidleniu dróg nad Starym Potokiem i rzeką Olszanicą, otoczona malowniczym krajobrazem wzgórz należy dziś do najlepiej zagospodarowanych i urządzonych wsi w Bieszczadach. Urodę jej podkreśla oryginalny pałac wybudowany w 1905 roku, otoczony romantycznym parkiem i stawami, należący przed wojną do właściciela majątku Bohdana Juścińskiego.

Już w latach pięćdziesiątych Olszanica imponowała tym, że oprócz stacji kolejowej posiadała pocztę, piekarnię, bufet, dwa sklepy, posterunek MO i ośrodek zdrowia.

Ludność wsi w ogromnej większości stanowili Polacy, przeważnie miejscowi, częściowo osadnicy oraz ci co przybyli tu w poszukiwaniu lepszej pracy.

Niektórych rzuciły tu losy wojenne.

Do Olszanicy przyjechałem pociągiem relacji Zagórz-Krościenko końcem sierpnia 1957 roku. Obciążony swoim dobytkiem szedłem w głąb wsi. W połowie drogi zobaczyłem na podwórku gospodarskim mały wózek z dyszlem, a przy nim dzieci. W drzwiach domu stała gospodyni.

- Przepraszam panią - zwróciłem się do niej grzecznym, niemal błagalnym tonem - czy mógłbym skorzystać z wózka? Mam ciężki bagaż, a do szkoły jeszcze kawałek drogi. Przyjechałem do was jako nauczyciel.

Kobieta spojrzała na mnie obojętnym wzrokiem i odpowiedziała na odczepnego:

- Widzi pan, że dzieci bawią się tym wózkiem, nie mogę go więc panu wypożyczyć.

Czułem się niemile zaskoczony tą argumentacją i w milczeniu ruszyłem dalej uginając się pod ciężarem walizki.

Po skontaktowaniu się z kierowniczką szkoły otrzymałem "mieszkanie" w postaci kajutki o powierzchni około 8 m<sup>2</sup> znajdującej się w budynku szkoły. Przez szczeliny w podłodze grubości małego palca wylaziły żyjątka, z którymi przez pewien czas musiałem żyć w zgodzie i wzajemnym szacunku. Jedyną zaletą mojej kwatery było to, że okno miała od strony zachodniej i mogłem podziwiać zachody słońca. Łóżko natomiast skrzypiące w tonacji minorowej stało się łóżkiem historycznym odkąd przespał się na nim pan inspektor po załatwieniu spraw honorowych z miejscowymi "budowlańcami". Ale nie uprzedzajmy faktów.

Pracę nauczycielską rozpocząłem 1-ego września. Pierwszym człowiekiem spoza grona nauczycielskiego, który zainteresował się mną serdecznie był pełniący wtedy funkcję sekretarza KG PZPR działacz społeczny Eugeniusz Radko. Były członek AL, późniejszy żołnierz II Armii WP, uczestnik akcji "Wisła" sprawiał wrażenie człowieka czynu. Był przy tym także, podobnie jak ja, idealistą. To nas złączyło i spowodowało, że wkrótce zostaliśmy przyjaciółmi. Wiele wieczorów spędziłem w jego gościnnym domu słuchając partyzanczkich i wojennych wspomnień pana Gienka.

W Olszanicy poznałem także moją obecną żonę Marię, która wówczas była jeszcze licealistką. Między domem jej rodziny, domem Radków i szkołą upływały moje pierwsze miesiące życia w tej miejscowości.

### Kawalerska przygoda

Zanim jednak spotkałem panienkę z tarczą liceum na rękawie i zabójczym

loczkiem nad sklepieniem czoła, panienkę, z którą związałem się później na dobre i złe, zabawiłem się w detektywa. Jeszcze jako żołnierz przebywając na urlopie poznałem na dworcu PKP w Zagórzcu młodą damę, która przypadła mi do gustu. Rozmowa między nami była jednak krótka, bo podczas przesiadki z pociągu na pociąg. Niewiele więc dowiedziałem się o "obiekcie" mojego zachwytu; tyle tylko, że jest nauczycielką, ma brata w wojsku i pracuje, jak się wyraziła, "jeden przystanek za Olszanicą". Informacja z końcówki zdania odżyła teraz we mnie z taką siłą, że podjąłem męską decyzję: Muszę ją odnaleźć i to za wszelką cenę!

Ponieważ najbliższym przystankiem kolejowym za Olszanicą jest przystanek w Ustianowej, pojechałem do tej miejscowości i udałem się do szkoły. Niestety, okazało się, że opisana przeze mnie nauczycielka nigdy tu nie pracowała i nie pracuje. Dyrektor szkoły poradził mi nawiązać kontakt ze szkołą w Łobozewie, miejscowości położonej kilka kilometrów w bok od Ustianowej.

Tym razem postanowiłem napisać list do dyrektora szkoły w Łobozewie i wyłożyć jasno, o co mi chodzi. Dyrektor szkoły okazał się człowiekiem nadzwyczaj uprzejmym i niezwłocznie odpowiedział. Z treści jego listu wynikało, że podobna do poszukiwanej przeze mnie osoba pracowała w jego szkole, ale obecnie przebywa na studiach w Warszawie. Do tej informacji dołączył nazwisko i adres tej nauczycielki.

Na wskazany adres wysłałem odpowiedni list. Nie czekałem długo na odpowiedź. Nadawczyni listu wysłanego ze stolicy o nazwisku Dąbrowska nie potwierdziła moich nadziei. Nie ma brata w wojsku i nigdy nie poznała żadnego żołnierza na stacji kolejowej w Zagórzcu. Mimo to, w tonie bardzo przychylnym dla mnie wyraziła gotowość do podtrzymania korespondencji. W końcówce listu zaproponowała, żebym w dniu 1-ego listopada wyszedł na przystanek w Olszanicy do określonego pociągu (podała godzinę). Tym pociągiem ona będzie jechać do Ustrzyk i wychyli się z okna ostatniego wagonu, żeby mi umożliwić konfrontację.

Przybyłem na przystanek do wskazanego pociągu, ale postąpiłem przezornie, niemal chytrze: kupiłem bilet do Ustrzyk i nie oglądając się zbyt po oknach pociągu wskoczyłem do pierwszego wagonu. Następnie zacząłem powoli, dokładnie lustrować wzrokiem wszystkie pasażerki, przechodząc z wagonu do wagonu. W środkowym wagonie doznałem nagle jakby małego, elektrycznego wstrząsu, gdy spojrzałem na twarz damy zatopionej w lekturze książki. Wydała mi się dziwnie znajomą. Drżąc z podniecenia przysiadłem obok niej.

- Przepraszam, ale chyba gdzieś już panią spotkałem - wyjąkałem

nieśmiało.

Dama spojrzała na mnie badawczym wzrokiem i po chwili twarz jej rozjaśniła się.

- Chyba tak - odrzekła - ale nie przypominam sobie gdzie.
- W Zagórzcu na stacji - dodałem pośpiesznie - podczas urlopu.
- Rzeczywiście - przyznała, a mnie ogarnęła fala szczęścia.

W dalszej rozmowie okazało się jednak, że nie jest panią Dąbrowską, i nie pisała do mnie żadnego listu. Co za zbieg okoliczności!

Oczywiście zaniechałem już szukania pani Dąbrowskiej i gaworząc mile dojechaliśmy do Ustrzyk Dolnych.

Uszliśmy za ledwie około sto metrów, gdy moja towarzyszką skręciła nagle i weszła do budynku Wydziału Oświaty. Co za pech! Nie zdążyłem nawet zapytać o miejsce pracy i nazwisko.

Byłem jednak uparty i krążyłem jak wywiadowca w okolicy budynku administracji szkolnej, a w końcu spotkałem ją na przystanku PKS. Zanim zdążyłem otworzyć usta kierowca wozu krzyknął: "-Wsiadać, odjeżdżamy!" - i moja, z trudem odnaleziona "zguba" zniknęła bez słowa za drzwiami autobusu. Załamany nie spojrzałem nawet na tablicę wskazującą docelową miejscowość.

Po kilku tygodniach w Ustrzykach Dolnych zorganizowano szkolenie drużynowych ZHP, w którym brałem udział. Wtedy przyszła mi do głowy myśl, że może ja się pomyliłem lub przesłyszałem i tym przystankiem, o którym mówiła moja znajoma jest przystanek nie za Olszanicą, ale za Ustrzykami czyli w Jasieniu. Kiedy więc dzielono nas na grupy do ćwiczeń w terenie, ja przyłączyłem się do tej, która miała operować w Jasieniu. Zagadnięta przeze mnie nauczycielka prowadząca zajęcia z wychowania fizycznego na boisku miejscowej szkoły odpowiedziała, że taka pani tutaj nie pracuje, ale uwzględniając mój rysopis podejrzewa, że jest nią nauczycielka, która zastępuje obecnie kierowniczkę szkoły w Paszowej, a więc rzeczywiście w miejscowości, do której dochodzi się z pierwszego przystanku, ale przystanku PKS w Wańkowej. Trop ten wydał mi się właściwym i prowadzącym do celu.

Zrezygnowałem z "wyprawy" do Paszowej, gdyż w tym czasie poznałem już obecną moją żonę Marię. Napisałem jednak list ( w podwójnej kopercie) do kierownika szkoły w Paszowej, żeby ostatecznie dopiąć swego, jak przystało na kawalera po wojsku. Choćby tylko dla zaspokojenia męskiej ambicji i zwykłej ciekawości. W odpowiedzi otrzymałem pełne potwierdzenie sugestii nauczycielki z Jasienia i zaproszenie na... zabawę szkolną.

Cel swój osiągnąłem, ale napięcie wewnętrzne spadło do zera i z zaproszenia nie skorzystałem. Wiadomo - serce moje było już zajęte.

Powyższą przygodę opisałem po to, żeby młodym czytelnikom uzmysłowić

jaki romantyzm cechował ich ojców będących często pionierami w odradzaniu życia w Bieszczadach.

## Narodziny pasji

Szkoła, w której podjąłem pracę mieściła się w drewnianym budynku, wybudowanym w roku 1905 staraniem ówczesnego właściciela majątku dworskiego. W czterech izbach lekcyjnych uczyło się ponad sto dzieci. Pracą trojga nauczycieli kierowała Maria Klímowicz, przybyła tu w roku 1946 z wysiedlonej wsi Woli Michowej. W tym roku jeden nauczyciel wyjechał na studia i zająłem jego miejsce.

Pełen świeżej energii zaczerpniętej w dwóch latach życia w mundurze szukałem odpowiedniej możliwości jej wyładowania. Grono nauczycielskie, chociaż nieliczne, ale doświadczone i zaangażowane w pracy było dla mnie dodatkowym dopingiem. Jako nauczyciel wychowania fizycznego zacząłem od niwelacji placu przyszkolnego i budowy skoczni. Przy okazji chłopcy ograniczyli (oznaczyli) boisko szkolne zgodnie z obowiązującymi wymiarami odpowiednim rowkiem. Wkrótce szkoła uzyskała pierwszą skocznnię, a boisko wyglądało z drogi jak prawdziwe, a nie plac zarośnięty trawą. Miało to pewne znaczenie psychologiczne. Młodzież zadowolona z wyników swojej pracy z większym zapałem grała w piłkę i trenowała lekką atletykę.

Uzyskując coraz lepsze rezultaty w różnych konkurencjach chłopcy z klas starszych postanowili wziąć udział w zawodach walterowskich organizowanych na terenie Olszanicy. A kiedy i tu poszło im nieźle, chcieli spróbować szczęścia na zawodach powiatowych. Odradzałem, nie dawałem im szans. Na przekór mnie pojechali bez opiekuna, na własną rękę. Jakież było moje zaskoczenie, gdy po zawodach przyszli do mnie uśmiechnięci i z triumfem w oczach zawołali:

- Zdobyliśmy pierwsze miejsce! A pan nam nie wierzył.

Za chwilę położyli przede mną nowiutką, skórzaną piłkę i kilka sztuk spodenek gimnastycznych, jako nagrody. Wzruszyłem się. Oto, co znaczy zapał, pewność siebie i nieodparta chęć zwycięstwa.

To wydarzenie wyzwoliło we mnie kolejny ładunek energii. Jej sporą część skierowałem teraz na zajęcia praktyczne. Dysponując minipracownią i kilkoma prostymi narzędziami podjąłem z uczniami śmiały plan: Wykonamy we własnym zakresie więcej narzędzi, a potem zrobimy pomoce naukowe do fizyki. Chłopcy zabrali się energicznie do pracy wykorzystując wszelkie możliwości jak: półfabrykaty, stare narzędzia z warsztatu PGR oraz własne pomysły.

Po upływie kilku miesięcy pracownia szkolna wyposażona była w wiele nowych narzędzi własnej roboty. Jakością dorównywały narzędziom wykonanym przez zawodowych rzemieślników. Przy ich pomocy uczniowie wykonali wiele zabawek i pomocy naukowych, szczególnie do mechaniki.

Gdy wiosną urządziliśmy wystawę prac ręcznych, na stołach oprócz wykonanych przez uczniów narzędzi znalazły się modele maszyn prostych oraz zabawki, które potem wykorzystane zostały w loterii fantowej.

Szczytowym osiągnięciem naszej "techniki" było wykonanie modelu biurowca POM w Olszanic, która do zajęć wychowania fizycznego oraz wygranie turnieju wsi w konkurencji "zielone świetlice".

Dziś, kiedy wspominam tamte czasy, sam się dziwię, w jaki sposób w tak prymitywnych warunkach i tak prostymi narzędziami mogliśmy wykonać rzeczy, które teraz z niemałym trudem wykonują uczniowie w nowoczesnych i dobrze wyposażonych pracowniach.

Entuzjazm, chęć do nauki i pracy społecznej cechowały ówczesną młodzież. Uczniowie nigdy nie narzekali na przeciążenie pracą domową, chociaż nie było jeszcze Kodeksu Moralnego Ucznia i warunki życia na wsi były o wiele trudniejsze. Samorzutnie podejmowali prace społeczne wynikające z konkretnych potrzeb. Na przykład dzięki akcji zbiórki żołądźi szkoła zakupiła telewizor.

Każde powodzenie, każde zwycięstwo w konfrontacji z młodzieżą miasta pozwalało dziewczętom i chłopcom na stopniowe przełamywanie kompleksu wsi, wytwarzając jednocześnie "stan zapalny" pod nowe inicjatywy i działania. Nie przeszkadzał temu fakt, że szkoła była w starym, cuchnącym ropą budynku, bez pracowni i bez sali gimnastycznej, że nie jedno dziecko przychodziło do szkoły źle ubrane, czy bez śniadania.

W starej szkole, w klimacie pracy i ogólnego optymizmu rodziły się moje dążenia do ucieczki od przeciętności, które w nowych, lepszych warunkach rozwinęły się w pasję.

Pierwsze moje osiągnięcie w pracy nauczycielskiej wskrzesiły we mnie iskrę twórczą; wykonałem, jako pierwszy, prototyp liczydła do nauki tabliczki mnożenia. Był to dobry pomysł i zdawał egzamin na lekcjach arytmetyki w klasach młodszych. Szkoda tylko, że nie upowszechniłem go przez czasopisma przedmiotowo-metodyczne.

Inni nauczyciele także nie stronili od zajęć pozalekcyjnych. Na przykład kol. Helena Głowa, chociaż z wykształcenia polonistka prowadziła z powodzeniem zespół taneczny, złożony z dziewcząt i chłopców klas starszych.

W tym samym czasie, w pobliżu stacji PKP, na terenie należącym niegdyś

do rolników rósł i nabierał kształtów obiekt nowoczesnej, jak na owe czasy, szkoły. Budził on nowe nadzieje, otwierał szersze możliwości twórczych pomysłów i szanse spełnienia naszych marzeń.



Fot. 2. Helena Głowa ze swoim zespołem. Obok niej autor.

Najbliżej pracującym nauczycielem z moich stron ("krajanem"), dokładniej z Targowisk był Bronisław Koziół. Przybył w Bieszczady w tym czasie co ja do Olszanicy, czyli w 1957 r. tyle, że jemu los wyznaczył Ropienkę znaną z kopalnictwa naftowego odległą od Olszanicy o 11 km w kierunku północnym. Podobnie jak ja wcześniej z Woli Matiaszowej tak on z Ropienki musiał co tydzień pokonywać pieszo 11 km do przystanku PKP w Olszanicy, aby stąd pojechać pociągiem w odwiedziny do rodziców. Czasem tylko trafiała się okazja "złapania" jakiegoś samochodu.

Z powodu dość dużej odległości między Olszanicą a Ropienką i braku odpowiedniej komunikacji kontakty nasze bywały sporadyczne. Wiem jednak że kol. Bronek poznał w Ropience swą późniejszą małżonkę (też Marię), która również miała w sobie coś z nauczycielskiej pasji, bo wspólnie z dwiema koleżankami utworzyły w szkole zespół chórny "Robroma". Nazwa zespołu powstała z połączenia pierwszych sylab współzałożycieli zespołu: Romana, Bronisława i Maria.



**Fot. 3. Rok 1962. Grono nauczycielskie z klasą ósmą na tle budynku starej szkoły. Od lewej: Zofia Faluszczyk, Janina Nowak, Jan Szele, Maria Klimowicz (kierownik szkoły), Helena Głowa, Zofia Postołowska.**

W latach sześćdziesiątych Bronisław Koziół przeniósł się do Lisznej koło Sanoka, gdzie przez lat 12 uczył dzieci i jako kierownik szkoły wybudował nowy obiekt szkolny, z którego dzieci korzystają do dziś. Do tej szkoły dochodziły również, a raczej dopływały łodzią dzieci z Międzybrodzia, wsi położonej za Sanem, która w czasie podnoszenia się poziomu wody w rzece stawała się wyspą. O niej to kiedyś pisał w "Nowinach" red. Edmund Gajewski w artykule pt. "Wyspa Robinsona".

Dziś Bronisław z sentymentem wspomina tamte pionierskie lata kiedy spotykamy się przy kawie w jego nowym domu koło stacji kolejowej Targowiska.

## Z wakacji

Pierwsze wakacje spędziłem w stronach rodzinnych. W miarę jednak pogłębiania znajomości z "moją dziewczyną" czyli Marysią Orłowską coraz więcej letnich tygodni spędzałem w jej rodzinnym domu. W czasie wolnym od prac w gospodarstwie jej rodziny urządzaliśmy sobie wycieczki krajoznawcze na pobliskie wzgórza: Dział, Magurę i Żuków. Fascynowała mnie przyroda tych terenów ze śladami pogorzeliśk zarośniętych pokrzywą, półdzikimi sadami i wysokimi trawami, poprzez które musieliśmy się przedzierać forsując liczne progony (wąwozy do przegonu bydła) i potoki z czystą jeszcze jak kryształ wodą górską.

Często towarzyszył nam mój przyjaciel z liceum Zenek Weber osiadły na Dolnym Śląsku, spędzający wakacje najczęściej w rodzinnej wsi, Łękach Dukielskich. Aparatem fotograficznym, który zawsze przywoził ze sobą upamiętniał mile spędzone z nami dni na łonie bieszczadzkiej natury.

Niedługo przed ślubem przenieśliśmy się do domu Orłowskich rezygnując z beznadziejnej walki z "podziemiem" zakonspirowanym pod podłogą mojego mieszkania.

Latem 1961 roku ja i Maria - już moja małżonka - otrzymaliśmy od Zdzisława Kalinowskiego znanego w powiecie leskim nauczyciela i działacza harcerstwa zaproszenie do udziału w harcerskim obozie wędrownym, którego trasa miała prowadzić wzdłuż Bałtyku. Zaproszenie przyjęliśmy bardzo chętnie, bowiem Zdzisław Kalinowski był postacią nietuzinkową, pełną żywotności, niespożytej energii i sypiącą wciąż nowymi pomysłami. Jako nauczyciel zajęć praktycznych w Lesku podniósł na wysoki poziom ten przedmiot zostając instruktorem metodycznym od zajęć praktycznych, a szkolna sekcja akro-

batyczna, której był trenerem przysporzyła szkole leskiej ponad 200 dyplomów, 8 proporczyków i 3 razy zdobyła puchar przechodni.

Kalinowski nie należał jednak do ludzi pokornych, szczególnie kiedy w sporze miał poczucie racji. Jego stanowczość i bezkompromisowość znana była w całym powiecie; miał wyraźnie w sobie coś z watażki-Kmicica, któremu



Fot. 4a. Powrót z Działu.

nie warto było wchodzić w drogę. Cechy te, dla wielu kontrowersyjne nie zawsze ułatwiały życie, ale zapewniały mu u podopiecznych posłuch, porządek i wzorową dyscyplinę. Miałem możliwość przekonać się o tym podczas wędro-

wiek z jego "wiarą harcerską" przez Wybrzeże.

Na przykład podczas obozowania na Helu, kiedy doniesiono Kalinowskiemu pełniącemu funkcję komendanta obozu, że pewien harcerz palił papierosa, komendant natychmiast zrobił zbiórkę obozu, nieszczęsnemu "palaczowi" rozkazał wystąpić i ostrym tonem zapytał:



Fot. 4b. Powrót z Działu.

- Co by zrobił twój ojciec, gdyby tu był i dowiedział się o tym?!

Gdy ten drżąc ze strachu odpowiedział, że spralby go po gębie, komendant bez wahania to uczynił (za ojca) na oczach zebranej młodzieży.



Fot. 5 abcd. Z wędrowki wzdłuż Wybrzeża. Na zdjęciu 5a z lewej: komendant obozu Zdzisław Kalinowski.

Od tej pory nikt już nie próbował zaciągać się dymem z papierosa.

Atrakcją, a nawet "gwardią przyboczną" komendanta obozu była starszo-harcerska drużyna "Krase Byki" utworzona z byłych członków Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej - sekcji gimnastycznej posiadających już powyżej 18 lat i pracujących zawodowo. "Chłopcy o twardym charakterze, silnej ręce, ale i o złotym sercu" - napisał kronikarz w grubej księdze harcerstwa leskiego. Na obozie prawie wszyscy z tej drużyny byli "uzbrojeni" w przeróżne

sztylety, bagnety, a nawet szable. Dzięki temu czuliśmy się zawsze bezpieczni; drużyna "Krase Byki" choć bardzo rozśpiewana budziła wszędzie respekt nawet u opryszków i cwaniaków z większych miast.

Dokonując wpisu do kroniki ZHP zanotowałem między innymi:

"Obóz ten był zorganizowany bardzo dobrze (...). Druhowi i komendantowi Kalinowskiemu należy zawdzięczać, że dzięki swej niespożytej energii potrafił wyprowadzić nas niejednokrotnie z trudnej sytuacji. (...) "Krase Byki" bardzo dobrze śpiewali rozweselając całe Wybrzeże i przynosząc dobrą opinię Bieszczadom. Jeszcze raz dziękuję. Czuwaj! dh (podpis nieczytelny)

## Z chaty do chaty

Kiedy moja "rodzinka" dwuosobowa powiększyła się o synka, postanowiliśmy z małżonką usamodzielnąć się i zamieszkaliśmy "kątem" u państwa Guzików zajmującego się uprawą roli. Do dyspozycji mieliśmy jedną izbę i kuchnię, także z oknami na zachód. W izbie brakowało pieca, a kuchnia nie mogła ogrzać dostatecznie obydwu pomieszczeń. Postawiliśmy więc piecyk na troty zwany "trociakiem", ale i on nie sprostał wymaganiom małego dziecka, które niedawno przyszło na świat. Synka musiała wziąć pod opiekuńcze skrzydła babcia, a ja i żona musieliśmy się jakoś dostosować do spartańskich warunków.

Nie opuszczał nas jednak (szczególnie mnie) dobry humor. Kiedyś na przykład zaprosiłem do siebie kolegę z mojej, rodzinnej wsi Janka Kielara, który pracował jako wychowawca na kolonii letniej w Wańkowej. Miał przybyć z dwiema paniami, wychowawczyniami z kolonii. Na powitanie spodziewanych gości przygotowałem wódkę w butelce po denaturacie (z trupią główką na etykiecie), zabarwioną sokiem z borówek i butelkę zalakowałem.

Kiedy goście zasiedli przy okrągłym stole (już wtedy takie stoły istniały) zdjąłem lak z butelki, wyjąłem korek i niebieskawym płynem napeliłem cztery kieliszki. W oczach kolegi i jego towarzyszek spostrzegłem wyraźną konsternację.

- Wasze zdrowie! Czym chata bieszczadzka bogata tym goście... urwałem zdanie, wychylając do dna kieliszek ze złotą obwódką. Nikt nie poszedł w moje ślady. Widząc, że nic się ze mną nie dzieje, odważył się wypróżnić kieliszek kolega. Dopiero kiedy to uczynił roześmiał się całą gębą, chwyciły za kieliszki panie. Potem i one wybuchnęły chichotem, co było miłą inauguracją naszego spotkania.

Chcąc mieć bliższy kontakt z dzieckiem nie mogliśmy dłużej pozostawać u

Guzików mimo ich życzliwej przychylności. Kiedy tylko "odkryliśmy" wolną chatę po wysiedlonej rodzinie Stareńczaków, nie zwlekając, przenieśliśmy się do niej, gdyż znajdowała się blisko teściowej sprawiającej opiekę nad naszym dzieckiem.

Nie wywołała w nas większej uciechy, bowiem widać było na niej (w środku i na zewnątrz) piętno czasu, a w sąsiedztwie kuchni znajdowała się obora. Wprawdzie pusta, ale nie pachniała wiosennym kwieciem. Za to mieszkaliśmy sami (nie licząc kocurów na strychu), w pokoju stał kaflowy piec, a za oknem zielenił się latem ogródek na kwiaty i warzywa. Pominę uciążliwą walkę z krecią partyzantką, gdyż walka towarzyszy człowiekowi całe życie.

Większy problem był z wodą. Do studni było dość daleko, a woda z pobliskiego potoku była wątpliwej czystości. Trzeba było ją przecedzać przez sito, żeby nadawała się do spożycia po przegotowaniu. Miała wszakże jeden niewątpliwym walor: nie zawierała cezu ani żadnych pyłów z "kadzidel" bratnich, południowych sąsiadów.

Były to jednak czasy, kiedy żaden ludzki problem nie zdołał zamącić radości życia. W pokoju "swojej" chaty urządzaliśmy dość często tzw. prywatki czyli potańcówki przy adapterze, na które zapraszaliśmy swoich przyjaciół, a wśród nich miejscowego felczera Jana Tomaszewskiego, człowieka z poczuciem humoru, czasem rubasznego, który mógłby przetańczyć całą noc, gdyby adapter powtarzał piosenkę Piotra Szczepanika "Wiem, że nie wrócisz". Zdobywał on sobie szybko popularność i sympatię ludzi dzięki trafności stawianych diagnoz i nieustannej gotowości do niesienia pomocy na każde wezwanie.

Pewnego razu idąc do niego z rewizytą z okazji imienin spotkałem po drodze znajomego, księgowego z Inspektoratu PGR, pana Franciszka Babiaka, wiarusa spod Monte Cassino. Zdziwiło mnie, że zamiast kwiatów dzierżył w ręce "bukiet" z pokrzyw zerwanych w przydrożnym rowie. Nic nie mówiąc, czekałem co z tego wyniknie. Stary weteran i w tej sytuacji zachował przytomność umysłu oraz poczucie humoru jakie cechowały bohaterów spod "góry ofiarnej". Po przekroczeniu progu mieszkania wręczając solenizantowi wiązaną parzącego ziele zaintonował: "Żołnierz róży nie przyniesie, tylko polny kwiat...".

Wybuchnęliśmy śmiechem, a solenizant nie tylko, że nie obraził się, to jeszcze posadził pana Franciszka przed najgłębszym kielichem.

Nigdy nas nie opuszczał dobry humor, a radość życia nosiliśmy ze sobą, jak żołnierz nosi manierkę z ożywczą wodą.

## Sagan

"Sagan" - to przezwisko Tadeusza Wrotniaka starego nauczyciela o sylwetce i rysach hucuła, urodzonego u źródeł Sanu, a "znalezionego" gdzieś na Śląsku przez władze oświatowe powiatu leskiego po to, żeby uczynić zeń kierownika szkoły w Olszanicy po odejściu na emeryturę pani Marii Klimowicz. Do mnie ówczesny inspektor szkolny nie miał zaufania bowiem znany byłem ze śmiałych i często krytycznych wypowiedzi pod adresem istniejącej rzeczywistości, zaś kadencja kierownicza starszej pani Janiny Nowak, skądinąd godnej szacunku osoby trwała zaledwie dwa tygodnie.

"Sagan" czyli pan Tadeusz Wrotniak jako kierownik szkoły zaskoczył, prawie że sparaliżował wszystkich nauczycieli dyktatorskim stylem kierowania. Dla młodzieży starał się być surowym, ale sprawiedliwym "papa", ale nie liczył się z gronem nauczycielskim, zaczął nawet lekceważyć uchwały Rady Pedagogicznej.

Nie był jednak pozbawiony cech pozytywnych: dbał o dyscyplinę i porządek w szkole, potrafił rozbudzać u uczniów różne zainteresowania (np. "zaraził" filatelistyką mego syna) wysuwał rozmaite inicjatywy jak organizacja konkursu na najlepszy ogródek kwiatowy we wsi, no i nie "trząsł portkami" przed władzami Olszanicy. Tę ostatnią "cechę" demonstrował zbyt ostentacyjnie narażając się wszystkim czynnikom społeczno-politycznym wsi i po dwóch latach "panowania" musiał opuścić środowisko.

Zanim do tego doszło zdążył jeszcze zmienić do mnie stosunek i wykreować mnie na swego następcę. Na tym polu działał chyba skutecznie, bo pod koniec sierpnia 1967 roku inspektor szkolny Zygmunt Skalkowski zaproponował mi przyjęcie obowiązków kierownika szkoły, na co wyraziłem zgodę. Zresztą nie miałem wyboru; odmowa oznaczałaby ryzyko, iż znów się mogę znaleźć pod rządami jakiegoś despoty.

Jeśli chodzi o pana Wrotniaka to, cokolwiek by o nim nie powiedzieć, jedno jest pewne: był krótko, ale pozostawił po sobie pewne wrażenie.







## Wizje

W dniu 18 czerwca 1969 roku dokonano odbioru technicznego budynku nowej szkoły, a dwa dni później odbioru końcowego przy współudziale Okręgowej Dyrekcji Inwestycji Miejskich w Krośnie. Ze względu na organizację kolonii letniej szkołę oddano z pięćdziesięcioma dziewięcioma usterkami i niedoróbkami, które według protokołu odbioru miały być usunięte w terminie późniejszym.

W lipcu, na uroczystej sesji GRN nowy obiekt szkolny został przekazany społeczeństwu wsi.

Po zakończeniu uroczystości, kiedy przebrzmiały echa przemówień i oklasków przyszła pora na realną ocenę stanu faktycznego szkoły i działki szkolnej. Usterki wykazane w dokumentach zdawczo-odbiorczych zaczęły ujawniać swoją moc w czasie zajęć szkolnych, a teren szkolny przypominał bardziej grunt księżycowy niż plac szkoły.

Patrząc na to okiem kierownika szkoły, a zarazem wizjonera widziałem nie obraz pustynny, ale prostokąty boisk z liniami kolorowych figur, wstęgę bieżni, zielone zatoki z wysepkami kwiatów, szpalery róż, labirynt chodników, a w środku strzelający w górę giętki maszt z "gniazdem" orła białego u podstawy.

Drugą wizję, może nie tak wyraźnie zarysowaną, stanowił przyszły widok sal lekcyjnych i pracowni urządzonych według najnowszych wzorców, w harmonii między formą i funkcją.

Nie wiem dlaczego, ale mocno wierzyłem, że te wizje za lat kilka staną się rzeczywistością. Może źródłem tej wiary należało szukać w powodzeniach dydaktyczno-wychowawczych i społecznych oraz w zaufaniu, jakim darzyło mnie grono, środowisko i władze gromadzkie.

## Przeprowadzka

Zanim oddałem się rozkoszy twórczego działania, trzeba było przewieźć majątek szkolny z budynku starej szkoły do nowego obiektu. Nie było to

przedsięwzięcie proste, ponieważ przypadało na sierpień, miesiąc żniw i omłotów w Bieszczadach, a kadra nauczycielska przebywała jeszcze na wakacjach. Dlatego w letnie, słoneczne dni, gdy większość ludzi pracowała w polu, na pustej drodze biegnącej przez wieś można było zobaczyć wóz załadowany sprzętem szkolnym, kursujący wahadłowo między starym, a nowym budynkiem szkolnym, na nim zaś człowieka o moim nazwisku i moim imieniu podtrzymującego kołyszące się meble.

Dopiero w pierwszych dniach nauki szkolnej, dzięki wysiłkowi nauczycieli i młodzieży, przy wydatnej pomocy POM, GS i Komitetu Rodzicielskiego przeprowadzka została zakończona.

### Plany i czyny

W oparciu o wizję mogłem opracować w ogólnych zarysach plan zagospodarowania działki szkolnej. Posiadając ogromny kapitał zapału wśród nauczycieli i młodzieży, sojuszników w Komitecie Rodzicielskim, POM-ie i GS-ie oraz pewną kwotę, jaka pozostała z inwestycji przystąpiłem do jego realizacji.

Zacząłem od niwelacji terenu, usuwania gruzu i kamieni oraz wydobywania spod powierzchni ziemi takich rzeczy jak stłuczone tafle szkła, stalowe pręty, skamieniałe worki cementu i inne dowody rzeczowe" trwających tu wcześniej prac budowlanych. "Wykopaliska" te wzbogacały naszą wiedzę o naturze wykonawców z Państwowego Przedsiębiorstwa Rolniczego w Lesku. Nie dziwił więc fakt, że złośliwi odczytywali skrót PBR na swój sposób: "Panie Boże Ratusz!". Mimo wielu niespodzianek i zadziwiających "odkryć" do końca września teren został oczyszczony.

W następnych miesiącach posadzone zostały drzewa, krzewy ozdobne, za ogrodzeniem drzewa owocowe, a pod budynkiem sali gimnastycznej uczniowie posadzili 50 róż ofiarowanych przez POM, który przejął rolę zakładu opiekuńczego szkoły.

Nadeszła zima. Szkoła przybrała nowy strój do swoich kształtów i barw. Mróz wyostrzył jeszcze bardziej świerki srebrzyste posadzone przed frontem szkoły i domu nauczyciela, który swoją bryłą przypominał bardziej warsztaty szkolne lub garaż. Rozjaśnił też umysł. Zrozumiałem, że moje plany w odniesieniu do obiektów sportowych i rekreacyjnych nie są dopracowane. Brak odpowiedniego doświadczenia i znajomości przepisów normatywnych uniemożliwiał rozpracowanie szczegółów. Obawa, że z tego powodu mogą się opóźnić prace, nie dawała spokoju wewnętrznego, chociaż świat wokół był piękny, sanie na drogach wydzwaniały pieśń grudnia i w nowej scenerii

witaliśmy święta. Zadowolony z pierwszych dokonań, ale z odczuciem niedosytu przekroczyłem próg roku 1970.

Wtedy pojawił się Piotr. Był jakby podarunkiem noworocznym losu. Już wcześniej znałem jego upadki i wzloty, ale mnie bardziej interesowały wzloty. Upadki wołałem zapomnieć. Piotr docenił takie podejście do sprawy - z miejsca zapalił się od żaru, którym objęta była większa część szkoły. Wniósł własne spojrzenie do moich wizji i planów, sygnął wieloma pomysłami, a co najważniejsze - zaoferował konkretną pomoc w projektowaniu i budowie obiektów sportowych. Romantyk o duszy artysty, znający się na muzyce i sporcie wypełnił idealnie lukę w mojej przygodzie z pracą. Jego fachowość, moje kompetencje oraz nasz romantyzm i nieokiełznana wyobraźnia twórcza



Fot. 7. Żołnierze OTK podczas prac . Pierwszy z prawej podporucznik Mieczysław Słowik. W środku autor.



**Fot. 6. Grono nauczycielskie przed nowym budynkiem szkoły. Z lewej od góry: Piotr Marszałek, Maria Szelc, Jan Szelc (dyrektor). Od lewej z dołu: Stefania Granatowska, Maria Nowak, Maria Markulis, Wanda Socha, Paulina Feresztyn (pracownik administracji), Katarzyna Trampus.**

sprzęgły się ze sobą. Dzięki temu wiosną mieliśmy już dokładnie opracowany plan budowy obiektów sportowo-rekreacyjnych, a w kwietniu rozpoczęliśmy szeroko zakrojone prace z udziałem młodzieży, nauczycieli i zaangażowanych rodziców.

Prace te przybrały na sile w jesieni. Jedni zwozili żużel, piasek i żwir, inni pracowali przy wykopach ziemnych pod budowę bieżni. Wiele czasu pochłonęło przygotowanie podkładu (podłoża) pod boisko asfaltowe do kosza. W transporcie przyszło nam z pomocą Kółko Rolnicze. Pomagał nam w tych pracach przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego Adam Prajzner, a wszelkie nasze inicjatywy wspierał swym autorytetem Eugeniusz Radko. POM, w tym okresie, przejawiał mniej zainteresowania współpracą ze szkołą. Miejscowy "aktyw gromadzki" nie przeszkadzał nam w tych poczynaniach. Przewodniczący GRN Bronisław Wiśniewski z uznaniem patrzył na wyniki naszych prac i dodawał otuchy. Nic dziwnego, wojnę przeżył w mundurze, a ścieżki wojenne zaprowadziły go z Pomorza w Bieszczady, gdzie założył rodzinę i osiadł na stałe. Ponieważ był romantykiem, jak ja, i też miał zainteresowania literackie (mawiał często, że "pisze do szuflady") zawarliśmy przyjaźń. O tym, że ludzie nie znający zapachu prochu nie zawsze są życiowi i łatwi we współżyciu, miałem przekonać się później.

Ale, jak się mówi, nie ma róży bez kolców. Kłudy nas usterki - mnóstwo usterek, które były usuwane opieszale przez wykonawcę. Odrywały bowiem od głównego nurtu naszych działań, utrudniały utrzymanie porządku i czystości. Atakowany przeze mnie dyrektor PBRolu znalazł wreszcie "wyjście":

- Róbcie sami, a my pokrywać będziemy przedłożone rachunki.

Było to jednak wyjście pozorne. Szukanie wykonawców, wydawanie zleceń czy zawieranie umów, a także odbiór prac wymagały pewnego doświadczenia i znajomości przepisów budowlanych. Zaczęły się więc trudności jeszcze większe niż przedtem. Doszło nawet do tego, że Dyrekcja PBRol odmówiła realizacji rachunków wysuwając różne zastrzeżenia.

Uratował mnie przypadek. Podczas lustracji przedsiębiorstwa inspektor z kontroli odkrył nasze praktyki, zadzwonił do mnie, przedstawił się i poradził życzliwie, żebym nie wykonywał więcej czynności, które przekraczają moje kompetencje, a należą do wykonawcy, bo mogę się zapędzić w...

Nie powiedział już dokąd (czy w co), ale zrozumiałem go dobrze i z poczuciem wdzięczności dla inspektora odłożyłem słuchawkę. Od tej pory PBRol musiał sam "wyciągać kolce", które zostawił w organizmie szkoły, a ja z Piotrem mogliśmy oddać się swoim pasjom.

Wiosną 1971 roku nawiązałem współpracę z jednostką wojskową OTK stacjonującą w Myczkowcach. Mój kolega z liceum Mieczysław Słowik pełnił

w niej służbę, jako oficer rezerwy na stanowisku z-cy dowódcy kompanii. W ramach tej współpracy nasz zespół chóralny dał występ dla żołnierzy tej jednostki, a żołnierze pomogli nam w budowie boisk i bieżni układając 450 krawężników wykonanych z betonu.

Przy budowie boiska do koszykówki zwróciłem się z prośbą o pomoc do Rzeszowskiego Przedsiębiorstwa Robót Drogowych mającego swoją bazę w Uhercach. Poparcia udzielił mi Tadeusz Kowalewski z Olszanicy, pracownik tego przedsiębiorstwa oraz Eugeniusz Radko. Kierownictwo RPRD, a szczególnie kierownik Marian Sołek oraz inżynier Aleksander Durak przyjęli z wielką życzliwością i zrozumieniem naszą prośbę. Dzięki ich pomocy udało nam się (częściowo w czynie społecznym) położyć dywanik asfaltowy na boisku i tym sposobem zaoszczędzić kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Komisja specjalna dokonując przeglądu boisk wyróżniła naszą szkołę w konkursie krajowym i przyznała nam z tego tytułu kwotę 5 tysięcy złotych w sprzęcie sportowym.

Korespondent "Nowin Rzeszowskich" w artykule "W stronę wsi" napisał między innymi:

"...Szkoła kończy budowę boiska asfaltowego, ma salę gimnastyczną, bieżnię i inne urządzenia do lekkiej atletyki. Nikt tego, na szczęście, nie zamyka /.../ z urządzeń może korzystać cała młodzież."

W urządzaniu wewnątrz szkoły też nie opuszczał nas dobry duch. Przy dużym zaangażowaniu nauczycieli i uczniów, a także zrozumieniu naszych potrzeb przez Dyрекcję Przedsiębiorstwa "Cezas" w Rzeszowie wyposażone i urządzone zostały wszystkie klasopracownie oraz pracownia fizyko-chemiczna i pracownia do zajęć praktycznych.

W taki oto sposób spełniły się moje pierwsze wizje, plany i marzenia.

## Drugi etap

Kiedy baza lokalowa i dydaktyczna szkoły zostały w pełni przygotowane, kiedy zagospodarowaliśmy i to efektownie, a zarazem funkcjonalnie tereny szkoły, uświadomiłem sobie nagle, że był to pierwszy etap. Teraz dopiero czeka nas główne zadanie do wykonania, a mianowicie podniesienie poziomu pracy dydaktyczno-wychowawczej i opiekuńczej szkoły.

Wytworzona przez nas materialna rzeczywistość zaczęła wywierać pewien nacisk psychiczny na swoich twórców. Każdy uczeń i nauczyciel przynależny do niej związkiem włożonej pracy odczuwał dziwny wewnętrzny nakaz:

- Teraz musisz sięgnąć wyżej i nie dać się wyprzedzić! Dużą rolę odgrywało także zaangażowanie większości nauczycieli. U niektórych stopniowo przerażało się w pasję. Moją pasją stało się teraz doskonalenie metod nauczania i wychowania. Miałem możliwość wykazania się inwencją twórczą jako dyrektor szkoły oraz jako nauczyciel fizyki i chemii. Warsztat pracy urządziłem sobie według swojego uznania. Pomoce naukowe najbardziej niezbędne, używane najczęściej, musiały być pod ręką. Starłem się zainteresować uczniów przedmiotami m.in. przez stosowanie ćwiczeń z fizyki w warunkach naturalnych (w terenie), ukazywanie ciekawostek wyciętych z czasopism (gromadzonych w teczce), stawianie zagadek w gazetce przedmiotowej. Na zajęciach kółka fizycznego wykorzystywałem takie pozycje książkowe jak: "Mała fizyka", "Fizyka na wesoło", "Między zabawą i fizyką" itp. Uczniowie typowani do olimpiad musieli rozwiązać prawie wszystkie zadania ze zbioru, a więc około tysiąca. Łatwe zadania rozwiązywali samodzielnie w domu, średniej trudności na lekcjach, a najtrudniejsze (z tzw. gwiazdką) na zajęciach kółka fizycznego.

Nauczyciele również wykorzystywali optymalnie swoje klasopracownie i własne pomysły. Względna stałość programów i podręczników pozwalała na sumowanie doświadczeń i wypracowanie odpowiedniego stylu pracy, który w połączeniu z twórczą aktywnością po kilku latach zaczął dawać efekty. Szkole przybywało "olimpijczyków" i dyplomów. Pod koniec każdego roku szkolnego organizowaliśmy "dzień olimpijczyka", na który oprócz laureatów konkursów i olimpiad zapraszani byli także ich rodzice.

W nowej szkole pojawiły się w mojej głowie także myśli twórcze. Między innymi wpadłem na pomysł organizowania szkolnych konkursów ortograficznych. Języka polskiego wprawdzie nie uczyłem, ale podsunąłem ten pomysł polonistom. Sam niejednokrotnie układałem teksty: najłatwiejsze do eliminacji, nieco trudniejsze do ćwierćfinału, trudne do półfinału, bardzo trudne (wyszukane) do finału. Najlepsi otrzymywali odpowiednie dyplomy. Przyznam, że konkursy te rozbudziły zainteresowania pisownią polską przynajmniej u części młodzieży i przyczyniły się do podniesienia poziomu ortografii w szkole.

O piękno pisma czyli o jego kaligrafię walczyłem nieugięcie przez przyzwyczajanie uczniów do używania dobrych piór zamiast różnej, nieraz wątpliwej jakości długopisów. Argumenty moje były proste, oparte na prawach fizyki: końcówka (kulka) długopisu ślizga się lub toczy jak narta bez rowka; trudno go utrzymać nie zbaczając z linii, pióro natomiast pokonując większe tarcie i posiadając w środku minimalną szczelinę spełniającą rolę rowka w nartcie, łatwiej poddaje się woli ręki i nadaje literom pożądany kształt.

Wielu uczniów i nauczycieli udało mi się tym sposobem przekonać. Nagrodą

dla wszystkich było piękne, kształtne pismo, wspólna satysfakcja i wystawa zeszytów najpiękniej prowadzonych pod względem kaligrafii.

Moje doświadczenie z pracy dydaktyczno-wychowawczej przedstawiłem w miesięczniku "Fizyka w szkole" oraz w "Nowinach Rzeszowskich" (artykuł "Przede wszystkim: właściwe współdziałanie").

Muszę jednak przyznać obiektywnie, że pasje, które pochłaniają człowieka niemal całkowicie mają także drugą stronę: uszczuplają budżet czasu należny rodzinie. Stąd jak wyrzut sumienia brzmią strofy wiersza "Córeczce".

podaj mi  
słowo rozbawione wiatrem  
uśmiech  
wyczarowany z łąki  
rączkę  
gotową zawsze do ucieczki

podaj  
ponad murem codzienności  
który stanął  
między mną a czasem  
przeznaczonym dla ciebie

wykrusz szeptem  
miejsce  
na bicie serca

W sporcie i wychowaniu muzycznym wyżywał się Piotr. Wykorzystując swój talent do muzyki i sportu rozspiewał młodzież i przysporzył szkole sukcesów w dziedzinie sportu, a w piłce koszykowej doprowadził naszą drużynę do ligi okręgowej. Każda impreza sportowa na terenie szkoły była niemal świętem: po zawodach zwycięzcy stawali na podium i przy podniesionej fladze wręczane im były nagrody.

Do sukcesów sportowych przyczynił się także Jan Tomaszewski, o którym już wspominałem. Oprócz tego, że posiadał rzadką intuicję w rozpoznawaniu chorób u dzieci, był zagorzałym kibicem naszych zawodników i często zagrzewał ich do walki podczas imprez sportowych. Można się domyślić, że był ulubieńcem młodzieży szkolnej, a jego widok dodawał otuchy i sił nie tylko w zmaganiach na boisku, ale również w innych trudnych chwilach życiowych. Młodzi i starzy wyrażali się o nim bardzo ciepło używając imienia: Jasio.

Praca naszej szkoły i jej wyniki interesowały dziennikarzy z "Nowin Rzeszowskich" (potem "Nowin"), a najbardziej red. Edmunda Gajewskiego i fotoreportera Włodzimierza Kirsznera, z którymi zawarłem przyjaźń. Stąd na łamach tego dziennika znalazły się takie artykuły jak: "W interesie społecznym...!" (E. Gajewskiego) oraz "Olszanicki punkt widzenia" (Bogdana Biskupa), a nieco później artykuł o Janie Tomaszewskim pt. "Nasz Jan" (też E. Gajewskiego).

Ja natomiast nie przejmowałem się tym, że inspektor szkolny wysokie wyniki naszych uczniów w konkursach i olimpiadach szkolnych składał na karb ich wyjątkowych zdolności. A może rzeczywiście byli oni potomkami "synów Bożych", którzy w czasach prehistorycznych mieli przybyć z kosmosu na naszą planetę... Kto to rozstrzygnie?

Na zakończenie należy zaznaczyć, że taka atmosfera pracy, wzajemnego współzycia i zdrowej rywalizacji mogła zaistnieć w naszej szkole dlatego, że nie była ona "kombinatem", jakie buduje się do dziś, ale jedną, wielką rodziną, społecznością, w której nie było anonimowości (liczyła ponad 200 uczniów), a podstawą współdziałania było wzajemne zaufanie.

## Bieszczadzkie Kuranty

Romantyzm naszych zmagania, wydobywanie barw życia i nadawanie im smaku przygody miały oprawę muzyczną odkąd Piotr utworzył zespół chóralski. Już pierwszy jego występ na "choince noworocznej" został przyjęty gorącymi oklaskami. A gdy wieść o muzycznych zdolnościach Piotra rozeszła się po okolicy, nie zaznał on spokoju. Musiał "obsługiwać" imprezy w gminie, a później w powiecie. W lutym 1971 roku odniósł pierwszy, większy sukces. Jego zespół wokalny zajął I miejsce w eliminacjach powiatowych. Przechodził później różne przemiany: to się rozpadł na dwa ("Magdalenki" i "Miniaturki"), to znów występował jako jeden zespół, którego nazwa dopiero dojrzała. Pod wrażeniem tego zespołu podsunąłem Piotrowi tekst mojego wiersza "Gdzie złożyć kwiaty?". Piotr zapłonął, jak potarta główka zapalniczki. Po nieznaczących przeróbkach tekstu wszedł w stadium twórcze - trans kompozycyjny.

W tym samym czasie najlepsza krawcowa w gminie kroili materiał na stroje dla zespołu.

Wreszcie nadszedł moment prapremiery naszej, wspólnej pieśni. Chór złożony z uśmiechów młodości, w pięknych, nowych strojach stanął na scenie. Na sali zaległa cisza.

Piotr z blaskiem w oczach rzucił śpiewem pytanie wywołując dreszcz:

Gdzie złożyć kwiaty tym co przeszli  
kaskady ognia, zwały ciał stygnących,  
by złożyć głowę w górskiej trawie,  
na swojej ziemi, pod swoim słońcem?

Jakby w odpowiedzi, z ust dziewcząt i chłopców popłynął srebrnym strumieniem refren pieśni, to unosząc się dźwięcznym kurantem, to opadając smutkiem, jak żałobny dym:

Nad wzgórzami sosny płoną  
niby świece nad grobami -  
ślą wspomnienia matkom, żonom  
tych co życie kładli dla nich.

Publiczność była wzruszona treścią pieśni i ekspresją wykonania, zaskoczona ciekawą aranżacją i czystością głosów. Zespół przyjął nazwę "Bieszczadzkie Kuranty".

"Bieszczadzkie Kuranty" przysporzyły dyplomów biorąc udział w corocznych konkursach wokalnych, a Piotr sięgnął po następne, moje teksty, by im dorobić skrzydła melodii. Niektóre, wraz z nutami umieszczone zostały w informatorze kulturalno-turystyczno-sportowym województwa krośnieńskiego, a pieśń "Gdzie złożyć kwiaty?" została wykorzystana przez telewizję w Panoramie Rzeszowskiej.

Piotr doskonale interpretował moje wiersze. Było to dla mnie cenne odkrycie, gdyż sam czyniłem to nie najlepiej.

Jesienią 1971 roku otrzymaliśmy z Piotrem zaproszenie do wzięcia udziału w przeglądzie dorobku kulturalnego powiatów, zorganizowanego w Rzeszowie.

W kontaktach z Piotrem doznawałem różnych przeżyć duchowych. Podczas spotkań towarzyskich zdarzało się na przykład, że w porywie nagłego uniesienia, ekstazy duchowej, wznosił instrument, jak hostię, wyciskał zeń duszę i nieoczekiwanie zapadał w stan podobny nirwanie. Wtedy jego dłonie traciły czucie, akordeon wysuwał się z rąk nie odnosząc szwanku.

Wrażenia i przeżycia doznawane w takich przypadkach ująłem w wierszu "Harmonista" kończącym się słowami:

... a był to akord niezwykle  
uchodzącej z rąk duszy

kiedy wznoszono  
jego toast.

Piotrowi zawdzięczam wiele, podobnych wzruszeń, a młodzież wspominać go będzie długo, bo chociaż był człowiekiem kotrowersyjnym, posiadał nieprzeciętną osobowość i umiał nawiązywać kontakty z ludźmi.

### Pasjonaci w gminie

Odkąd powołano mnie na gminnego dyrektora szkół, jarząca się gwiazda olszanickiej szkoły nieco przygasła. Był to naturalny skutek działania zasady zachowania energii. Skoro pewną ilość kwantów mojego serca i rozumu przeniosłem na szkoły zwane filiami, nie mogło być inaczej. Nie czyniłem z tego problemu, ale wprost przeciwnie: rad byłem, że udało mi się przenieść płonącą żagiew na sąsiednie środowiska, które także miały prawo wyzwolić się z przeciętności.

Wkrótce "łeb w łeb" szła z nami szkoła w Uhercach (kierowana przez **Zofię Dawidko**) rywalizując w olimpiadach przedmiotowych, sporcie i organizacji imprez. Jeszcze bardziej zaskoczyła nas Stefkowa, wieś znacznie mniejsza od Olszanicy. Tam bowiem, podobnie jak w Olszanicy, zawiązał się duet pasjonatów w osobach dyrektora szkoły **Zygmunta Gajewskiego** oraz nauczyciela w.f. z wykształcenia polonisty, **Janusza Gołdy**. Duet ten przy moim poparciu i pomocy ze strony rodziców w ciągu kilku lat zdołał dokonać niebywałych, jak na owe czasy rzeczy; otoczyć boisko szkolne pasem bieżni, położyć krawężniki, wykonać skocznie i rzutnie, boisko do tenisa, wybudować minitrybunę wykorzystując naturalne uskoki terenu i na końcu wszystko to przypieczętować wyciągiem narciarskim zbudowanym na pobliskim stoku czynem społecznym, przy pomocy Leśnictwa i POM w Olszanicy.

Ceremoniał otwarcia wyciągu odbył się 20 stycznia w Roku Dziecka, a wśród zaproszonych gości znaleźli się m.in. redaktor "Nowin Rzeszowskich" Edmund Gajewski i fotoreporter Włodzimierz Kirszner. Dlatego w numerze 41 tej gazety, z dnia 22 lutego 1979 roku ukazała się notatka pt. "Nowy wyciąg narciarski". Była ona sympatycznym akcentem tego wydarzenia, jakby częściową rekompensatą za trud i wysiłek szkoły oraz społeczeństwa Stefkowej.

A wyniki w sporcie? Były również zaskakujące. Wystarczy wspomnieć wysokie lokaty szkoły narciarskiej prowadzonej w ramach "eksperymentu limanowskiego", osiągnięte na skalę wojewódzką i czołowe miejsce w lekkiej atletyce na zawodach rejonowych i wojewódzkich.

Miłą niespodziankę sprawiła także szkoła w Wańkowej. **Józef Cieślik**, nauczyciel wychowania fizycznego z powołania, tknięty "iskrą Bożą", wsparty przez dyrektora szkoły poszedł śladami innych szkół i zmodernizował boisko szkolne, a później "wyhodował" mistrzów w tenisie stołowym.

I tak płomień pasji rozprzestrzeniał się porywając co chętniejsze do działania jednostki ludzkie i środowiska. Szkoda tylko, że nie zawsze i nie wszędzie widziano w nim sposób na godne przeżycie w trudnych, bieszczadzkich warunkach egzystencji.

Nasze inicjatywy i dokonania w gminie wzbudzały zainteresowanie nie tylko dziennikarzy z "Nowin". Zapytany w związku z tym przez **Kazimierę Pściuk**, korespondentkę "Dziennika Ludowego", czy zauważyłem pierwszy siwy włos na swojej skroni odpowiedziałem:

- Najważniejsze, to być z czasem na bieżąco i nie dać się wyprzedzić.

Zdanie to stało się kanwą jej artykułu o naszej szkole w "Dzienniku Ludowym".

Zainteresowanie naszą szkołą u dziennikarki Kazimiery Pściuk nie było przypadkowe. Po pierwsze: była kiedyś uczennicą tej szkoły. Po drugie: cieszył ją rozwój tej szkoły i osiągnięcia nauczycieli. Po trzecie: miała podobne do moich zainteresowania literackie i podobne poczucie sprawiedliwości. Po czwarte: była także pasjonatką w swoim zawodzie. To ostatnie chciała wykorzystać w walce z miejscową kliką, do której nigdy nie brakowało jej odwagi i za co ją bardzo ceniłem. Była przyjacielem i częstym gościem naszego domu. W naszych stosunkach nie używaliśmy zwrotów i tytułów służbowych. Zwracałem się do niej krótko: Kazia.

Niestety, przewlekła i trudna do wyleczenia choroba zwana "miastenią", związana z zakłóceniem czynności grasicy pokrzyżowała jej ambitne plany dziennikarza walczącego o prawdę i sprawiedliwość. Nie chciała korzystać z usług lekarzy, zrezygnowała z walki o zdrowie i życie w związku z czym stan jej organizmu pogarszał się z dnia na dzień. Papierosy i kawa zrobiły resztę. Bywało, że na rękach musiałem ją wynosić do samochodu z powodu niedowładów nóg.

W domu rodzinnym nie miała ani odpowiednich warunków do leczenia ani fachowej opieki. O klinice czy sanatorium nie chciała słyszeć. Nie pomogły nawet perswazje **Aleksandra Rozenfelda**, poety z Lublina, mojego niegdyś przyjaciela, który cierpiał i chyba nadal cierpi na podobną chorobę.

Zaniedbana przez samą siebie, pozbawiona fachowej pomocy specjalistów opuściła ten świat u szczytu swoich możliwości zawodowych.

Gdy corocznie staję nad jej mogiłą przypomina mi zawsze ją: żywiol kwiecia dzikiego, polnego zmieszany ze szlachetnym kolorytem kwiatów

ogrodowych, a nad nim skromny, ale pełen cichej skargi krzyż.

Inną postacią, której mi nie wolno pominąć w tych wspomnieniach (mimo, iż spoza mego zawodu) była moja szwagierka **Józefa Orłowska**, popularna Józia. Miała ona dwie pasje o niespotykanej sile, które niemal całkowicie zawładnęły jej osobowością. Pierwszą była praca na stanowisku szefowej kuchni w restauracji "Olszanka". Rozpocząła ją o 7-ej rano, a kończyła po 22-ej. Nigdy nie skarżyła się, pracowała z oddaniem wyrabiając dobrą opinię tej placówce GS. Wesołym usposobieniem i poczuciem humoru zjednywała sobie klientelę.

Drugą jej pasją było rozdawanie siebie bez reszty pomiędzy najbliższych i ich potomstwo, bo własnych dzieci nie miała. Oddałaby swoją najcenniejszą rzecz nawet rodzinną pamiątkę, gdyby miała komuś pomóc w trudnej sytuacji.

Los, a może Bóg tak chciał, że jej grób znajduje się w pobliżu mogiły Kazi.

Brat Józii, **Kazimierz** to tytan pracy. – Rusz się, bo zardzewiejesz! - to ulubione przez niego powiedzenie, kierowane najczęściej do ludzi opieszających w robocie. Jego największą pasją była naprawa odbiorników radiowych i telewizyjnych. Znany w okolicy, ceniony za fachowość i uczciwość nigdy i nikomu nie odmówił wykonania usługi. Pozwolił odrywać się sąsiadom, którzy go potrzebowali - nawet od stołu świątecznego czy wigilijnego (!). Umiejętnie godził swoją pasję z pracą na roli, którą traktował jako antidotum na znużenie umysłu.

Obecnie, kiedy już nie te lata i nie ta jasność umysłu zastępuje go z powodzeniem sąsiad **Krzysztof Duleba**, którego w "podstawówce" uczyłem fizyki.

Na zakończenie nakreślę postać nietypową dla tego rozdziału; nie była bowiem pasjonatem w ścisłym tego słowa znaczeniu. Zasluguje jednak na miejsce w moich wspomnieniach, ponieważ należała do odchodzącego świata reprezentując mieszanię cech: polskiego chłopca przywiązanego do ziemi, Bojka (w elementach ubioru i niektórych zwyczajach), wiejskiego muzykanta i... piwosza.

Tą postacią był **Jaśko Szubelak**, człek prosty, wąsaty, trochę zadziorny i przeważnie pod kapeluszem. Kochał muzykę, swoją ziemię i konie, ale największą słabość miał do piwa. Nie odmówił nigdy pomocy, nie sięgał po cudze, ale strzegł swojego jak oka w głowie. W słowie pisanym biegłym nie był. Mimo to sąsiedzi jego dobrze zrozumieli słowa na drewnianej tabliczce, którą umieścił na brzegu swojego pola:

"By koniczynom nie pszechodzić  
bo jak pszyłapię"

Śmierć miał lekką w porównaniu z życiem; zasnął na zydelku odpoczywając i nie przebudził się. U poety, który przedstawił sylwetkę Jaśka śmierć jest romantyczna.

### Jaśko, ziemia i skrzypce

Powieki skib podnosił ziemi  
zasiewał ją nucąc rotę  
a w burzę, gdy chmury doiła  
zasypiał snem zielono-złotym

Wybaczał jej nieurodzaje  
i wszelkie zielska nieślubne  
sam ją z gospodą zdradzał  
w samo, słoneczne południe

Kiedy mu kłosy dorodne powiła  
przywarł do skrzypiec przejęty  
i spiał smykiem narowiste struny  
między dwoma czasami rozpięte

Gdy pieśń weselną dobyły z duszy  
umarli powstali z mroku  
zawirowały w tańcu kapelusze  
w rytmie beskidzkich potoków.

Nagle pękła struna u skrzypiec  
Jaśkowi serce - na granicy czasów  
zostały skrzypce bez jednej struny  
i ziemia-wdowa w czerni lasu.



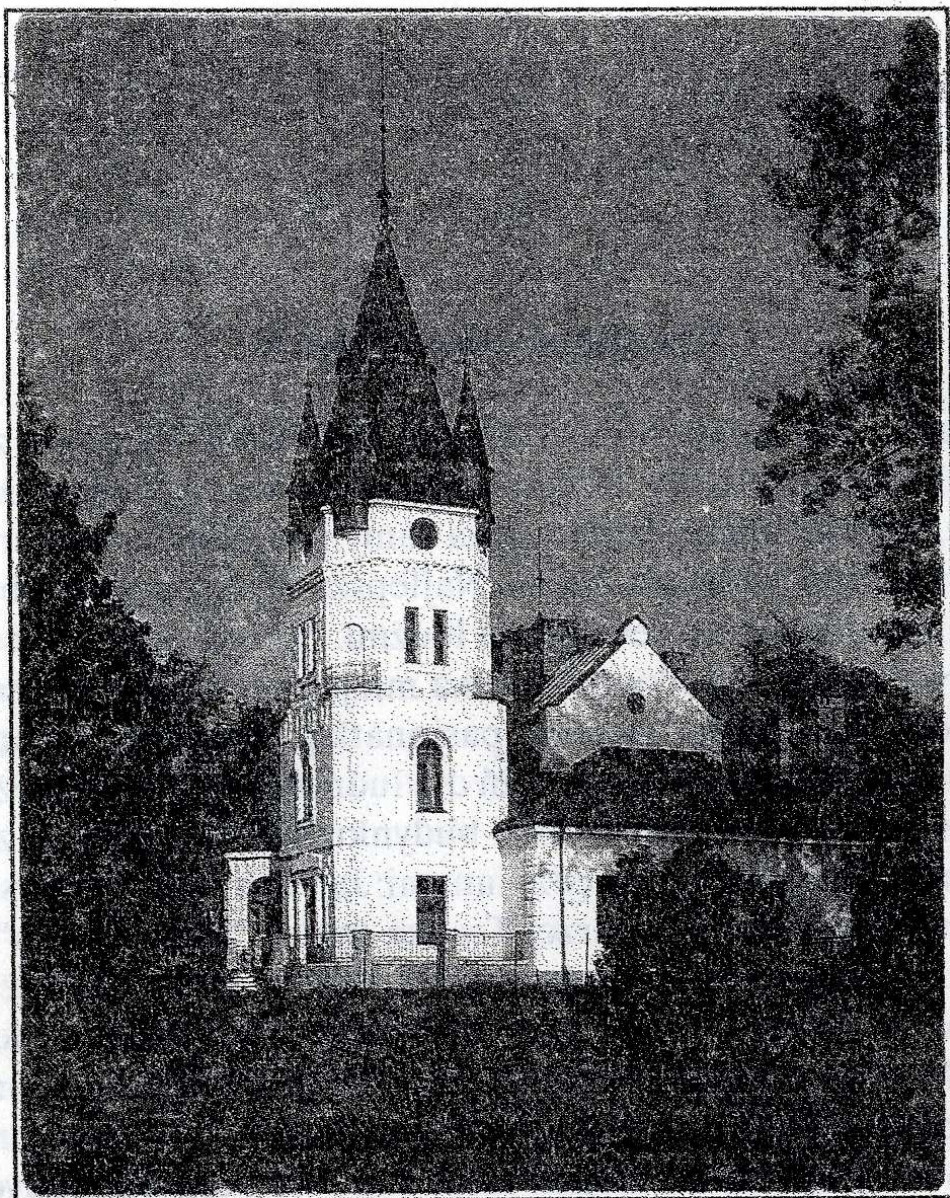


## Spotkania olszanickie

Nasze pasje, choć zabarwione przygodą, były ściśle związane z realizacją zadań ujętych w planie szkoły. Ponieważ potrzeby wewnętrzne każdego z nas były większe, wykraczaliśmy często poza ramy programów otwierając się na wszystko co należało do świata ducha. Najlepszą okazją do tego były spotkania z literatami i innymi interesującymi ludźmi. Na tym polu wielce pomocną nam inicjatywę wykazywała kierowniczka miejscowej biblioteki, pani Helena Skocelas, która była także "rasową" pasjonatką. Wspólnie z panią Heleną zorganizowaliśmy wiele takich spotkań dla ludności wsi i młodzieży szkolnej, korzystając z pomieszczeń biblioteki i budynku GRN, a później ze świetlicy szkolnej. Gośćmi naszymi byli między innymi: Jan Gerhard, Władysław Jarnicki (autor "Spalonej ziemi"), Andrzej Trepka (autor "Biokosmosu"), Tadeusz Kubas (poeta z Rzeszowa i dyrektor CEZASU w jednej osobie), Ryszard Zięba (znany w kraju i za granicą bibliofil), przewodnicy bieszczadzcy, redaktorzy "Nowin", a także dziennikarze z "INTERPRESS", którzy później przesłali na piśmie serdeczne podziękowanie za miłe i gościnne przyjęcie.

Organizowanie spotkań z ludźmi pióra stało się z czasem tradycją szkoły i środowiska. Niewiele szkół w Bieszczadach mogło się wówczas pochwalić tak szeroko zakrojoną współpracą z innymi ośrodkami życia duchowego w realizacji hasła wychowania przez kulturę. Wychowanie to dawało widoczne efekty: młodzież nabierała obycia, uczyła się sztuki konwersacji, poznawała tajniki pisarstwa i dziennikarstwa, a zdolniejsze jednostki próbowały same swoich sił na niwie literackiej. "Najdalej zaszła" Lucyna Pściuk, uczennica piątej klasy, która w ogólnopolskim konkursie literackim na opowiadanie, ogłoszonym dla młodzieży szkolnej, zajęła pierwsze miejsce.

Spacerując po Olszanicy z zalem patrzyliśmy na wysmukłą sylwetkę pałacu otoczoną orszakiem drzew pozostałych z parku dworskiego i niejeden z nas wzdychał: -"Tu byłoby wspaniałe miejsce na dom twórców". Niestety, pałac zawładnięty przez Ministerstwo Sprawiedliwości był wyniosły i nieprzystępny dla nas jak prokurator. Nie było nam dane spotkać się chociaż raz w "białej sali" pałacu, za to pod wrażeniem jego majestatu zrodził się wiersz:



Fot. 8. Pałac w Olszanicy.

stawami wypatruje noc  
gwiazdy pańskiej -  
może Wielkim Wozem wyjechała  
na Zachód  
a Pańską Górę bezpańską  
wrony obsiały żalobą

z wieży piorunem  
spuszcza się duch pradžiedzica  
do komnat  
a tam  
nie dworskie damy tańczą

w kryształowej sieci pająka  
nie tam muzyka jaworów  
inne podniebienia muskają  
pyszczki karpie

w nowej kuźni  
diabeł kuje pomysły  
magikom prawa

Wiersz ten, opublikowany w "Nowinach", ostatnią zwrotką zmusił do myślenia pracowników Ministerstwa Sprawiedliwości, przebywających wówczas w pałacu. Pewien oficer stał się nawet podejrzliwy w stosunku do intencji poety, ale coż mógł uczynić? Czesław Miłosz w wierszu "Który skrzywdziłeś" wyraźnie ostrzega:

Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta.  
Możesz go zabić - narodzi się nowy.  
Spisane będą czyny i rozmowy.

### **Między Zwierzyniem a Stefkową**

Oazą dla towarzyskich spotkań poetów-przyjaciół z województwa krośnieńskiego był gościnny dom Wczasów Dziecięcych w Zwierzyniu, wsi leżącej na uboczu i z tego powodu nazywanej żartobliwie "Tajwanem". Domem-środkiem kierował dyrektor Stanisław Białogłowicz, który jakby mógł, wpuściłby nawet do swego serca znajomych twórców, wybacząc im "dziwactwa artystyczne" ujawniane najczęściej podczas końcowych toastów. Bywali tu przeważnie: Jan Tulik, Jan Luszniak, człowiek o wybujałej jak jego fryzura wyobraźni oraz autor niniejszych wspomnień, może mniej zaawansowany literacko, ale próbujący zawsze "wsadzać kij w mrowisko" dla sprowokowania ostrej polemiki. Natomiast wszyscy i zgodnie wsadzali kij w kielbasę podczas ogniska, o którym nigdy nie zapominał gospodarz imprezy. Swoisty mikroklimat tej kotlinki, położonej nad Sanem, połączony z poezją krajobrazu dawał wytchnienie i natchnienie poetom.

Drugą przystanią dla poetów był gościnny dom państwa Gołdów, dom z kominkiem dającym specyficzne ciepło i stwarzający nastrój do wspomnień, bieszczadzkiej opowieści czy literackich dyskusji. Klimat tego domu wzboga-

cał gospodarz Janusz z zawodu nauczyciel, z powołania poeta-filozof, mistrz zwięzłości i dialogu.

Miłym dla mnie wydarzeniem było zwiedzenie wystawy obrazów zorganizowanej na koronie zapory w Solinie po bieszczadzkiem plenerze malarskim, w którym brali udział artyści z całej Polski. Finałem zwiedzania było specjalne zamówienie obrazu u artysty-malarza z Warszawy Zygmunta Kowalskiego, studiującego w Argentynie. Zamówienie zostało wykonane niemal ekspresowo, bo po dwóch tygodniach otrzymałem przesyłkę, a w niej typowy pejzaż pogórza bieszczadzkiego, który do dzisiaj zdobi ścianę mojego mieszkania.

Mile wspominać także spotkanie towarzyskie z kombatantami II wojny światowej. Dały mi wiele do myślenia. Niektórzy z nich jak np. Józef Kosz (patrz: "Strzały pod Cisną". St. Myślińskiego) unikali spotkań oficjalnych, bo nie potrafili kłamać, a na prawdę było jeszcze za wcześnie.

## Śmiech jak lekarstwo

Nieprzeciętne poczucie humoru miał Piotr. Umiał opowiadać dowcipy i kawały dobierając do nich stosowny akcent, czy właściwą barwę tonu, jak to czynią parodysty. W towarzystwie Piotra, kiedy miał "melodię" do kawałów, wszyscy, czuli się znakomicie. Przepony osiągały maksymalną amplitudę dotleniając płuca i serce. Najlepiej wychodziły mu kawały lwowskie i litewskie, dlatego lubił je powtarzać, na co ja reagowałem pytaniem: "Czy wiesz Piotrze, za co Kain zabił Abla?" To wystarczało.

Pod względem usposobienia dorównywał Piotrowi jedynie Jan Tomaszewski, czyli Jasio. Z tą różnicą, że u Jana przeważał humor sytuacyjny, często improwizowany na gorąco. Podam przykład. Wybraliśmy się kiedyś jego samochodem do naszego przyjaciela na imieniny. Za progiem mieszkania "powitało" nas wiadro wypełnione majonym spirytusem, zawieszona na nim chochła do wiadomego użytku, a obok półlitrowy garnuszek. Po takim przywitaniu wiadomo było jaki będzie finał spotkania imieninowego.

O trzeciej nad ranem gospodyni zaproponowała nam wygodne łożo do uśpienia kaca. Ja jednakże znając głowę Jana, porównywalną jedynie z głową Zagłoby i usłyszawszy jego ulubione zawołanie: - "A piersi nasze niech będą Termopilami!" - zaproponowałem mu powrót do domu samochodem. Tym razem, co mu się zdarzało bardzo rzadko, odpowiedział: - Nie!

- Dlaczego?! - spytałem zaskoczony.

- Bo nie znajdzie kierownicy - odpowiedział ziewając, a goście, chociaż półprzytomni, parsknęli śmiechem.

Innym razem kiedy zgłosiłem się u Jana jako pacjent, Jan nie podnosząc głowy znad mojej kartoteki zapytał z nutką kpiny:

- Co ty sobie Janie wyobrażasz, że będziesz żył wiecznie?! W mojej księdze pacjentów stoi wyraźnie, w którym dniu i o której godzinie wyjedziesz z domu nogami do przodu.

Oczywiście był to tylko żart, który ja potrafiłem zrozumieć i odebrać z humorem.

Człowiek, który miał opinię kpiarza żył w sąsiedniej miejscowości i żyje nadal naśladowując Bernarda Shawa. Nazwijmy go "An" gdyż jego imię zaczyna się tą samą sylabą co znany samolot wschodniego sąsiada.

Siedząc kiedyś w restauracji "Olszanka" i popijając z "literatki" zwietrzałą już wodę mineralną "An" zaprosił do stolika milicjanta, którego "specjalnością zawodową" było przysiadanie się do stołów zastawionych alkoholem. Kiedy zaproszony z roześmianą gębą wypełnił pośladkami siedzenie krzesła "An" poprosił pannę Józję o jeszcze jedną "literatkę", napełnił ją niby-wódką i podniósł w górę.

- Wasze zdrowie panie "Władzo"! - wznosił toast i wypił do dna... celestynkę.

"Władza" niczego nie podejrzewając uczynił to samo ruchem rutynowym, po czym hałaśliwie odstawił "literatkę", zerwał się z krzesła, burknął tonem obrażonego - "dziękuję", zrobił w tył zwrot i zniknął za drzwiami.

Tenże sam, znajomy "An" wracając raz wieczorem chwiejnym krokiem do swoich domowych pieleszy usłyszał za sobą tubalny głos:

- Przechodniu, zatrzymać się!!!

Nie zdążył nawet na ten rozkaz zareagować, gdy stanęła przed nim karetka milicyjna i "An" piorunem znalazł się w doborowym towarzystwie błękitnych mundurów. Nie stracił jednak przytomności umysłu, a otrzeźwiał całkowicie gdy ujrzał w jednej ręce "mundurowca" druk mandatu, a w drugiej niezawodny, milicyjny długopis.

- Panowie - rzekł zrezygnowanym tonem - wypiszcie mi mandat, jaki tylko chcecie. Nawet najwyższy zapłacę z ochotą. Gdybyście byli na moim miejscu...

"Mundurowiec" z długopisem w ręce zawahał się. Milicjant to też człowiek.

- A co wam się takiego wydarzyło? - zapytał opuszczając rękę z drukiem mandatu.

- Panowie, zrozumcie... - podjął przerwany wątek "An" - po dwudziestu latach małżeństwa urodziło nam się dzisiaj pierwsze dziecko i to syn!

- Dobra już dobra... - rzekł udobruchany "radarowiec" - podrzucimy was pod dom, ale na przyszłość uważajcie, bo drugim razem nie podarujemy.

"An" znając się na rzeczy, podrzucił pod siedzenie kierowcy wyjętą

dyskretnie z kieszeni butelkę, ale wysiadając z karetki MO przed swoim domem błagał myślami Pana Boga, żeby żadne z jego dorosłych już dzieci nie znalazło się przypadkiem na podwórzu.

Zapytany kiedyś przeze mnie, czy charakter kpiarza nie utrudnia mu życia odpowiedział:

- Reagowanie dowcipem czy kpina ratuje nieraz człowieka z opresji. Poza tym dobry humor i śmiech to najlepsze lekarstwo na kłopoty życia.

Na wzmiankę w tym temacie zasługuje Władysław Bryś, ówczesny pracownik GS w Olszanicy, człowiek urodzony do śmiechu. Jego "rechot" prowokował żaby w stawach PGR (potem Ministerstwa Sprawiedliwości), kiedy wiosną kroczył przez wieś. Zaprosił mnie kiedyś na drinka do "Olszańki". Ponieważ było nam bardzo pilno, pan Władzio przestawił napis "Stolik ekspresowy" ze stolika specjalnie wydzielonego na nasz stół i kelnerka znając pana Władka z jego żartów szybko i bez szemrania obsłużyła nas po normalnej cenie.

W tejże samej "Olszance" urządzili kiedyś Cyganie "koncert życzeń" dla obecnych w niej gości. Józef Kowalewski, wówczas wiceprezes GS-u tknięty rogiem satyra wyjął z kieszeni banknot znaczącego koloru, zwinął w rulonik i wciskając go do skrzypiec starego Cygana zawołał:

- A teraz zagrajcie piosenkę "Dziś prawdziwych Cyganów już nie ma"!

Wśród koncertujących zawrzało. Dzięki szybkim nogom pan Józef wyszedł cało i do dzisiaj żyje wspominając przy "małej czarnej" tamtą chwilę.

Nie chcąc być gorszym od przyjaciół i ja od czasu do czasu zdobywałem się na "kawały" i to w dobrym stylu. Pewnego popołudnia pragnąc odwiedzić przyjaciela, bez pukania (drzwi były otwarte) wszedłem do pokoju jego mieszkania służbowego i zastałem go "zawalonego w trupa", leżącego bezwładnie na tapczanie. Nawiązanie z nim jakiegokolwiek kontaktu nie wchodziło w rachubę. Zawahałem się na moment i nagle wpadł mi do głowy "diabelski" pomysł: Uczyniłem z tapczanu rodzaj katafalku: przysunąłem do niego długi stół, nakryłem białym obrusem, ustawiłem na nim doniczki z kwiatami, pośrodku świecę i na kawałku kartonu napis wykonany gotykiem:

"Tu śpi ten co wypił litrę  
i prosi o modlitwę".

Był to "numer" z pogranicza horroru i niektórzy przyjęli go z mieszanymi uczuciami, ale większość od razu pojęła jego żartobliwy sens i miała temat do ubawu na kilka tygodni.

Zresztą wielu traktowało wówczas dobry humor i śmiech jako sposób na trudne warunki bytowania.

## Ślubowanie przewodników

Była to prawdziwa uczta ducha i ciała. Najpierw wszyscy bez względu na płeć, wiek, stanowisko i przynależność znosili suche gałęzie i pnie z wiatrołomu, mocniejsi cięli toporami na krótsze kawałki, potem układali w stos.

Kiedy wszyscy ustawiali się w kręgu, senior przewodników Aleksander Marnik rozniecił ognisko. Po chwili wielki płomień obnażył z ciemności stok Berda i wydobył z mroku ruchome łuski rzeki Bereźnicy.

Po zagajeniu prezesa Koła Przewodników Beskidzkich w Lesku i przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji Przewodnickiej w Krośnie nastąpiła ceremonia ślubowania.

Kandydat na przewodnika po odczytaniu jego nazwiska podchodził do stolika, gdzie witany był chlebem i solą. Potem musiał zjeść bez skrzywienia ust "kanapkę diabłą" z dużą ilością papryki, pieprzu i musztardy, następnie przepić ją "grzańcem" czyli winem grzany, przyprawionym ziołami. Jak to wszystko przeżył, klękał przed najstarszym, całował ciupagę i wymawiał słowa ślubowania. Uderzenie ciupagą przez ramię dopełniało ceremoniału ślubowania. Pasowany na przewodnika otrzymywał blachę przewodnicką i legitymację.

Podczas trwania ceremonii na drewnianym rożnie piekł się baran wystrojony srebrem, a na jego ruchomych udach ogień ostrzył płomienne miecze.

Gdy uroczystość ślubowania dobiegła końca, rozpoczęła się uczta. Płaty mięsa krajane fachowo pachniały wiatrem i jałowcem, a zmieszane z winem prowadziły do orgazmu podniebienia. Była jeszcze grochówka i bigos, ale czas między nimi upływał na gawędzie, gromkim śpiewaniu i opowiadaniu również smakowitych dowcipów.

O godzinie 23-ciej wyłonił się nagle z ciemności lasu Wiesław Próchniak, stanął przed ogniskiem, jakby chciał sycić jego żarem serce i wygłosił wszem i wobec godzinną, podniosłą orację w duchu patriotyzmu kończąc ją słowami:

"... a gdy umrę pochowajcie mnie na Haliczu  
twarzą ku wschodowi słońca  
gdzie bieleją Gorgany."

Świt, który bał się podejść do samego ogniska przywoływał mnie z daleka wyblakłą chustą nieba, a może tylko taką ją widziałem przez opary alkoholu unoszące się nad Sanem.

Przeżywam te chwile tylekroć, ilekroć powtarzam słowa mojego wiersza "Ballada o Berdzie i ognisku nad Bereźnicą":

Podniósł się wtedy gniewny Berdo,  
nad stosem krwią zabłysnął wierną  
Solą posypał chleb szatanów  
i wypił duszkiem noc - do Sanu  
A nóż utopił głosem sumienia -  
na dnie rdzą wstydu nóż poczerwieniał

### To się nazywa szczęście !

Mówi się, że szczęścia chodzą parami. W moim przypadku zadziało prawdopodobnie i to bez żadnych zakłóceń, prawo serii.

Zacząło się od tego, że pewnego lipcowego dnia A.D. 1978 przyjechała do nas z Poznania w dłuższe odwiedziny znajoma żony, Wiesława wraz z 12-letnim synem Samborem. Ledwie nasi goście postawili swoje bagaże w przedpokoju, gdy przed dom zajechał "gazikiem" komendant miejscowego posterunku MO st. sierżant Jan Wilk i zaproponował mi objazd terenu gminy celem dokonania przeglądu szkół.

- Ależ ja mam gości i to z daleka, którzy dopiero co przyjechali - rzekłem zaskoczony propozycją.

- To niech goście jadą z nami! - wystrześlił komendant uśmiechając się zachęcająco do Wiesławy i jej syna zmęczonych podróżą.

- Pojedziemy - zgodzili się jednomyślnie, a ja zaniemówiłem. Wypili jeszcze na stojąco po herbatce i po chwili siedzieli już na twardych, niewygodnych fotelach samochodu terenowego wyraźnie podekscytowani. Ja usiadłem przy kierowcy i ruszyliśmy w stronę Ropienki. W drodze skręciliśmy w kierunku Paszowej, aby goście zaskoczyć "palącą się wodą" - w rzeczywistości gazem wydobywającym się z odwiertu. Do Ropienki dojechaliśmy bez sensacji, ale droga do Zawadki była "drogą przez mękę". Gazik jak koziołek podskakiwał na głębokich wybojach drogi, wokół której roztaczała się bezludna, górzysta panorama pól okolonnych lasami. A kiedy dotarliśmy do rudery, która miała być szkołą, goście osłupieli z wrażenia. Nagłe zderzenie ludzi z dużego miasta z nieznaną im dotąd rzeczywistością bieszczadzkiej wsi mogło wywołać szok.

W drugim dniu kiedy na próżno próbowałem wymyślić sposób na godziwe spędzenie czasu z naszymi gośćmi (własnego środka lokomocji jeszcze nie miałem) ujrzałem nagle przez okno kuchni fiata koloru wiśni skręcającego do szkoły. Poznałem natychmiast: był to samochód mojego kolegi Kazimierza Sochy, który jako wizytator Kuratorium Oświaty i Wychowania w Krośnie

objeżdżał swoje placówki w Bieszczadach. Spadł mi po prostu z nieba. Nie trzeba go było długo prosić ani przekonywać. Za chwilę razem z gośćmi zwiedzaliśmy tamę w Myczkowcach, a potem potężną zaporę w Solinie, zalew i nowe osiedle. Całe popołudnie spędziliśmy pożytecznie ku zadowoleniu wszystkich.

Trzeciego dnia oprowadzałem gości po sanockim skansenie. Cerkiewki, a w nich ikonostasy zainspirowały Wiesławę do napisania kilku wierszy. Warto zaprezentować chociaż jeden z nich:

### Bieszczadzkie introspekcje

tam  
na schodach prezbiterium  
małej cerkwi  
gdzie się zatrzymał  
starej lipy cień  
gdzie zapach lipowego kwiatu  
ogarnął sobą  
wspomnienie kadzidła

madonny płakały  
ciężkimi złotymi łzami  
cisza zamknięta  
w szczelinach ich powiek  
sfruwiała jaskółkami  
na spokorniałe ramiona

tam  
gdzie święty Mikołaj  
w bezwzględności czasu  
został uśmiechnięty

poczerniałe belki  
opuszczały welony pajęczyn  
a ja przebierałam w rękach  
korale swojego Milczenia

(sierpień-październik 1978)

W czwartym dniu urządziliśmy pod wieczór wspólne ognisko pod lasem. Gdy nasyceni wspomnieniami, poezją i piosenkami wracaliśmy w całkowitej ciemności do domu usłyszeliśmy nagle trzask łamanych gałęzi w pobliskich zaroślach, a potem galop jakiegoś zwierza pędzącego wprost na nas. Może to koń?! - przemknęła mi jak błyskawica myśl i zatrzymując się zdesperowany krzyknąłem głośno: - Stój!!! Mój krzyk okazał się skuteczny, bo zwierzę zaryło jakby kopytami ziemię, a ja i całe moje towarzystwo zbiegliśmy szybko w dół pokonując różne przeszkody jak skarpy, czy zasieki z drutu ograniczającego pastwisko. I tym razem skończyło się wszystko szczęśliwie.

W piątym dniu nie liczyłem już na uśmiech szczęścia, a jednak nie opuściło nas. W chwili największego zwątpienia zajechała przed szkołę syrenka-kombi, z której wysiadł dyrektor szkoły z Myczkowiec Mieczysław Kurcoń. Nie od razu przyjął moją propozycję (samochód miał na dotarciu), ale dzięki perswazji wyraził zgodę na wspólny wypad w głębokie Bieszczady na spotkanie z przygodą. Po załatwieniu sprawy służbowej i przeglądzie auta kolega Mietek był gotów. Ja usiadłem obok kierowcy, żona i Wiesława z synem na tylnym siedzeniu i samochód ruszył. Celem naszym była baczówka na Jaworcu. Z niewielkimi kłopotami (silnik przegrzewał się na serpentynach pod Cisną) dotarliśmy do Kalnicy, gdzie skręciliśmy w lewo. Kiedy zbliżaliśmy się do baczówki, rozpętała się burza z piorunami, połączona z ulewnym deszczem. Zrezygnowaliśmy z schroniska i ruszyliśmy w kierunku Terki, żeby jak najszybciej znaleźć się w domu. Strugi deszczu rozmywały drogę, nie było widać znaków, jechaliśmy na oślep, kierując się intuicją. Kierowca cały czas skupiony na prowadzeniu wozu od czasu do czasu zaklął siarczyście, kobiety zbłądły ze strachu, a ich bladość podkreślało jeszcze światło błyskawic. Jedynie Sambor, syn Wiesławy na przekór wszystkiemu zaczął nucić znaną piosenkę: "Wsiąść do pociągu byle jakiego..." udając chojraka. Ja zachowując pozorny spokój "miałem trochę pietra"; burze w górach są groźne, mógł nas dopaść jakiś zabłąkany piorun.

Po kilku godzinach błądzenia w ogniu błyskawic i potokach deszczu dotarliśmy wreszcie, ale nie do Terki tylko do... Dołżycy, a więc prawie do punktu wyjściowego. Dopiero po przejściu burzy wróciliśmy spokojnie przez Cisnę, Baligród i Lesko do domowych pieleszy. Kolega Mieczysław nie był zachwycony i mruczał pod nosem przeglądając "syrenkę", ale goście, wbrew moim oczekiwaniom byli z eskapady zadowoleni. I nie tylko. Umocniło się w nas postanowienie, że wcześniej czy później musimy "zdobyć" Jaworzec.

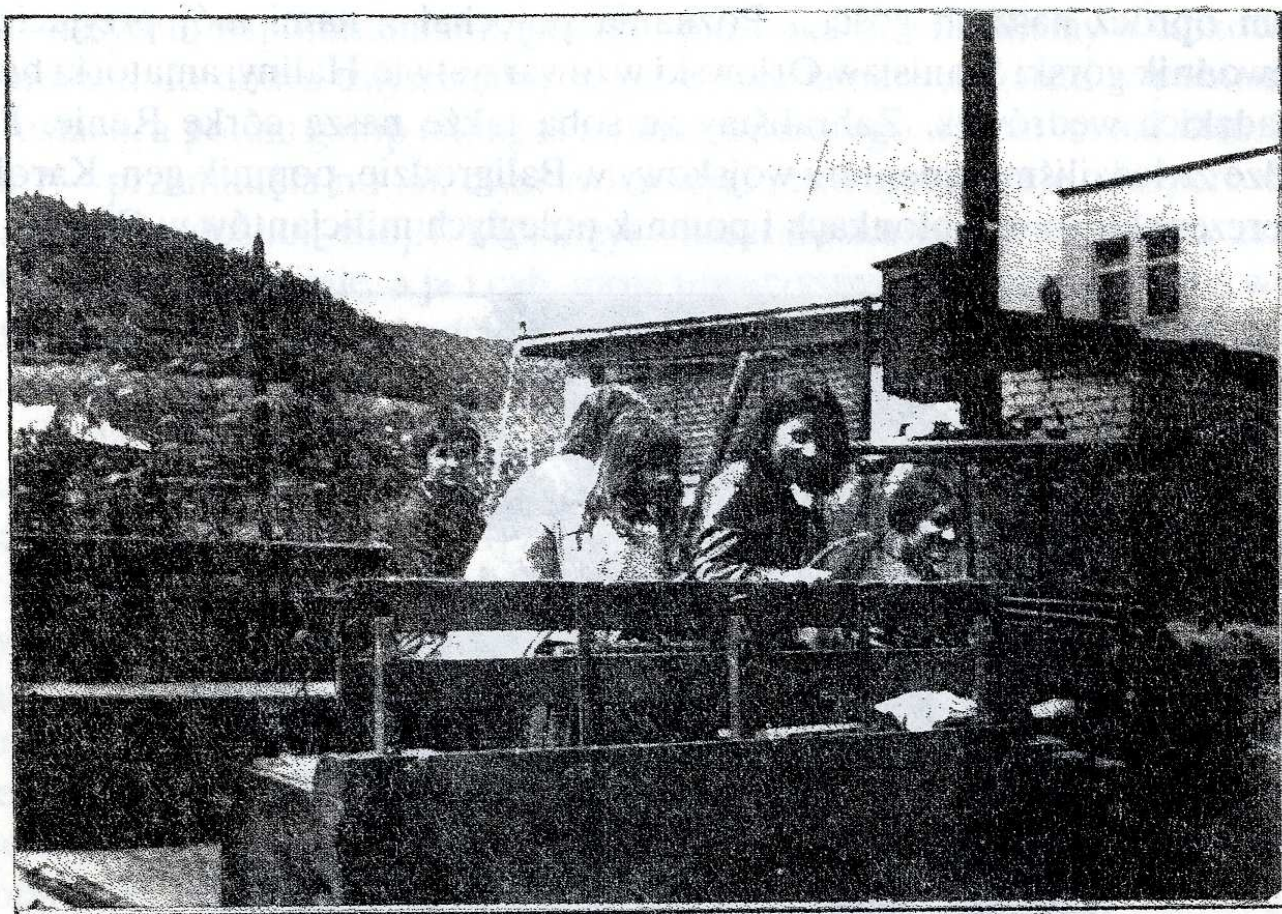
Dlatego nie byłem zdziwiony gdy w dniu następnym, czyli z kolei szóstym kolega Kurcoń wyraził zgodę na dowiezienie nas do Cisnej, skąd miał nas "pilotować" dalej mój znajomy, naczelnik gminy Cisna pan Łaskuda. Tym

razem oprócz naszych gości z Poznania pojechał z nami mój przyjaciel, przewodnik górski Stanisław Orłowski w towarzystwie Haliny, amatorki bieszczadzkich wędrówek. Zabraliśmy ze sobą także naszą córkę Renię. Po drodze zwiedziliśmy cmentarz wojskowy w Baligrodzie, pomnik gen. Karola Świerczewskiego w Jabłonkach i pomnik poległych milicjantów w Cisnej.



**Fot. 9. Na cmentarzu wojskowym w Baligrodzie**

Po wspólnym spożyciu obiadu w restauracji pan naczelnik Łaskuda chcąc nam zrobić niespodziankę, wypożyczył w Straży Pożarnej "Dodge'a-Comandosa", wóz terenowy jeszcze z wojny amerykańsko-japońskiej i wszyscy, niczym komandosi ruszyliśmy w góry, ale... nie główną drogą (obwodnicą). Pan



Fot. 10. Przed wyruszeniem w drogę.

naczelnik, z wykształcenia leśnik znalazł drogę na skróty i ją wybrał ku naszemu przerażeniu, bo piętrzyły się na niej różne przeszkody z pozoru nie do pokonania jak: głębokie wyrwy, nagle zwężenia, zerwane mosty, itp.

"Weteran" wojny na Dalekim Wschodzie okazał się mocnym i niezawodnym wehikulem, pokonując wszystkie przeszkody, by pod wieczór dowieźć nas pod samą bacówkę na Jaworcu, gdzie spędziliśmy przy ognisku wspaniałą noc wspólnie z innymi wędrowcami. Noc z gitarą, muzyką gwiazd i myśliwskim rogiem księżyca. Nasze szczęście osiągnęło fazę pełni.

W siódmym dniu odpoczywaliśmy wszyscy jak Pan Bóg po stworzeniu świata, a ja zdawałem sobie z tego sprawę, że taka seria szczęśliwych dni, może się wydarzyć człowiekowi tylko jeden raz w życiu.

W pożegnalny wieczór wręczyłem uroczyście gościom znad Warty zdjęcia z naszych wspólnie przeżytych chwil i wypadów w Bieszczady oraz proporczyki z poznanych miejscowości.

Skutki bycia sobą

## PODCINANIE SKRZYDEŁ

Zaczęli od pomijania miłości, celowego niezrozumienia, a nawet i aktywnego ataku funkcji jaką wtedy pełniłem. Gdy to nie pomagało i byłem wciąż sobą, próbowano mnie atakować przez prowokację i pomówienia. Nowy sekretarz KPS PZPR, z którego nazwiska wynikało, że miał "wykuwać nowy ład" zaczął swoje panowanie od telefonicznego wezwania mnie do swego biura. Po fakcie o myślałem (nałowy), że chce mnie bliżej poznać; przedtem wtedy bądź to pełnił poważną funkcję oświatową w gminie. Nie pamiętam, czy podał mi rękę, ale pamiętam jego pierwsze słowa wypowiedziane do mnie bardzo ofiucyjnym tonem:

- Dlaczego dyrektorze nie rozbudowujecie szkół?!

Kiedy wyjaśniłem, że uczyłemm wszystko co należało do moich kompetencji, a rezerwa jest w gestii inspektora oświaty, podał mi rękę:

- To trzeba wam ponaglić inspektora.

Zatkała mnie. Zawsze myślałem, że to inspektor może ponaglać mnie, a nie odwrotnie. Zawszka sekretarza była wysoka prowokacją. Schodząc z jego rąk czułem, że z tym człowiekiem łatwej współpracy nie będzie. Była to straszna odkrycie, gdyż problemów w szkolnictwie przybywało, a ja jako panie naczelnika też nie mogłem liczyć, bo on musiał popierać sekretarza, je- chiał być naczelnikiem. Inni zaś wyraźnie bali się o swoje stołki, bo był to czas porządków: "Nie podskakuj, siedź na d... i przytakuj".

Chwile pożegnania przeżyłem podczas uroczystości związanej z obchodami Dnia Nauczyciela (daty nie pamiętam). Kiedy władze gminne poprosiły nas o wyrażenie aproby i nagrodzenie wielu nauczycieli, moje głosy wtedy w szczyt osiągnęły "poprosiły" jedynie o utrzymanie miły z odznaczaniem i składanie gratulacji wyróżnionym nauczycielom. Granice wytrzymałości i wy- trwałności zostały wówczas przekroczone, niewiele brakowało żeby z ręk. 33



## Skutki bycia sobą

Sukcesy zawodowe i popularność jaką zdobyłem sobie w środowisku, nie były na rękę władzom gminnym. Ówcześni jej przedstawiciele, przeważnie ludzie młodzi co nie znali zapachu prochu, ale upajali się smakiem władzy, nie mogli strawić mojej osobowości: otwartej, twórczej i prostolinijnej, a zarazem nie poddającej się manipulacjom i odpornej na dyrygowanie z zewnątrz.

Zaczęli od pomijania mnie, celowego niezauważania, a nawet lekceważenia funkcji jaką wtedy pełniłem. Gdy to nie pomagało i byłem wciąż sobą, próbowano mnie atakować przez prowokacje i pomówienia. Nowy sekretarz KG PZPR, z którego nazwiska wynikało, że miał "wykuwać nowy ład" zaczął swoje panowanie od telefonicznego wezwania mnie do swego biura. Początkowo myślałem (naiwny), że chce mnie bliżej poznać; pełniłem wtedy bądź co bądź poważną funkcję oświatową w gminie. Nie pamiętam, czy podał mi rękę, ale pamiętam jego pierwsze słowa wypowiedziane do mnie bardzo oficjalnym tonem:

- Dlaczego dyrektorze nie rozbudowujecie szkoły?!

Kiedy wyjaśniłem, że uczyniłem wszystko co należało do moich kompetencji, a reszta jest w gestii inspektora oświaty, pouczył mnie:

- To trzeba wam ponaglić inspektora!

Zatkało mnie. Zawsze myślałem, że to inspektor może ponaglać mnie, a nie odwrotnie. Zaczepka sekretarza była zwykłą prowokacją. Schodząc z jego dywanu zrozumiałem, że z tym człowiekiem łatwej współpracy nie będzie. Było to straszne odkrycie, gdyż problemów w szkolnictwie przybywało, a na pana naczelnika też nie mogłem liczyć, bo on musiał popierać sekretarza, jeśli chciał być naczelnikiem. Inni zaś wyraźnie bali się o swoje stołki, bo był to czas porzekadła: "- Nie podskakuj, siedź na d... i przytakuj".

Chwile poniżenia przeżyłem podczas uroczystości związanej z obchodami Dnia Nauczyciela (daty nie pamiętam), kiedy władze gminne popisały się cynizmem: aprobując nagrody dla wielu nauczycieli, mnie (byłem wtedy u szczytu osiągnięć) "poprosiły" jedynie o trzymanie tacy z odznaczeniami i składanie gratulacji wyróżnionym nauczycielom. Granice wytrzymałości psychicznej zostały wówczas przekroczone, niewiele brakowało żeby doszło do

przykrego incydentu. Na szczęście powstrzymał mnie i uspokoił kol. Antoni Krasulak, dyrektor szkoły ze Stefkowej, siedzący w moim bezpośrednim sąsiedztwie.

Moja gehenna zaczęła się na dobre podczas likwidacji szkoły w Rudence. Było to, jak wiadomo, pociągnięcie niepopularne. Mieszkańcy wsi, przeważnie górale (osadnicy) odpowiedzieli zdecydowanie: "Nie!". Zaczął się strajk uczniów. Władcy gminy chcąc mnie rzucić na pożarcie rozgniewanym mieszkańcom Rudenki, wysyłali mnie przeważnie bez "obstawy" na spotkania z przedstawicielami tej wsi, sami zaś w cieniu gabinetów przygotowywali plan obciążenia mnie za strajk młodzieży szkolnej i wszystkie niepowodzenia związane z likwidacją szkoły. To co się działo w Rudence było w pewnym sensie "wodą na ich młyn". Zrobienie ze mnie "kozła ofiarnego" nie było jednak takie proste; bierność i chowanie głowy w piasek przez władze gminne nie dały się ukryć, szukano więc nowych okazji, by mnie przygwoździć.

I oto nadarzyła się taka sposobność, kiedy trzeba było organizować dowożenie dzieci z Paszowej do Wańkowej. Odwiedziłem w tym celu osobiście dyrektora PGR w Serednicy. Dyrektor przyjął moją prośbę ze zrozumieniem i gorąco zapewnił, że wynajmie nam ciągnik z przyczepą na dowożenie dzieci, który od jutra wejdzie do akcji. Kiedy jednak na drugi dzień ciągnik z przyczepą nie pojawił się w Paszowej, sekretarz "kujący nowy ład" nie dociekając przyczyn, niezwłocznie powiadomił Kuratorium Oświaty i Wychowania w Krośnie o tym fakcie, wskazując jako głównego winowajcę gminnego dyrektora szkół czyli mnie. Oczywiście, Kuratorium wszczęło alarm, a ja nie miałem ani czasu, ani możliwości, żeby się wytłumaczyć. Tak samo jak ten zając z kawału, który uciekł ze Związku Radzieckiego. Prawda zaś była taka, że to tow. sekretarz był winien, gdyż jako najwyższa władza polityczna w gminie mógł użyć swego wpływu na dyrektora PGR, ale celowo nie użył zostawiając mnie samego z poważnym problemem. I tak się spełniło znane przysłowie: "Kowal zawinił, cygana powiesili".

Gdy i te szykany nia złamały mnie, nie osłabiły moich pasji zawodowych I sekretarz KG PZPR wymusił w Kuratorium wizytację kompleksową szkół w mojej gminie z udziałem Wojewódzkiej Inspekcji Szkolnej. Wizytacja ta, według przewidywań sekretarza miała mnie pogrzebać ostatecznie. Niestety. I tym razem przywódca polityczny gminy oraz jego wierni towarzysze przeliczyli się. Wyniki wizytacji, która prowadzona była w sposób obiektywny (bez uprzedzeń) i zgodnie z obowiązującymi zasadami, nie spełniły oczekiwań moich przeciwników. Ponieśli jeszcze raz moralną porażkę.

Z poczuciem wilka, któremu ofiara wymknęła się z pazurów, prześladowca mój opuścił Olszanicę. Nie zapomniał jednak o mnie. Przekazał swój

"testament", jak pałeczkę sztafetową następcy. Ten był mniej kąśliwy, a może czaił się i stopniowo przymierzał do zadania decydującego ciosu? Zdołał mnie jednak pozbawić dodatku specjalnego (za "zbojkotowanie" spotkania nauczycieli z egzekutywą KG), nie zatwierdził wniosku Zarządu Ogniska ZNP o nagrodę dla mnie, jak również wniosku Rady Pedagogicznej o nagrodę dla mojej żony /!!!/. Były to mocne uderzenia po kieszeni. Żeby zapewnić sobie zdecydowaną przewagę nade mną, sekretarz napuścił na mnie II sekretarza KG PZPR, który u władz wojewódzkich miał opinię "podpalonego". Ten gorliwie zabrał się do powierzonego mu zadania.

Moje nerwy zostały poważnie nadszarpnięte; odczuwałem lęki nocne, co odbiło się ujemnie na mojej rodzinie. Trzeba dodać, że w tym czasie obydwój z żoną studiowaliśmy zaocznie na WSP w Rzeszowie i spokój psychiczny był nam potrzebny jak powietrze.

Pierwszym człowiekiem z władz gminnych, który zmienił nagle do mnie front był naczelnik gminy. Ku mojemu, ogromnemu zaskoczeniu wypowiedział do mnie pamiętne zdanie: "- Po tym wszystkim co widziałem w szkole i co czytałem waszego w prasie, dyrektorze, zmieniłem o was zdanie, ale żałuję, że nie mogę już sprawy odkręcić. Po prostu jest za późno. Decyzję w waszej sprawie już podjęto".

Ludzie we wsi czuli, że coś wisi w powietrzu, choć o szczegółach nie mieli pojęcia. Niektórzy patrzyli na mnie podejrzliwie, jakbym był przestępcą, inni ze zrozumieniem i życzliwością. Byli jednak i tacy co na wszelki wypadek zerwali ze mną kontakty, żeby, jak wyznali szczerze, - nie stracić chleba. Doznałem wstrząsu.

Z ogromną wdzięcznością i sympatią wspominam za to ludzi, którzy wiedzieli o co chodzi i mieli zawsze odwagę stanąć w mojej obronie. Należeli do nich przede wszystkim: komendant miejscowego posterunku MO st. sierżant Jan Wilk oraz przewodnicząca koła ZSMP w gminie Bronisława Dobrowolska. Nigdy im tego nie zapomnę.

## **Bez pożegnania**

Studia moje dobiegały końca. Sporo czasu zabrało mi napisanie pracy dyplomowej, ale włożyłem w nią całą duszę, ponieważ temat był dla mnie frapujący. "Odbudowa i rozbudowa szkolnictwa w powiecie leskim w latach 1944-1950" - oto co pochłonęło mnie bez reszty, co było doskonałą okazją do usunięcia białej plamy w historii szkolnictwa w tym zakątku kraju. Moim "opiekunom" z władzy gminnej ambicje takie były obce; śpieszyli się, żeby mnie

utrącić całkowicie zanim zdobędę stopień magistra, obligujący ich do mianowania mnie na cztery lata. Wykorzystali skrzętnie okres mojej izolacji od świata, kiedy to przygotowywałem się do obrony pracy magisterskiej. Pracę napisałem na bardzo dobry, obroniłem ją na bardzo dobry i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku wyjechałem podczas urlopu na wczasy rodzinne. Kiedy w lipcu wróciłem, w domu zastałem pismo KOiW, które było jednocześnie pożegnaniem, podziękowaniem za dotychczasową pracę na stanowisku gminnego dyrektora szkół i zaleceniem przekazania majątku szkoły swemu następcy.

Byłem wolny jak ptak. Majątek szkoły i urzędowanie zgodnie z poleceniem władz szkolnych przekazałem następcy. Odszedłem bez pożegnania, bez jednego kwiatka i bez słowa "dziękuję" - jakbym nigdy nie pracował w tej szkole.

Próbowałem zrozumieć motywy postępowania swojego następcy. Wiedząc, że ludzie ze strachu popełniają różne błędy, kierując się etyką chrześcijańską, puściłem ten fakt w niepamięć.

Poczucie zawodu i rozgoryczenia tkwiło jednak we mnie przez wiele lat i zaowocowało wierszem "Pożegnanie Olszanicy":

matka chrzestna  
wyznaczona przez los  
głucha niewidząca z bliska  
przymiotów  
za to pobłażliwa  
jak rodzona

mówią -  
czas stracony

nie dowierzam

długo szyła mi buty  
na to odejście  
przymierzała tyle razy

w tym ociąganiu  
jakiś niedomówienia  
może nawet miłość skrywana  
przed okiem Opatrzności  
a może tylko ból ciała

któremu odcięto  
zdrowy palec

Utwór ten jest transformacją (przeniesieniem) uczuć do wrogich mi jednostek na całą wieś; może dlatego, że ich "wyczyny" przyjmowała na ogół w milczeniu. W rzeczywistości jednak społeczeństwo Olszanicy w ogromnej większości darzyło mnie zaufaniem i moje odejście przyjęło ze zdziwieniem nie znając jego prawdziwych przyczyn sprawczych. Do dziś zresztą stwierdzam dowody sympatii, kiedy odwiedzam "swoją drugą ojczyznę".

W górę, w górę miły świecie  
tam przynajmniej czeka na Ciebie  
W. Pał



## W GÓRY...

W góry, w góry miły bracie  
tam przygoda czeka na Cię  
W. Pol



## Trochę retrospekcji

W sytuacji w jakiej się znalazłem postanowiłem wziąć roczny urlop na poratowanie zdrowia. Czas ten poświęciłem na refleksje i poezję. Wiersze pisałem już w czasach licealnych, najczęściej do gazetki szkolnej, ale poezją współczesną zainteresowałem się dopiero podczas pracy w Olszanicy. I to zupełnie przypadkowo; pod kopą siana kiedy spoczywając otworzyłem łamy "Widnokregu" i przeczytałem w nim jeden wiersz. Fakt ten uruchomił reakcję łańcuchową: zacząłem częściej czytać i pisać własne wiersze, wysyłając niektóre na konkursy literackie. W taki sposób doszedłem do członka Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy (KKMP) "Gwoźnica" w Rzeszowie. Klubowi temu, a szczególnie jego przewodniczącemu Tadeuszowi Kubasowi kierującemu klubem sprężyście ale demokratycznie zawdzięczam wiele bogatych duchowo przeżyć i kontakty z poetami oraz pisarzami z rzeszowskiego.

Będąc członkiem KKMP "Gwoźnica" uczestniczyłem w wielu biesiadach literackich, kursach (np. kursie kultury współczesnej) plenerach wędrownych organizowanych dla nauczycieli piszących jak np. rejs po Bałtyku szkoleniowym statkiem "Gryf", wędrowka "szlakiem Mikołaja Kopernika", czy "szlakiem I Armii W.P."

Za działalność kulturotwórczą na wniosek przewodniczącego KKMP Tadeusza Kubasa otrzymałem dyplom uznania (z okazji XV-lecia istnienia tego ośrodka) z podobizną poety Juliana Przybosa, a później Brązowe Odznaczenie imienia Janka Krasickiego.

Dzięki moim zainteresowaniom literackim wspomnienia okraszone są poezją, co dodaje im smaku.

Po rocznym psychicznym i fizycznym odpoczynku postanowiłem wyruszyć w... góry, by chociaż częściowo zapomnieć o wszystkim, odpocząć od ludzi, którzy podcięli mi skrzydła. Wszystko co kojarzyło się z nimi, budziło we mnie odrazę. Podświadomie omijałem z daleka budynek Urzędu Gminy, w którym spotkało mnie tyle upokorzeń. W górach można było znaleźć spokój i ukojenie, nasycić oczy zielenią - kolorem bliższym naturze człowieka. Poza tym spotkania z górami, gdzie poznałem ciekawych i mądrych ludzi były wspaniałym dopełnieniem moich pasji zawodowych.

Na bieszczadzkie szlaki wprowadził mnie (jeszcze przed odejściem z Olszanic) młodszy przyjaciel mojej rodziny Stanisław Orłowski - przewodnik górski i historyk rozmiłowany w Bieszczadach, wspaniały mówca, laureat Krajowego Konkursu Krasomówczego w Golubiu-Dobrzyniu. Jako przewodnik oddawał się z pasją zgłębianiu tajemnic gór i obronie jej dziewiczej natury. Jemu zawdzięczam ładunek niebanalnych przeżyć podczas wędrówek i turystycznych imprez, z których do najciekawszych zaliczam: ślubowanie przewodników beskidzkich, wyprawę na Małą Rawkę, Bieszczadzką Eskapadę Weselną, Rajd Przewodników i Nauczycieli oraz rajdy śladami sławnych ludzi.

Ślubowanie przewodników opisałem już w części "Tylko dla ducha". Teraz kolej na następne.

### **Wyprawa na Małą Rawkę**

Wyprawa odbyła się 8 maja 1980 roku. Przewodnikiem wyprawy był Stanisław Orłowski, tym razem "uzbrojony" we flet. Sama wyprawa na szczyt dostarczyła przeżyć jak inne podobne wyprawy bieszczadzkie. Uwagę naszą zwróciło jednak piękno wiosennego krajobrazu: lasy, przeważnie bukowe, niebiańsko oszronione, przypominały rozległe sady pokryte majowym białym kwieciem, a Mała Rawka wyglądała jak królowa w srebrnej koronie i w różowej aureoli świtu.

Kulminacyjnym punktem wyprawy było spotkanie jej uczestników w atmosferze baczności na tle znaków Zodiaku. Poezja brzmiała jak muzyka gwiazd, a pieśni śpiewane przy wtórze fletu potęgowały i wzbogacały jej duchową siłę.

Stanowiły one "próbę generalną" do wesela, które miało się odbyć w lipcu tegoż roku.

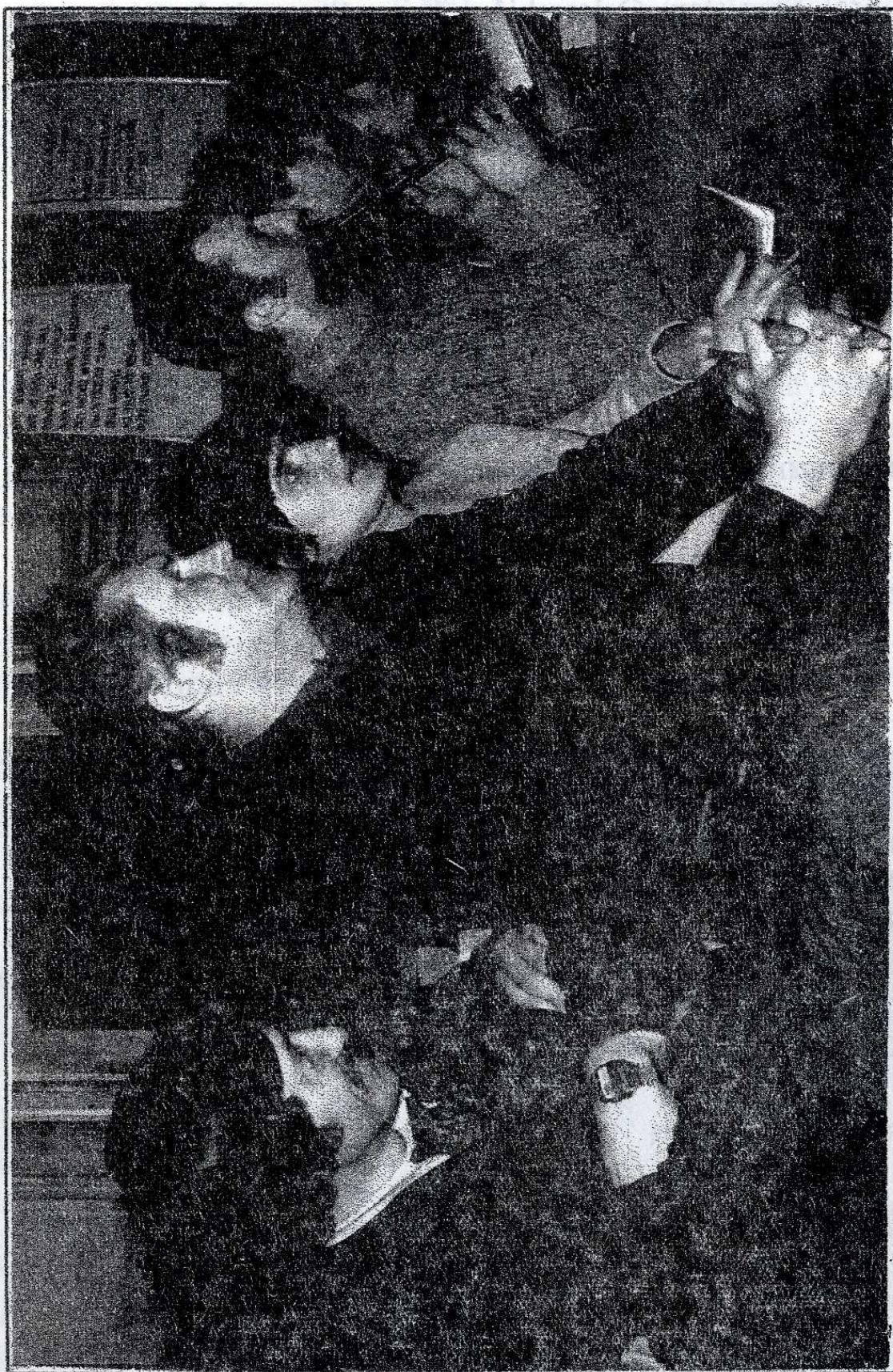
### **Bieszczadzka Eskapada Weselna**

W pewne jesienne popołudnie dwóch młodych żołnierzy w mundurach WOP, uczestników X Rajdu Partyzantów "Muchy"-Kunickiego wypatrzyło pod lasem koło Wołkowyi samotną dziewczynę z plecakiem i aparatem fotograficznym

- Pożartujemy z niej - powiedział noszący dystynkcje kaprała.

Gdy zbliżyli się do niej, zaszalutował i rzekł udając ton służbowy:

- Tu jest strefa przygraniczna. Poruszanie się po tym terenie jest dozwolone tylko pod opieką żołnierzy, wopistów. Proszę dokumenty!



Fot. 11. W bacówce "Pod Małą Rawką".

Dziewczyna zmieszana się lekko i rumieniąc się podała jakąś legitymację.  
Sprytny kapral przebiegl oczyma po blankiecie:... Maria Sobocińska...  
pracownik naukowy Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu...

- Kapral Stanisław Orłowski! - wystrzelił z uśmiechem zwracając jej dokument.

Po chwili cała trójka szła w kierunku wsi rozmawiając wesoło.

Niedługo potem listonosz wręczył mi w białej kopercie złożoną starannie kartkę z papieru kredowego o następującej treści:

Bieszczadzka Eskapada Weselna

20-21 mensis Iulii A.D. 1980

Zaproszenie

My - Maria Sobocińska i Stanisław Orłowski

wraz z Rodzicami naszymi

- turystycznym zwyczajem przewodników Bieszczadzkich natchnieni

Ciebie Janie

na Bieszczadzką Eskapadę Weselną

serdecznie zapraszamy i na wędrówkę do serca gór naszych w dniach 20-21 lipca A.D. 1980 wyciągnąć z domostwa Twego chcemy, aby zasiedziały członki Twoje rozruszać i do weselnych śpiewów chóralnych zachęcić.

### Program

Niedziela 20 lipca

- godz. 14.30 - wyjazd autokarem z Leska (ul. Gwardii L. 16)

- godz. 15.00 - msza ślubna w kościele parafialnym w Średniej Wsi.

- godz. 16.30 - przejazd autokarem do Bacówki pod Małą Rawką (930 m.

n.p.m.)

- godz. 19.00 - rozniecenie ogniska weselnego

Poniedziałek 21 lipca

- godz. 7.00 - pobudka

- godz. 8.00 - msza polowa

- godz. 9.00 - śniadanie

- godz. 10.00 - przejście trasy: Bacówki PTTK pod Małą Rawką (930m.) -

Wlk. Rawka (1.304m.) - Kremenaros (1.214m.) - Moczarne - Wetlina.

- godz. 15.00 - powrót autokarem do Leska.

Zapewniamy:

- przejazdy autokarem,

- noclegi w warunkach turystycznych,

- posiłek regenerujący przy ognisku,

- pamiątkowy znaczek z eskapady,
- przewodników na trasie,
- okoliczności do skojarzenia nowych małżeństw
- moc wrażeń przy przejściach nocnych i dziennych

Prosimy o:

- zgłoszenie udziału w Eskapadzie najpóźniej do dnia 10 lipca 1980r. na adres: Stanisław Orłowski, 38-621 Łukawica Leska 65.

- przybycie w stroju turystycznym i w miarę możliwości z własnym ekwipunkiem oraz sprzętem biwakowym,

- zabranie ze sobą śpiewników, instrumentów muzycznych, mocnych głosów do śpiewów chóralnych i solowych,

- zapoznanie się z mapą turystyczną terenu,

- nie ściganie się z halnym w górach,

- nie oswajanie dzikich zwierząt,

- i umiarkowanie w jedzeniu i piciu...



Fot. 12. Chwila odpoczynku w drodze do weselnej bacówki.



Fot. 13. Przy weselnym ognisku.

Drugą taką samą białą kopertę otrzymała żona Maria. Takiemu zaproszeniu oprzeć się było trudno. Zgłosiłem, również w formie dowcipnej, nasz udział w Eskapadzie Weselnej.

Spełniając w miarę możliwości trzeci punkt prośby dołączyliśmy w Lesku do pozostałych gości weselnych i autokarem pojechaliśmy do Średniej Wsi. W miejscowym kościółku Maria Sobocińska i Stanisław Orłowski w nastroju powagi i skupienia wzięli ślub, a brać przewodnicka w suchym trzasku aparatów fotograficznych złożyła młodym najlepsze życzenia u progu nowej drogi.

Drugi etap Średnia Wieś - Mała Rawka autokar pokonał w ciągu godziny. Ale tu skończyła się dobra droga i z obwodnicy bieszczadzkiej do Bacówki pod Małą Rawką trzeba było iść pieszo 2 kilometry dźwigając z rozkoszą i wzrastającym łaknieniem duże kotły z wyzerką weselną.

Pierwsze toasty wypito w schronisku na tle znaków Zodiaku, ale niedługo wesele wraz z kuchnią przeniosło się na pobliską polanę. Na polanie całe towarzystwo gości weselnych uległo wyraźnej polaryzacji: goście z dalekich miast rozsiedli się z gitarami po jednej stronie placu, a grupa bieszczadzka - po stronie drugiej. Aby się nikomu nie narazić i mieć dobre pole obserwacji usiadłem pośrodku. Przede mną roztaczał się zielony plac przeznaczony na harce weselne.

Do tańca przygrywał na akordeonie organista Władysław Marcinik. W jedzeniu i piciu panowała całkowita swoboda. Transportery z napojami chłodzącymi i piwem oraz termosy z gorącą grochówką ustawione były w jednakowych odstępach na obwodzie placu, a komu wypadło miejsce w cieniu olszyny miał szansę na podwójną czy potrójną receptę, a nawet na kradziony pocałunek panny młodej

Przyszła kolej na śpiewy. Zaczęli goście z dużych miast. Śpiewali kameralnie, nastrojowo pobrzękując na gitarach, a pieśni ich wyrażały jakąś nieodgadnioną tęsknotę.

Bieszczadnicy z gitarami przewieszonymi przez ramiona, jak karabiny czekali przyczajeni w zaroślach na swój moment. Nastąpił on o godzinie 24.00, kiedy "mieszczuchom" wyczerpał się chwilowo repertuar. Na sygnał Lutka Pińczuka, o którym będzie jeszcze mowa zerwały się z łoskotem skrzydeł pieśni bieszczadzkie i zbójnickie. Złe duchy co o północy się zjawily, by podglądać wesele, wycofały się w las, a instrument w rękach organisty urwał w pół walca i zaczął szukać jego palcami nowej tonacji.

"Kanonada" przewodników i goprowców zniszczyła resztki nadziei na krótki choćby wypoczynek przed świtem. Sen nadszedł dopiero z brzaskiem i rozstawił warty z obłoków mgły gotowe do odparcia słońca.

Taka sytuacja oraz brak wina mszalnego sprawiły, że nie mogła się odbyć msza polowa, a w pielgrzymkę do Wielkiej Rawki i na Kremenaros udała się tylko połowa uczestników wesela.

"Pielgrzymka" o mało nie skończyła się tragicznie. Podczas drogi powrot-

nej nad Wielką Rawką zawisła czarna, jak węgiel chmura burzowa z rojem błyskawic. Przewodnik grupy postanowił ominąć tę górę, strzelnicę piorunów i zejść na skróty. Przedzierając się przez gąszcz buczyny, jedna z uczestniczek wyprawy (po niedawnej operacji chirurgicznej) doznała blokady jednej połowy ciała i osunęła się na ziemię. Za pomocą krótkofalówki zawiadomiono o wypadku GOPR w Ustrzykach Górnych. Wnet pojawił się helikopter. Mimo bardzo trudnych warunków atmosferycznych wylądował na właściwym miejscu. Z kabiny wyskoczył Lutek Pińczuk. Chorą przyniesioną z lasu na specjalnych noszach, helikopter odtransportował do Sanoka.

Przygoda w górach, tym razem dramatyczna dzięki sprawnej akcji GOPR skończyła się szczęśliwie.

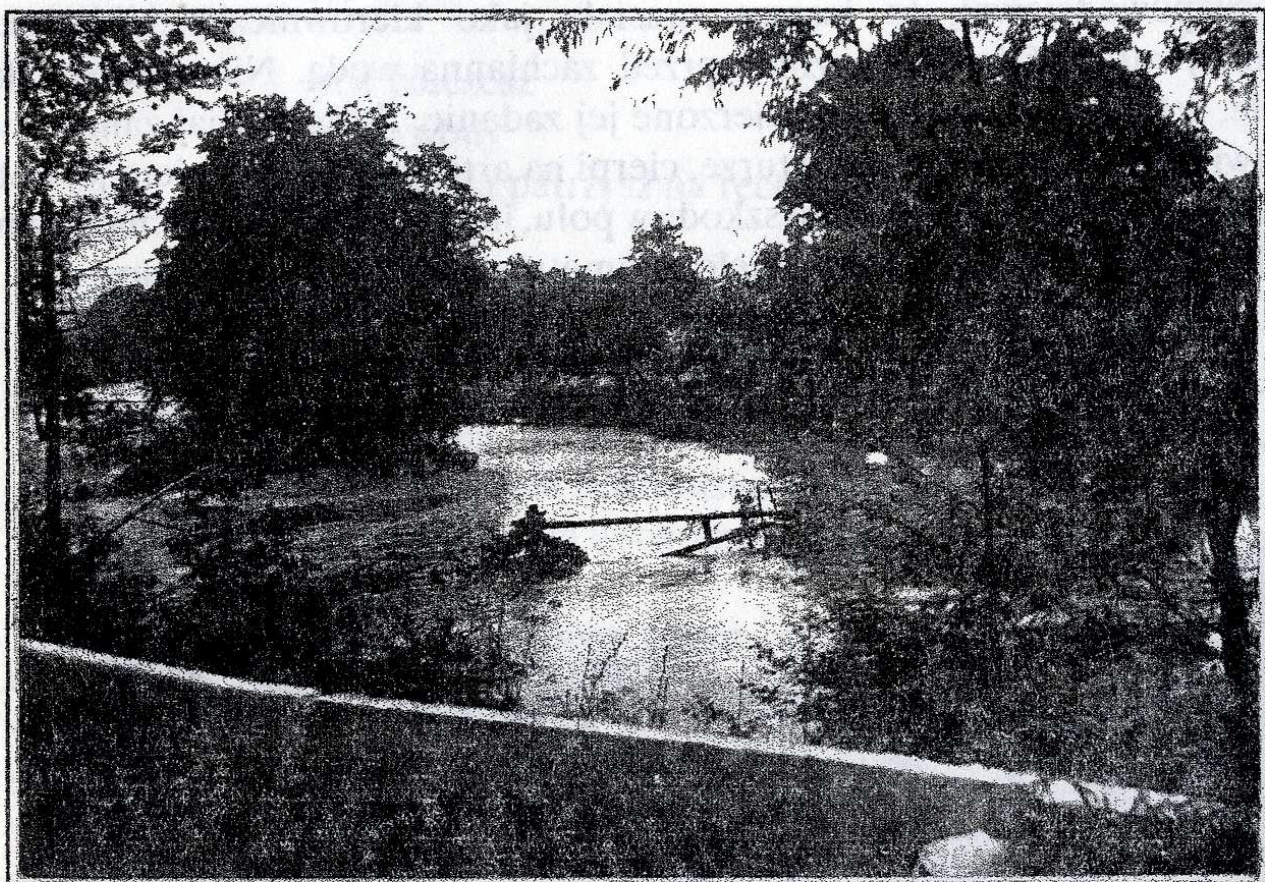
Minęły lata. Bacówka pod Małą Rawką nie pamięta więcej takich weseł, ale nieustannie wypatruje okienkiem, jak gwiazdką wędrowców, a w lutowe mrozy nadśluchuje pieśni wilków, które przemierzają swój odwieczny szlak. I jest wciąż, jak w wierszu "Gwiazda Małej Rawki":

łatwiej znaleźć  
 w roju gwiazd tę Jedną  
 gdy Księżyc na obchód granic  
 odchodzi z wilczą lampą  
 z ambony pada  
 gęsty śrut ciemności  
 w Jej ramiona  
 przyśni się Kremenaros  
 dowódca trzech strażnic  
 ten co to w maju śle swaty śniegu  
 do Małej Rawki  
 a ona koronuje się świtami

rankiem promieniście  
 rozchodzą się wędrowcy  
 spełniać wróżby Zodiaku  
 z biletami powrotnymi

## Powódź stulecia

Mój "romans z górami" został przerwany podczas powodzi największej w tych okolicach od stu lat. Oko nieba jakby porażone zaćmą zaszło chmurami na kilka tygodni i przez cały czas, niemal bez przerwy padały ulewne deszcze. Wody w rzekach i potokach górskich wzbierały niebezpiecznie łącząc się jedne



Fot. 14. Widok z mostu w Uhercach. Woda wzbierając powala słupy.

z drugimi poprzez doliny, a w nich wsie.

Oto fragment wiersza "Powódź" oddający grozę tamtych dni:

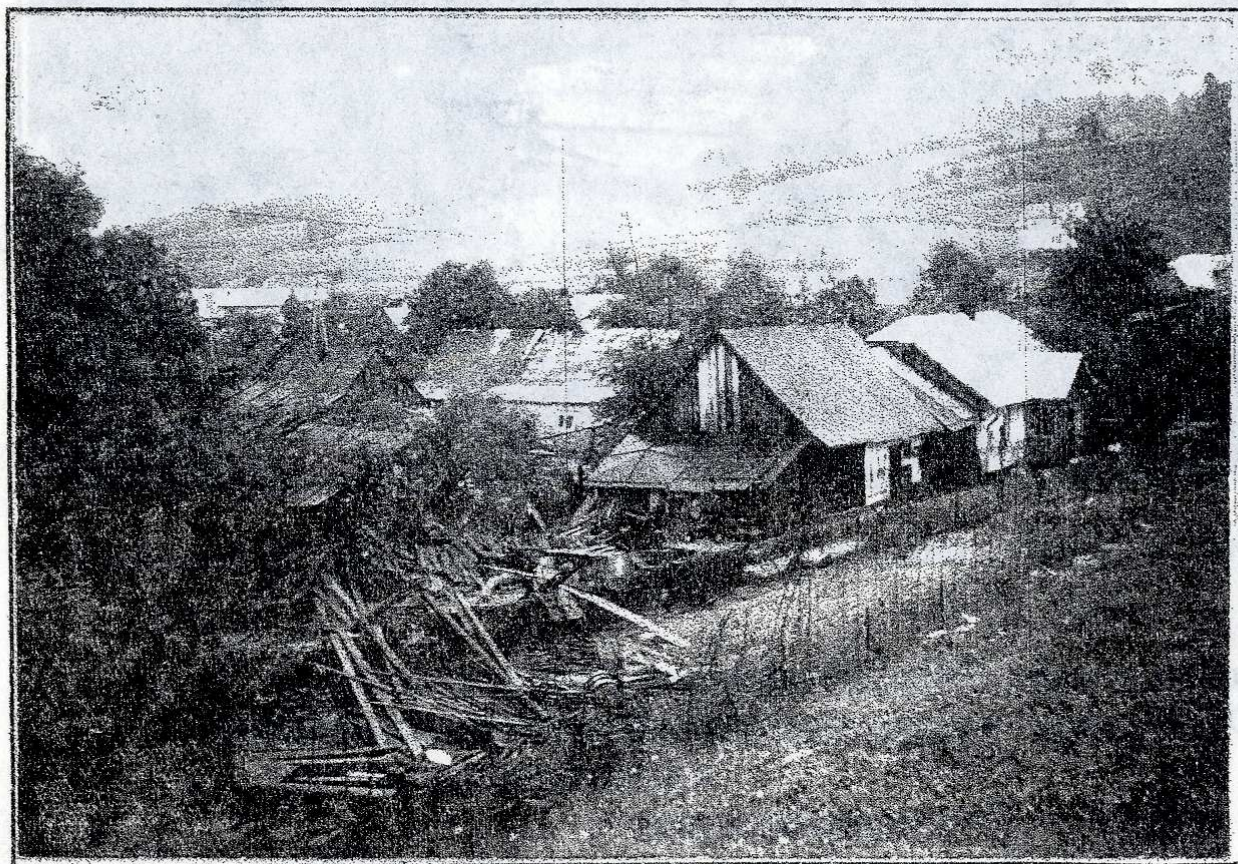
To wyrodna córka słoty  
Jak olchy niosły jej welon -  
musiały się kłaniać piorunom  
psy wyły na jej weselu  
zamierała ze zgrozy wieś  
w jej szumie

Woda w niektórych rejonach wypłukiwała z mieszkań wszystko czego ludzie nie zdążyli wcześniej wynieść, niektóre budynki gospodarcze rozrywała na fragmenty, lżejsze unosiła ze sobą.

Helikopterami dostarczano płyny do dezynfekowania i inne środki higieniczno-sanitarne oraz materiały niezbędne w sytuacji klęski żywiołowej, a także lekarstwa zapobiegające epidemii.

Pani Helena Skocelas, szefowa Służby Medyczno-Sanitarnej w gminie Olszanica nie dość, że była niezbędna na "pierwszej linii frontu" w akcji przeciwpowodziowej, to jeszcze musiała jako kierowniczka biblioteki gminnej ratować jej księgozbiór przed zachłanną wodą. Nie oszczędzała siebie, żeby dobrze spełnić powierzone jej zadanie. Za to dzisiaj zamiast w zdrowiu odpoczywać na emeryturze, cierpi na artretyzm. Rozumiem jej ból.

Powódź poczyniła ogromne szkody w polu, inwentarzu żywym i martwym, w zdrowiu ludzkim, zniszczyła wiele kilometrów dróg, pozrywała mosty.



Fot. 15. Tyle zostało z budynku gospodarczego M. Różyckiego po przejściu fali powodziowej.

Niektóre skutki powodzi ilustruje poniższe zdjęcie:  
Uzupełnię je fragmentem wiersza "Po odpływie":

ziemia jak śliski trup  
patrzy mętnie w obcy krajobraz  
przeviń mnie -  
błaga przez zamulony sen

i akcentem optymizmu:

nie płaczesz  
dość wody  
z nadzieją patrzysz na ręce.

### Na granicznym szlaku

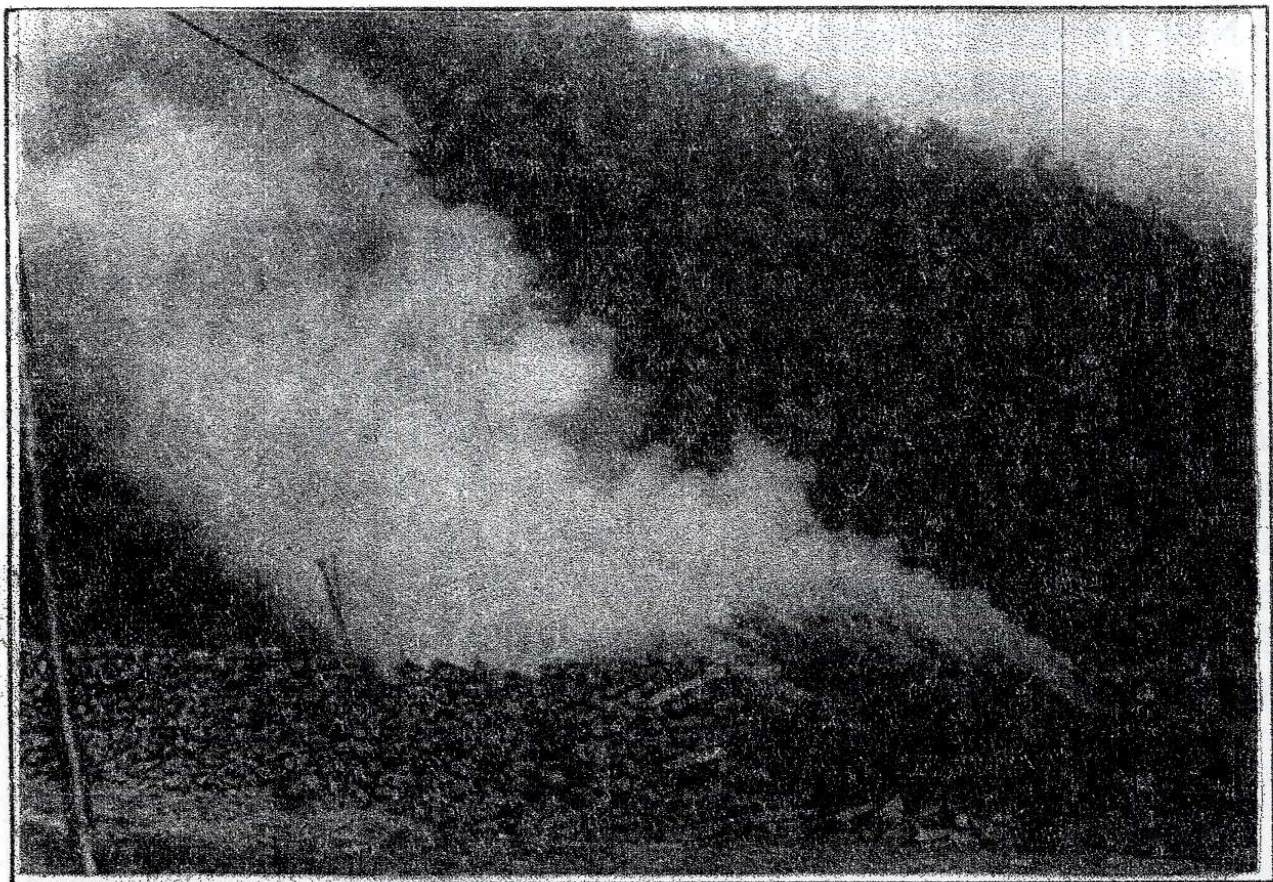
Noc z 19-tego na 20-tego października anno domini 1980 dla przewodników i nauczycieli zajmujących schronisko w Wetlinie była nocą bezsenną. Wszyscy oczekiwali z napięciem wschodu słońca. Nagle ktoś zawołał:

- Księżyc już zbladł!

Za chwilę cała grupa w pełnym rynsztunku wypłynęła barwnym strumieniem plecaków w szary zmierzch kierując się na wschód. Oczy wpatrzone były w jeden punkt na horyzoncie, gdzie otwierało się niebo. Światło rozszerzało się stopniowo i cicho, żeby nie zbudzić przedwcześnie wiatru aż ukazało się wielkie, mocno ukrwione serce dnia - słońce. Gdy oderwało się od ziemi-matki poczęło tracić purpurę, aż doszło do koronacji. Wtedy wszyscy złożyli mu pokłon i poddali się słonecznej władzy.

Był to jeden z ostatnich dni jego panowania, ale jakże wspaniałe, uroczyste, jakby pożegnalny. W swej nieograniczonej szczodrości słońce października gościło nas całym bogactwem bieszczadzkiej jesieni. Nie wiadomo było co wybierać: plamiste salamandry lasów, fioletowe bokobrody połonin, czy białe grzebienie wierchów.

Pierwszej próbie poddało nas Czoło. Zmęczony mierzyłem drogę na drzewa, potem na kroki, w końcu na stopy. Przyjaciel Stanisław Orłowski nie opuszczał mnie, jak mógł, podtrzymywał na duchu. Kryzys minął. Z Rabią Skalą poszło łatwiej. Później szlak prowadził granicą, którą była ścieżka wydeptana przez wopistów. Można było z niej bezkarnie polować lornetką na widoki polskie i sąsiadów Słowaków, ale zabroniono strzelać z aparatów



Fot. 16. Dym z mielerzy o kształcie głowy pięknej blondynki.



Fot. 17. Na szlaku.

fotograficznych. Stąd widziało się całą krasę połonin i czubate, najeżone lasami góry Słowacji.

W pobliżu Dziurkowca sprawdziło nas słońce, kontrolując wnikliwie tożsamość naszej kondycji i odporność na pragnienie. Gdy odkryło dziurę w termosie, groziło mi zatrzymaniem. Pomoc współtowarzyszy eskapady uratowała mnie. W Niedźwiedzim Potoku ugasiłem resztki pragnienia.

Ponad 40 kilometrów w tym cztery szczyty mieliśmy w nogach. Ale to była prawdziwa "wyrupa", taka co odkaża charakter człowieka, jak mocne przepłukanie żołądka alkoholem, raz do roku odkaża przewód pokarmowy. Tak przynajmniej twierdzą turyści-lekarze.

### Śladami sławnych ludzi

Do wspaniałych tradycji Oddziału PTTK "Bieszczady" w Lesku należą rajdy "Śladami Sławnych Piór", których inicjatorem bywał najczęściej Wiesław Próchniak. On też pisał przeważnie foldery do tych rajdów. Wielu zwolenników miały także rajdy "Śladami Partyzantów Muchy-Kunickiego".

Sławnych piór Bieszczady pamiętają wiele: Wincenty Pol, Seweryn Goszczyński, Aleksander Fredro, Zygmunt Kałużyński, Maria Czerkawska (z Bezmiechowej) i wielu innych zapisało się w historii tych gór.

W niektórych rajdach brałem udział. Dostarczały one wiele ciekawych przeżyć, pogłębiały historię tej ziemi. Najbardziej jednak utkwił mi w pamięci rajd "Śladami Partyzantów Muchy-Kunickiego", a to z powodu postaci bohatera rajdu, który cały i zdrowy brał w nim udział oraz pewnej łopatki saperskiej.

Mikołaj Kunicki "Mucha", dowódca oddziału partyzanckiego im. Józefa Stalina podczas spotkania z młodzieżą zaimponował mi rzadką siłą przekonywania. Potrafił on twarde, bezwzględne, zdawało się okrutne decyzje dowódców wytłumaczyć, uzasadnić takim językiem, że nie tylko zaczynało się je rozumieć, ale w dużej mierze akceptować.

Ostatnim celem rajdu była Chryszczata. Idąc gęsto zalesionym grzbietem góry rajdowcy co pewien czas zatrzymywali się w cieniu buków, otaczali kołem majora Kunickiego i jego współtowarzyszy walk, by posłuchać ich wojennych wspomnień.

W pewnej chwili oddaliłem się z przyjacielem Kunickiego od grupy, by podejść pod szczyt góry. Idąc myślałem, że w tym masywie Chryszczatej znanej z krwawych walk z bandami UPA, musimy znaleźć jakiś ślad tragedii opisanej przez J. Gerharda w książce "Łuny w Bieszczadach". Rozglądałem się więc

dookoła, przewiercałem wzrokiem leśną darń zasypaną suchymi konarami.

Nagle spostrzegłem, że mój towarzysz wspinaczki pochylił się i spod wystających korzeni buka wyciągnął ciemny przedmiot. Podszedłem bliżej i nie mogłem uwierzyć własnym oczom: partyzant z oddziału Mikołaja Kunickiego ścisnął w dłoni mocno przyrdzewiałą łopatkę saperską z lat wojny. To się nazywa przeczucie!

Był wyraźnie podniecony, patrzył tak, jakby pamięć jego cofnęła się o kilka dziesiątków lat. Zrozumiałem, że w tym momencie spełniają się strofy wiersza "Chryszczata":

gdzie obóz buków i jodeł  
góra skoszarowanych cieni  
zwidły słońca docierają z trudem  
i łatwo otwiera się blizna



Fot. 18. Na Chryszczatej. Drugi z prawej Mikołaj Kunicki "Mucha".

## Księżyc nad Bieszczadami

(impresja)

Spójrzmy jeszcze na Bieszczady  
z wysokości,  
w środku lata  
na to co Księżyc odkrywa,  
co spostrzega okiem wyobraźni  
dusza nasza

Gdy słońce baryłką wina stacza się w lochy gór, Księżyc - nocny diak zapala od łuny świętych swoją twarz. Jej blask ociekając winą cerkwi w korony modrzewi oczyszcza się i rozjaśnia zbocza z mendlami zbóż. Są pełne oddania. Przemilcza więc Księżyc, co przemilczeć się godzi i posypuje srebrem osty, by mogły się wykupić od przekleństwa dłoni. Żegnany chórem świerszczy rusza dalej. Wydobywa z ciemności wzgórze, zbiera w dolinach wełnianki mgieł. Pod Soliną powleka platyną łuski jeziora.

Trakt podniebny, który w letnie południa zarasta burzanem chmur, teraz jest czysty i strumienie światła sięgają po Kresy. Widać w nich miasteczka namiotów, gdzie trwa nocny seans Solińskiego Lata.

Cisza spowita poświatą i zapięta na ostatni dźwięk gitary oddycha głęboko płucami gwiazd. Wilk nie wzywa - w Wołkowyi skomli tylko pies uwiązany na srebrnym łańcuchu. W głębi żarzy się miłość podsycana w kolibie oddechem Księżycyca. Słychać westchnienie sadów. To dusze wracają o północy i świetlikami kocich oczu prowokują przeszłość.

Wędruje Księżyc nad Bieszczadami wciągając zapach pstrąga i swąd zgaszonych ognisk. Wysłuchuje cichej skargi skazanych zaocznie drzew. Okiem łowczego prześwieśla las, a tam krew buczyn zakrzepła - król Karpat leczy rany od złotych kul.

Nad polaną rozjarzył metal źrenicy i widzi, jak w blasku serca czarnobrody rzeźbi w drewnie los, a zmyślny abażur z dyplomu nadaje kierunek światłu. Zdumiony chce przeniknąć mózg samotnika, ale gwiazda ostrzega, więc porzuca ten zamiar. Kieruje się ku połoninom, by przeliczyć obłoki przed porannym redykiem.

Za Wetliną owija się obłokiem pary kolejki bieszczadzkiej - myli pościg słońca. Ogrzany dymem mielerzy tropi ostatnią tajemnicę. Przed Komańczą przykłada na skronie zimne szmaragdy Jeziorek Duszatyńskich. Jego zdziwienie rośnie, jak legenda tej ziemi.



## OSTATNI PŁOMIEŃ

W mojej zasadzie "oddac Bogu co boskie" muszę stwierdzić obiektywnie, że Kuratorium Oświaty i Wychowania w Krośnie nie chciało zostawić mnie w tym miejscu. Wiadomo było, że mój urlop dla poratowania zdrowia nie będzie miał wiecznie. Karciarz Józef Tołłski i wicekurator Bronisław Ślęzka w oparciu o wyniki wizytacji mojej gminy, przeprowadzonej pod kierunkiem wicekierownika Wojewódzkiej Inspekcji Szkolnej, Kazimierza Wojewody ocenili mnie wysoko i zaproponowali stanowisko, o jakim mi się śniło: funkcję gminnego dyrektora szkół w Rymanowie Zdroju L. pięciopokojowe mieszkanie! Niestety, z różnych obiektywnych powodów, których nie chcę tutaj wymieniać, wojowizacji tej nie przyjąłem, czego władze Kuratorium przez długi czas nie mogły mi zapomnieć.

Znalazło się jednak inne wyjście: W Zbiorczej Szkole Gminnej w Lesku zwolnił się jeden etat i na moją prośbę KOiW przeniosło mnie do Leska, gdzie z dniem 1 września 1980 roku objąłem funkcję z-cy dyrektora szkoły. Drugim równocześnie następcą został Marian Brajewski, nauczyciel tej szkoły. Przyjął mnie z całym swoim zespołem współpracowników bardzo serdecznie i ryczyliwie. Gminny Dyrektor Szkół, Józef Baran podzielił zadania: mnie powierzył wychowawcze, a Brajewski kwestię organizacyjną.

Szkola była przestarzała. Podczas pauzy wrzesało jak w nju, setki uczniów przenieszczały się z klasy do klasy. Jeszcze po dzwonku dochodziły mnie ochy "wedrowek". Akustyka ścian wykluczala osiągnięcie absolutnej cizy, nie anonimowosc (ponad 1000 ucznia) utrudniala utrzymanie dyscypliny.

Mimo to, zachęcony przychylnoscia zespołu kierowniczego oraz dobra atmosfera w gronie nauczycieli, zabralem się gorliwie do pełnienia wszystkich obowiazków. Bogate dawstakowania z Okazanicami pragnialam wybudowac, dla dobra szkoły, która mnie przyjęła jak swojego. Po urzadzonoj funkcji według własnego wzoru opracowalem kilkuletni plan rozwoju szkoły, w tym w szkole oraz plan czynności związanych z przygotowaniem do realizacji dzianej wizytacji. Moje inicjatywy akceptowal w postaci zastępcy dyrektora Marian Brajewski. Dzięki temu plany te były realizowane w sposób planowy.

Z pasją oddałem się młodzieży, przypiętam. Wskazywalem na jej stan



## Pasje zawodowe odżywiają

W myśl zasady "oddać Bogu co boskie" muszę stwierdzić obiektywnie, że Kuratorium Oświaty i Wychowania w Krośnie nie chciało zostawić mnie swemu losowi. Wiadomo było, że mój urlop dla poratowania zdrowia nie będzie trwał wiecznie. Kurator Józef Tofilski i wicekurator Bronisław Ślącza w oparciu o wyniki wizytacji mojej gminy, przeprowadzonej pod kierunkiem wizytatora Wojewódzkiej Inspekcji Szkolnej, Kazimierza Wojewody ocenili mnie wysoko i zaproponowali stanowisko, o jakim mi się śniło: funkcję gminnego dyrektora szkół w Rymanowie Zdroju i... pięciopokojowe mieszkanie! Niestety, z różnych obiektywnych powodów, których nie chcę tutaj wymieniać, propozycji tej nie przyjąłem, czego władze Kuratorium przez długi czas nie mogły mi zapomnieć.

Znalazło się jednak inne wyjście: W Zbiorczej Szkole Gminnej w Lesku zwolnił się jeden etat i na moją prośbę KOiW przeniósł mnie do Leska, gdzie z dniem 1 września 1980 roku objąłem funkcję z-cy dyrektora szkoły. Drugim równorzędnym zastępcą został Marian Brajewski, nauczyciel tej szkoły. Przyjął mnie, jako swojego współpracownika bardzo serdecznie i życzliwie. Gminny Dyrektor Szkół, Józef Baran podzielił zadania: mnie powierzył wychowawcze, a Brajewskiemu organizacyjne.

Szkoła była przepelniona. Podczas pauz wrzało jak w ulu, setki uczniów przemieszczały się z klasy do klasy. Jeszcze po dzwonku dochodziły mnie echa "wędrówek". Akustyka ścian wykluczała osiągnięcie absolutnej ciszy, zaś anonimowość (ponad 1000 uczniów) utrudniała utrzymanie dyscypliny.

Mimo to, zachęcony przychylnością zespołu kierowniczego oraz dobrą atmosferą w gronie nauczycielskim, zabrałem się gorliwie do pełnienia swoich obowiązków. Bogate doświadczenia z Olszanicy pragnąłem wykorzystać dla dobra szkoły, która mnie przyjęła jak swojego. Po urządzeniu kancelarii według własnego wzoru opracowałem kilkuletni plan renowacji wystroju szkoły oraz plan czynności związanych z przygotowaniem szkoły do zapowiedzianej wizytacji. Moje inicjatywy akceptował w pełni zastępca dyrektora Marian Brajewski. Dzięki temu plany te były realizowane na ogół pomyślnie.

Z pasją oddałem się młodzieży, przyjmując dodatkowo rolę opiekuna

Samorządu Szkolnego. Żywe jeszcze wspomnienia sukcesów odniesionych w Olszanicy oraz twórcze zaangażowanie wielu nauczycieli szkoły leskiej, roznieciły przyprószony we mnie ogień, a ten z kolei podsycił działania innych. W ten sposób wytworzył się swoisty rezonans pracy uwidoczniiony podczas wizytacji, który przyniósł później wiele efektów.

Praca z samorządem uczniowskim była bardzo wdzięczna i przyniosła mi sporo satysfakcji. Najmilej wspominam współpracę z Radą Uczniowską w pierwszym roku pracy w Lesku, kiedy to w klasach ósmych zebrała się wspaniała i godna poświęcenia młodzież. Z aktywności samorządu zorganizowałem kilka wycieczek m.in. do zakładu introligatorskiego mistrza Józefa Kielbasy, największego w południowo-wschodniej Polsce numizmatyka (ponad 6 tysięcy zebranych monet) oraz do Pałacu Młodzieży w Tarnowie.

Godnym upamiętnienia w kronice szkolnej był występ Maryny Kossydar, która jeżdżąc po całym kraju przyjechała także do Leska, żeby dać młodzieży szkolnej recital pt. "Żołnierska rzecz", na który składały się piosenki żołnierskie z różnych okresów historycznych poczynając od pieśni "Bogurodzica" śpiewanej przez rycerstwo polskie przed bitwą pod Grunwaldem. Duże wrażenie zrobił na mnie hymn Armii Krajowej, który już bez większego ryzyka mogła zaśpiewać publicznie przy akompaniamencie organów elektrycznych.

Ponieważ znalazłem w niej bratnią polską duszę zawarliśmy przyjaźń i do dzisiaj utrzymujemy ze sobą korespondencję, gdyż Maryna Kossydar mieszka obecnie w Chorzowie.

Do chwil, które wspominam z wdzięcznością należały lekcje języka polskiego (pokazowe też) prowadzone przez Danusję Brajewską, a poświęcone moim wierszom. Natomiast Dozia Wołoszyn z właściwą ekspresją interpretowała moją poezję śpiewaną. Miałem możliwość przekonać się o tym wysłuchując pieśni (mojej i Piotra) "Och, ty ziemio, bieszczadzka ziemio..." wykonywanej przez zespół chórny złożony z nauczycieli.

Cieszyły mnie osiągnięcia wielu nauczycieli, a były one dużego kalibru: kółko modelarskie Józefa Szafránca nawiązując do tradycji szybowiska w Bezmiechowej odnotowało kilka sukcesów w zawodach wojewódzkich modeli latających, drużyna "Bieszczadzkie Łaziki" prowadzona w ramach SKKT przez zastępcę dyrektora Mariana Brajewskiego zajęła wysokie miejsce w VIII Ogólnopolskim Młodzieżowym Turnieju Turystyczno-Krajoznawczym, a zespół taneczny "Bieszczadzkie Żabki" wniósł się na wyżyny zajmując w swojej kategorii I miejsce w Krajowym Przeglądzie Zespołów Teatralnych w Koninie.

Te i inne osiągnięcia szkoły uprzytomniły mi fakt, że nie jestem sam, że i tutaj walka z przeciętnością w pracy stała się pasją wielu pedagogów.

Mile wspominać współpracę z dyrektorem Marianem Brajewskim. Moje doświadczenie w kierowaniu pracą wychowawczą szkoły oraz jego zmysł praktyczny, operatywność i szybkość podejmowania decyzji uzupełniały się wzajemnie. Stanowiliśmy tak zgrany duet, że jakiegokolwiek nieporozumienie między nami było nie do pomyślenia.

Bezpośredni przełożeni (Inspektor Oświaty, Gminny Dyrektor Szkół) docenili moją pracę. Z okazji Dnia Nauczyciela otrzymałem nagrodę Inspektora Oświaty. Z przyjemnością przyjąłem również zaproszenie do Częstochowy na styczeń 1982r., gdzie miałem otrzymać dyplom Ministra Kultury za całokształt pracy kulturo-twórczej w regionie bieszczadzkim.

W tym czasie stary system oparty na jedynowładztwie PZPR trzymał się jeszcze dość mocno, ale w jego fundamentach zaczęły pojawiać się pęknięcia. Naród odzyskiwał powoli odwagę zabierania głosu w sprawach, które go bulwersowały. Jako przykład może posłużyć list członków koła łowieckiego nr 53 z okolic Rymanowa do I sekretarza KC PZPR Stanisława Kani. Był on skargą-zażaleniem na rabunkową gospodarkę łowiecką prowadzoną przez przedstawicieli władz wojewódzkich w Krośnie na terenie ich koła. Kopia tego listu wpadła przypadkowo w moje ręce. Zainteresowali się nią dwaj dziennikarze z "Nowin" i... "ogary poszły w las!"

Po tygodniu na placu szkolnym powitał mnie red. Gajewski radosnym okrzykiem:

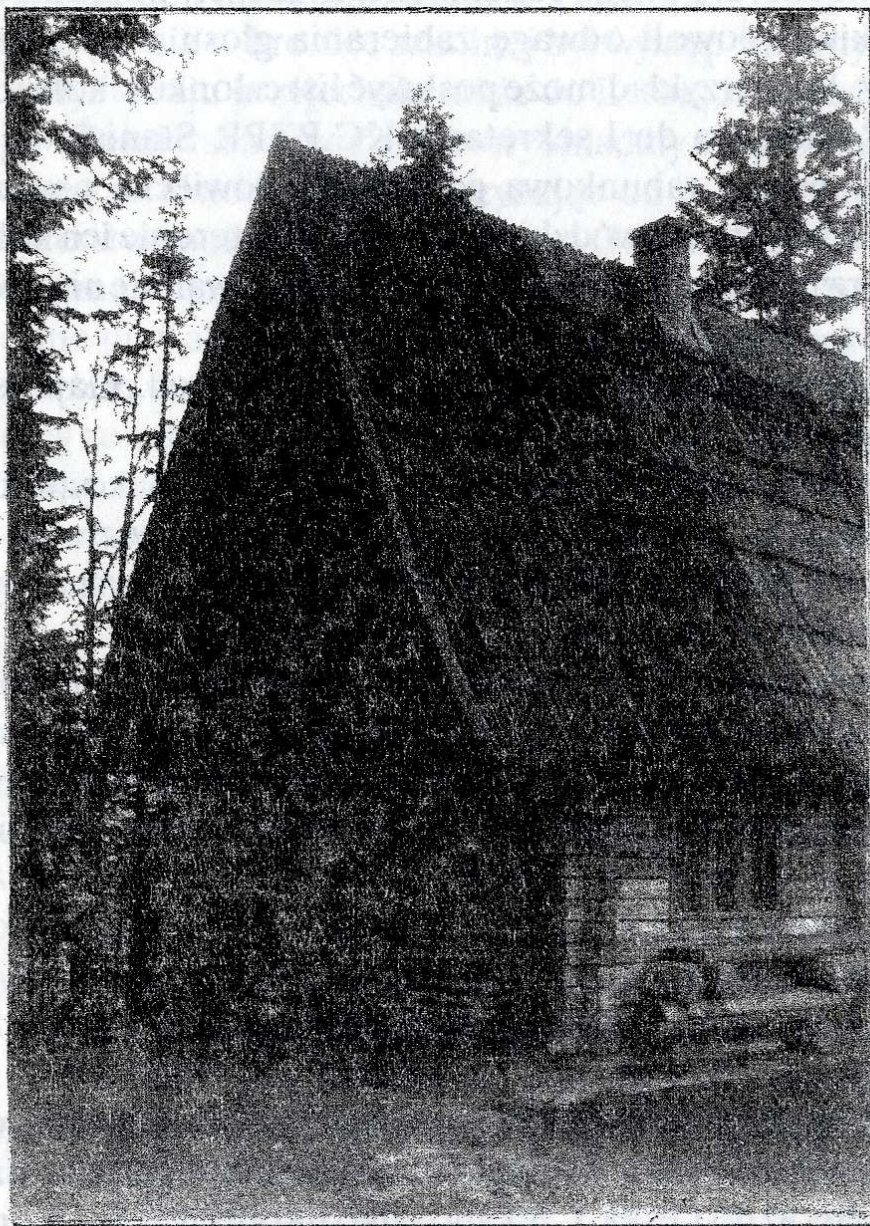
- Janie, nóg nie czujemy ze zmęczenia, samochód redakcyjny cały zachlapany błotem, ale idąc tropem listu stwierdziliśmy, że wszystko jest prawdą. Zebraliśmy na to mnóstwo dowodów. Mamy nawet pomysł na tytuł artykułu: "Droga zakazana".

Artykuł pod takim tytułem ukazał się w przeddzień wojewódzkiej konferencji sprawozdawczo-wyborczej PZPR i zaważył na wynikach wyborów. Dla mnie był on jak powiew pomocny podczas rozniecania moich pasji. Niestety nie na długo. Przywódcy polityczni Leska mieli jednak w stosunku do mnie inne plany.

## Przyprószanie ognia

Ostatni płomień, który zapalił się we mnie dzięki sprzyjającej atmosferze pracy postanowiono także zdmuchnąć. Macki byłego sekretarza partii w Olszanicy sięgały aż do Leska. Czekano tylko na odpowiedni moment. Rychło, bo już w grudniu 1981 roku stało się nim ogłoszenie stanu wojennego. Tajne instrukcje pozwalały na odwoływanie ludzi ze stanowisk w trybie doraźnym,

bez dochodzenia prawdy. Skorzystano z nich skwapliwie. Na polecenie Egzekutywy KM PZPR w Lesku zostałem zdjęty ze stanowiska zastępcy dyrektora szkoły w Lesku. W uzasadnieniu podano, że "utraciłem zdolność kierowania pracą wychowawczą szkoły"/.../, bo "postępowałem niezgodnie z uchwałami Partii, tj. popierałem strajki". Moje "popieranie strajków" polegało na tym, że nie zdejmowałem flagi państwowej (którą uważałem za świętość) wywieszanej przez nauczycieli, członków "Solidarności" i wyraziłem o tym swoje zdanie. Zdanie to świadomie i celowo zinterpretowano fałszywie, żeby mieć pretekst do zwolnienia mnie z pełnionej funkcji. W stanie wojennym taki "dowód" był wystarczającym, żeby zdegradować człowieka.



Fot. 19. "Pałacyk" w Leśnictwie Orelec.

Święta Bożego Narodzenia były smutne w tym roku dla wszystkich, którzy czuli się Polakami. Noc Sylwestrową spędziłem wraz z przyjaciółmi w "pałacyku" Leśnictwa w Orelcu, którego użyczył nam, życzliwy dla nas zawsze leśniczy Robert Fitkowski.

Mimo pięknej scenerii zimowej wszyscy byliśmy przygnębieni, znajdując się w okowach stanu wojennego. Atmosferę tej nocy oddaje w pełni wiersz "Sylwester bez gwiazd". Oto jego fragment:

Podatni iluzji nieba  
 teraz oślepli  
 Światło  
 dobyte siłą medytacji  
 rozproszono -  
 noc dryfowała przez mgłę  
 .....  
 Pragnienia kobiet  
 obwieszono perłami zimna.

Zakład Karny w Uhercach w tym czasie zaczął się napełniać internowanymi. Ale i wśród nich nie brakowało ludzi, którym nienawiść do komuny podsuwała nieraz zadziwiające pomysły. Kiedyś na przykład przed świętami wielkanocnymi poprosili zbrojmistra Józefa Rajzera o zakupienie im pewnej liczby kartek świątecznych. Ponieważ na niektórych kartkach pisanki były koloru czerwonego, nie przyjęli kartek prosząc pana Józefa o przemalowanie na inny kolor, oczywiście za dopłatą.

Takie i podobne "wybryki" internowanych były na ogół tolerowane. Między innymi dzięki komendantowi ochrony kapitanowi Tadeuszowi Sołowiejowi, który należał do "klawiszy" rozsądnych i zrównoważonych, wczuwających się w psychikę skazanych. Gdyby było inaczej nie zostałby mężem Broni Dobrowolskiej, mojej sojuszniczki z Olszanicy.

### W roli pedagoga

Ponieważ w tym roku opuściła szkołę kol. Bartnik, pełniąc dotychczas obowiązki pedagoga szkolnego, Gminny Dyrektor Szkół zatrudnił mnie na jej etacie. Była to ironia losu, bowiem w opinii partii "utraciłem zdolność kierowania pracą wychowawczą szkoły".

Mimo tej zmiany nic się nie zmieniło w stosunkach z dyrektorami szkoły.

Podobnie, na zasadach wzajemnego zrozumienia układała się współpraca z gronem nauczycielskim i Poradnią Wychowawczo-Zawodową. W rozwiązywaniu trudnych problemów wychowawczych łączył nas nadrzędny cel - dobro dziecka.

Wiele ciekawych obserwacji poczyniłem podczas kontaktów z rodzicami, kiedy przełamując barierę nieufności zajrzeć mogłem w intymny świat życia rodzinnego. Z podziwem, a nawet z pewnym szacunkiem obserwowałem przejawy bardzo silnej więzi uczuciowej i wzajemnej solidarności w rodzinach wielodzietnych, znajdujących się w trudnych warunkach materialnych i mieszkaniowych.

Analizując zaś przypadki wielkiej, ślepej miłości matki do dziecka zadawałem sobie pytanie: - Czy w pewnych warunkach bezgraniczna wiara w dziecko może zrekompensować brak krytycyzmu? Do dzisiaj nie jestem pewny czy odpowiedź na takie pytanie, może być jednoznaczna.

Praca w tej szkole potwierdziła także moją tezę, że ocena ucznia jest problemem nader złożonym i delikatnym, wymagającym dużej znajomości psychiki dziecka, jego warunków rodzinnych oraz dużego wyczucia. Jest to niezbędne do wyeliminowania roli subiektywizmu.

Takie i podobne problemy interesowały mnie jako pedagoga, ale praca na pełnych obrotach nie mogła trwać w nieskończoność. Ktoś mądry powiedział: "- Kto chce świecić, musi się spalać". Ja spalałem się szybciej od innych. Ostatni płomień przygasiły moce zewnętrzne.

W leskiej szkole pracowałem z poczuciem wzajemnej wymiany doświadczeń. Żegnając ją wynosiłem najlepsze wspomnienia, tym cenniejsze, że u mety mojej aktywności zawodowej.

### **Refleksje z dystansu**

W sierpniu 1984 roku przeniósłem się z rodziną do Sanoka i zamieszkałem w dolinie Sanu. Dwa razy w roku ta rzeka przypomina wszystkim mieszkańcom grodu o swoim istnieniu: wczesną wiosną kiedy wybuchami petard zrzuca z siebie lodowy pancierz i latem, gdy daje ochłodę miłośnikom kąpieli.

Opływając miasto wyrzuca na brzeg echa dawnych lat zebrane w górnym biegu, jakby spełniając rolę łącznika między mną, a Bieszczadami, w których spędziłem najpiękniejsze lata dojrzałego życia

Miasto sławnego Grzegorza, wielkiego humanisty polskiego urzekające położeniem, imponowało przemysłem, zadziwiała aktywnością kulturalną społeczeństwa, szczególnie prężnością Robotniczego Stowarzy-



Fot. 20. Pomnik Grzegorza z Sanoka

szenia Twórców Kultury. Działalność RSTK i placówek kulturalnych Sanoka ułatwiała mi kontakty z ludźmi, dla których "być" oznacza znacznie więcej niż "mieć".

Idąc brzegiem rzeki przywoływałem wspomnienia, a te pobudzały do powtórnych refleksji, ale bardziej dojrzałych, bo z dystansu czasu.

Wola Matiaszowa jawiła mi się jako chwilowy stan zmieniającej się rzeczywistości wsi, jako pewien zbieg okoliczności, chociaż ogólnie rzecz biorąc, każda mała wieś ma w sobie coś z rodziny, a każda duża, wymieszana pod względem ludności, jak na przykład Olszanica - słabiej łączy ludzi, wytwarza już pewne podziały.

Nadmierna miłość matki do trudnego dziecka, jeśli jest połączona z wiarą w jego poprawę i wspierana pracą wychowawczą, może w pewnej mierze zrekompensować brak rozsądku i obiektywizmu, ale nie jest tak zawsze, nie może więc służyć za receptę na wychowanie.

Góry rzeczywiście rozbrajają i przywiązują do siebie człowieka, ale nie zawsze i nie każdego na całe życie. Słabsi, przywykli bardziej do wygod z wiekiem zmieniają tryb życia. Zachowują wprawdzie wrażliwość na piękno natury, ale nie pociąga ich smak wielkiej przygody. W szarym, codziennym życiu szukają innych wartości.

Można znaleźć szczęście w obcowaniu z ludźmi, cieszyć się każdym najmniejszym dokonaniem, stawiać przed sobą ciągle nowe cele. Można też upajać się stanem nasycenia, być szczęśliwym z posiadania i za jedyny lub najważniejszy cel stawiać konsumpcję. Czy jest to tylko kwestia wyboru?

Pytali mnie często znajomi, czy nie żałuję lat życia poświęconych wybranym ideałom. W moim przekonaniu - odpowiadałem - wybrałem słuszną drogę. I dzisiaj wybrałbym taką samą.

### **Kontakty z Leskiem**

Z powodu wcześniejszego przejścia na emeryturę moje pasje zawodowe zgasły prawie, że w sposób naturalny. Nie zerwałem jednak łączności ze "światem" szczególnie z kulturą stając się członkiem Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury - Klubu Literackiego "Połoniny" w Sanoku. Podtrzymałem także kontakty ze szkołą, w której doznałem wiele satysfakcji z pracy. Dość często odwiedzałem kolegę dyrektora Mariana Brajewskiego, uczestniczyłem też w poważniejszych imprezach szkolnych, na które byłem zapraszany.

Będąc obydwa na luzie najczęściej rozmawialiśmy o sprawach wesołych. Odprężenie psychiczne potrzebne nam było jak powietrze. Opowiadałem koledze o zabawnych sytuacjach i tzw. kawałach, które towarzyszyły mi w pracy w Olszanicy. Odwzajemniał mi się udowadniając, że i w jego towarzystwie nie brakuje ludzi dowcipnych, z poczuciem humoru. Jednemu z jego przyjaciół przywiązano końcem lutego do gałązek drzewka kwiaty wykonane z różowej bibuły i zapytano go o nazwę tak wczesnej odmiany. Przyjaciół zdziwiony poszedł sprawdzić na działkę i w ten sposób stał się obiektem żartobliwych docinków.

Innemu koledze, nauczycielowi, kumple włożyli do pudełka butelkę koniaku z listem w stylu prostej, wiejskiej babiny zawierającym prośbę o "prze-

puszczenie" jej córki do następnej klasy i wysłali na jego adres.

Odwiedzili go w chwili, kiedy otwierał paczkę. Szczęśliwy odbiorca po otwarciu paczki i prześledzeniu wzrokiem treści listu oburzył się i stwierdził zirytowanym głosem, że on nie przyjmuje żadnych łapówek, a koniak odeśle nadawcy.

Kumple z trudem powstrzymując śmiech zaczęli perswadować:

- Oszalałeś Jurek?! Będziesz odsyłał francuski koniak? Dawaj szkło, zrobimy degustację.

W czasie degustacji koledzy przyznali się do "kawału" i wszystko skończyło się "happy endem", a gwiazdki z etykiety znalazły się po chwili w oczach gospodarza i degustatorów.

- I ja nie próżnowałem pod tym względem - pochwalił się kol. Marian - napisałem kiedyś pismo na adres kolegi o następującej treści:

"Zgodnie z umową zawiadamiamy,  
że malowanie mieszkania obywatela  
rozpoczniemy w dniu (tu wstawiona  
data). W związku z powyższym prosimy  
o usunięcie mebli z mieszkania"

Ekipa malarska  
(podpis nieczytelny)

Żona po tym liście zrobiła koledze awanturę, bo nie wiedziała o żadnej umowie, za to jego przyjaciele mieli ubaw po pachy.

Mniej śmiechu a więcej sensacji wzbudziły wydarzenia o których rozpisywała się prasa (jeszcze komunistyczna): "Topienie milicjanta" w Sanie oraz użycie czerwonego krawata przez ``diabła" w jasełkach organizowanych przy "Oazie" w Lesku.

"Topienie milicjanta" miało miejsce z okazji Dnia Wiosny, czyli 21 marca w znanym zwyczaju "topienia marzanny". Tak się pechowo złożyło, że jeden z uczniów szkoły podstawowej nie mając w co ubrać kukły odział ją w stary, podniszczony mundur swego ojca funkcjonariusza zakładu karnego, a wychowawcy ten fakt przeoczyli będąc pod wrażeniem pączkowania wiosny. Na całe szczęście "utopiono" jedynie kukłę, a nie człowieka, bo dzisiaj jest dużo wakatów w policji i liczy się każdy, kto nosi niebieski mundur.

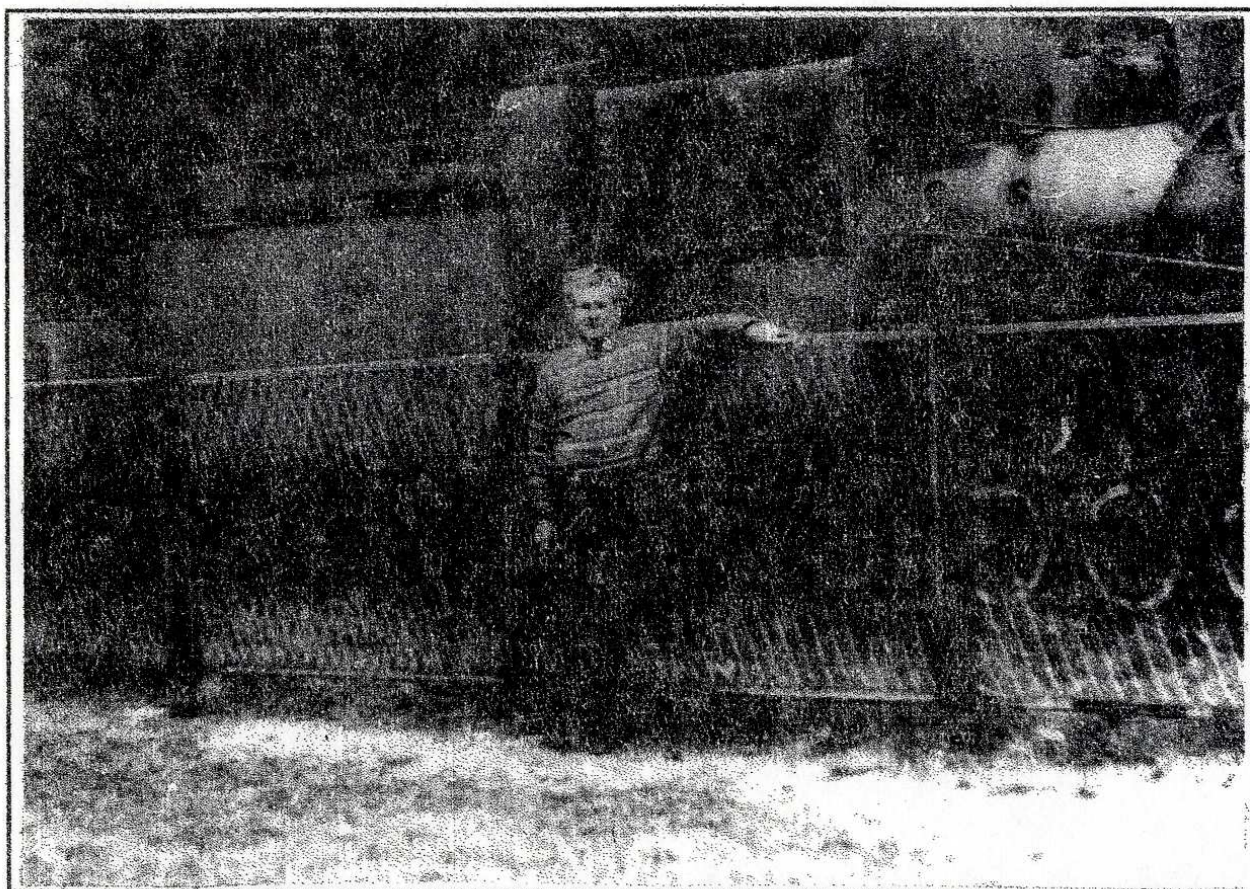
Jeśli chodzi o użycie czerwonego krawata przez "diabła" w przedstawieniu jasełek, to oburzenie władz politycznych było o tyle uzasadnione, że "diabeł" dla zmylenia dusz ludzkich lepiej uczyniłby zakładając krawat barwy błękitnej

(anielskiej) będącej też barwą ONZ. Scenarzysta i odpowiedzialny za całość nie znali widocznie dość dobrze podstępnej natury szatana. Ale za to winni "odpowiadać" przed księdzem, a nie przed "sądem" politycznym.

Czasami wybierałem się z młodzieżą leskiej szkoły na biwaki lub wycieczki w góry. Najmilej wspominam wycieczkę autokarem ` ` małą pętlą bieszczadzką". Zwiedziliśmy na trasie m.in. kolejkę wąskotorową ("ciuchcie"), cerkiew prawosławną w Rzepedzi oraz klasztor Sióstr Nazaretanek w Komańczy.



Fot. 21. Autor (z lewej) z kol. dyrektorem Marianem Brajewskim na tle klasztoru sióstr Nazaretanek.



Fot. 22. Przed parowozem bieszczadzkiej "ciuchci".

## Rehabilitacja

Czas komuny minął, można było wreszcie wystąpić otwarcie w obronie pokrzywdzonych. Na ustny wniosek dyr. St. Orłowskiego i pisemny (wraz z uzasadnieniem) od dyr. Mariana Brajewskiego przyjęty pozytywnie przez Kuratorium Oświaty i Wychowania w Krośnie nadany mi został w roku 1990 Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Dekoracji dokonano z okazji Święta Edukacji Narodowej na oczach młodzieży SP. w Lesku. Był on wyrazem uznania za całokształt mojej pracy społeczno-zawodowej i symbolicznym, moralnym zadośćuczynieniem za krzywdy wyrządzone mi przez władze byłego systemu politycznego.



# OD CZŁOWIEKA DO CZŁOWIEKA

## Pamięty, bajki i legendy

Od człowieka do człowieka -  
takie szczęście małych  
codzienne budowanie...



## Kiedy człowiek się otwiera

Spotkany na ulicy jest dla nas tylko przechodniem. Nie znamy jego myśli, uczuć, nie wiemy, jaki świat kryje w swoim wnętrzu, bo jest dobrze zamaskowany. Można więc minąć obojętnie niejednego człowieka, który mógłby olśnić, zafascynować swoją osobowością, gdyby się nagle przed nami otworzył.

Ten sam człowiek wyrwany ze swojego, najbliższego środowiska, pozbawiony tzw. układów, odblokowany psychicznie staje się zupełnie inny. Przekonałem się o tym wędrując z ludźmi ścieżkami bieszczadzkich tajemnic, rozmawiając z nimi za "kulisami" drzew lub przy blasku ogniska.

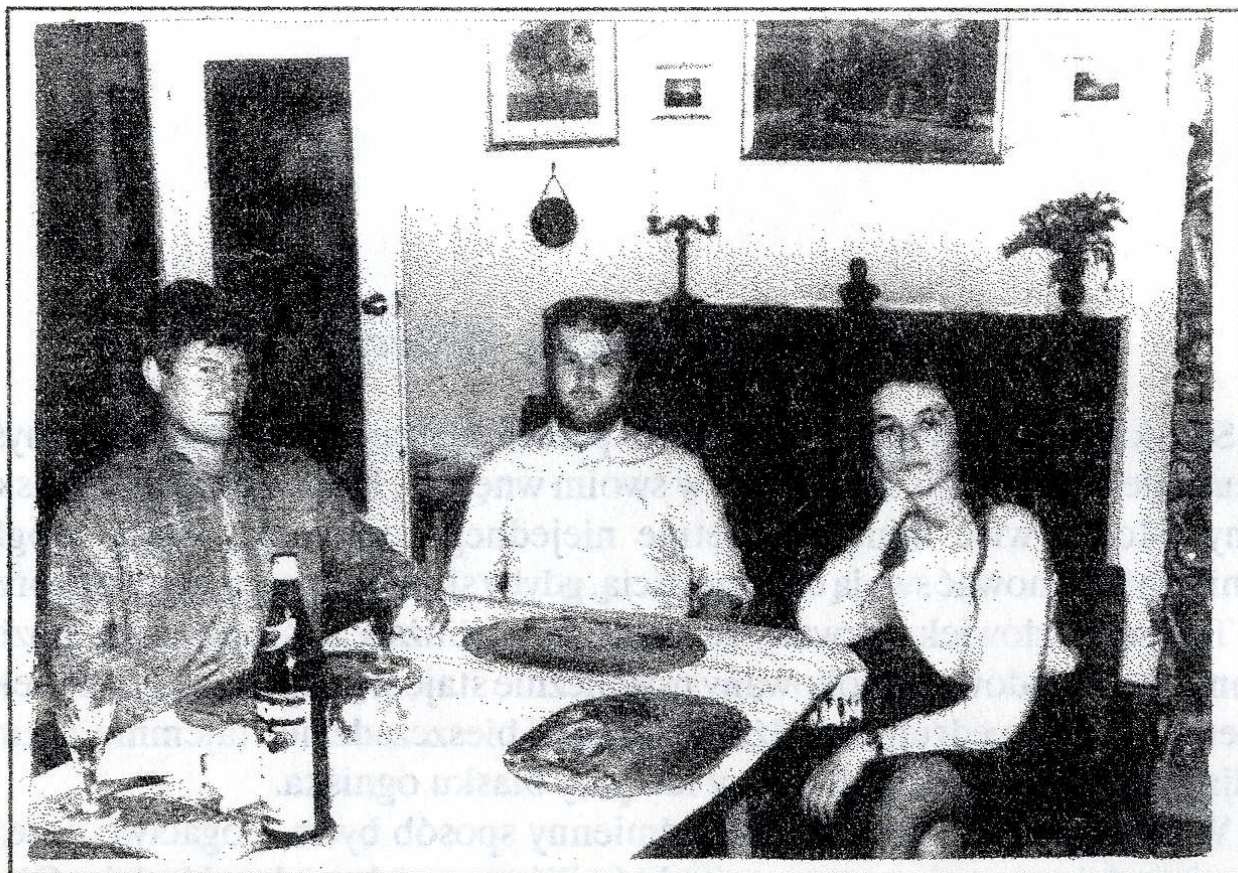
Wielu spośród nich ujawniło odmienny sposób bycia, bogactwo przeżyć lub niecodzienne zainteresowania. Mówiliśmy o nich: ciekawi ludzie. Obcowanie z nimi wzbogacało życie duchowe, nadawało mu swoisty koloryt i sens. A nic tak nie uszczęśliwia na codzień, jak odkrywanie drugiego człowieka i przeżywanie świata razem z nim.

## Pionierzy, twórcy i legendy

Odkrywanie i ukazywanie nieprzeciętnych charakterów ludzkich było dla mnie również pasją. Podczas wspólnych wypraw w góry, wycieczek i rajdów poznałem wielu braci duchowych. W dużym stopniu na tropach ciekawych osobowości pomagała mi zasada: "od człowieka do człowieka przez człowieka".

Przedstawię krótko sylwetki niektórych z nich.

**Lutka Pińczuka** spotkałem po raz pierwszy na eskapadzie weselnej. Pragnąc go poznać głębiej, a potem ukazać innym wszedłem w kontakt z redaktorem Edmundem Gajewskim. Wozem redakcyjnym pojechaliśmy do Ustrzyk Górnych, gdzie Lutek pełnił funkcję kierownika schroniska. Okazało się, że wyjechał służbowo do Sanoka. Długie godziny wyczekiwania wynagrodzone zostały sowicie. Nagrodą była jego opowieść o trudnym życiu, uwikłanym w losy tułaczy wojennych, a później związanym z Bieszczadami, jak



Fot. 23. Rok 1992. Spotkanie z Lutkiem (pierwszy z lewej) w mieszkaniu autora.

również odkrycie swojego wnętrza. Odwaga połączona z rozwagą, siła fizyczna i wytrwałość w harmonii z romantyzmem, słabością do zwierząt i gitary - ubrane na codzień w życzliwy uśmiech dominowały w jego osobowości. Pomogły mu one przetrwać najtrudniejsze okresy zmagania z żywiołem natury, siłami zła i wybrykami historii.

Przyjaźń ze Staszkiem Orłowskim zaprowadziła mnie do **Jędrka** "Połoni-ny" czyli **Andrzeja Wasielewskiego**. "Jędrak" najbardziej znany jest jako rzeźbiarz i malarz nieprofesjonalny o własnym, oryginalnym stylu, w sztuce użytkowej nawiązujący podobno do mebli huculskich. Wygodnie się ucztuje przy jego solidnych stołach, ornamentowanych po "Andrzejowemu", siedząc na drewnianych "tronach" z motywem konia. Koń jest jego ulubionym motywem nie z przypadku, Artystyczna dusza rzeźbiarza jest także duszą kowboja bieszczadzkiego, mającego swoje "rancho", po którym porusza się w odpowiednim stroju z "coltem" wetkniętym za pas.

Jeśli złamie go nostalgia za bezdrożem gór i ludzkich charakterów staje się wagabundą i znajduje język z najbardziej dziwnymi typami Bieszczadów o



Fot. 24. W "rancho" Jędrka Połoniny w Stefkowej. Od lewej: E. Gajewski (redaktor), B. Gołda, W. Kirszner (fotoreporter), Z. Gajewski (dyrektor szkoły), Jędrak, autor, R. Czerwiński (dyrektor drukarni w Sanoku). Na stole "Dusiołek" Jędrka Połoniny.

również dziwacznym przezwisku "zakapiory". Po powrocie znów sięga po dłuto lub pędzel. Czasami na bardzo krótko, co wyraziłem w końcowym fragmencie wiersza "Jędrak":

"Wrócił aniołem  
odmieniony  
jakby w sercu  
coś przeczuł:  
cichy  
pokorny  
i nawrócony..."

Na jeden wieczór"

Jedna z jego płaskorzeźb pt. "Ta karczma Rzym się nazywa", wisząca na ścianie mojego mieszkania przypomina mi nieustannie, że żyją ludzie umiejący pogodzić w sobie: moc diabła, boski talent i słabość człowieka.

By znaleźć się w innym świecie choćby na chwilę, wpadam do jego pracowni, a

tu nieporządek jest święty  
odkryj więc miejsca  
na dialog  
z tajemnicą  
wiórem sakralnym  
oczyść ręce  
nim dotkniesz  
co nietykalne  
.....

Albo zagłębiam się po raz niewiadomo który w "Ballady Bieszczadzkie" Edmunda Gajewskiego pisanej sercem i wyobraźnią.

Odkąd Jędrak rozstał się ze swoim "duszkiem opiekuńczym" czyli Grażynką, coraz rzadziej wraca do swej tożsamości stając czupurnie na drodze legendzie, którą stworzył z pomocą biesów i ludzi pióra.

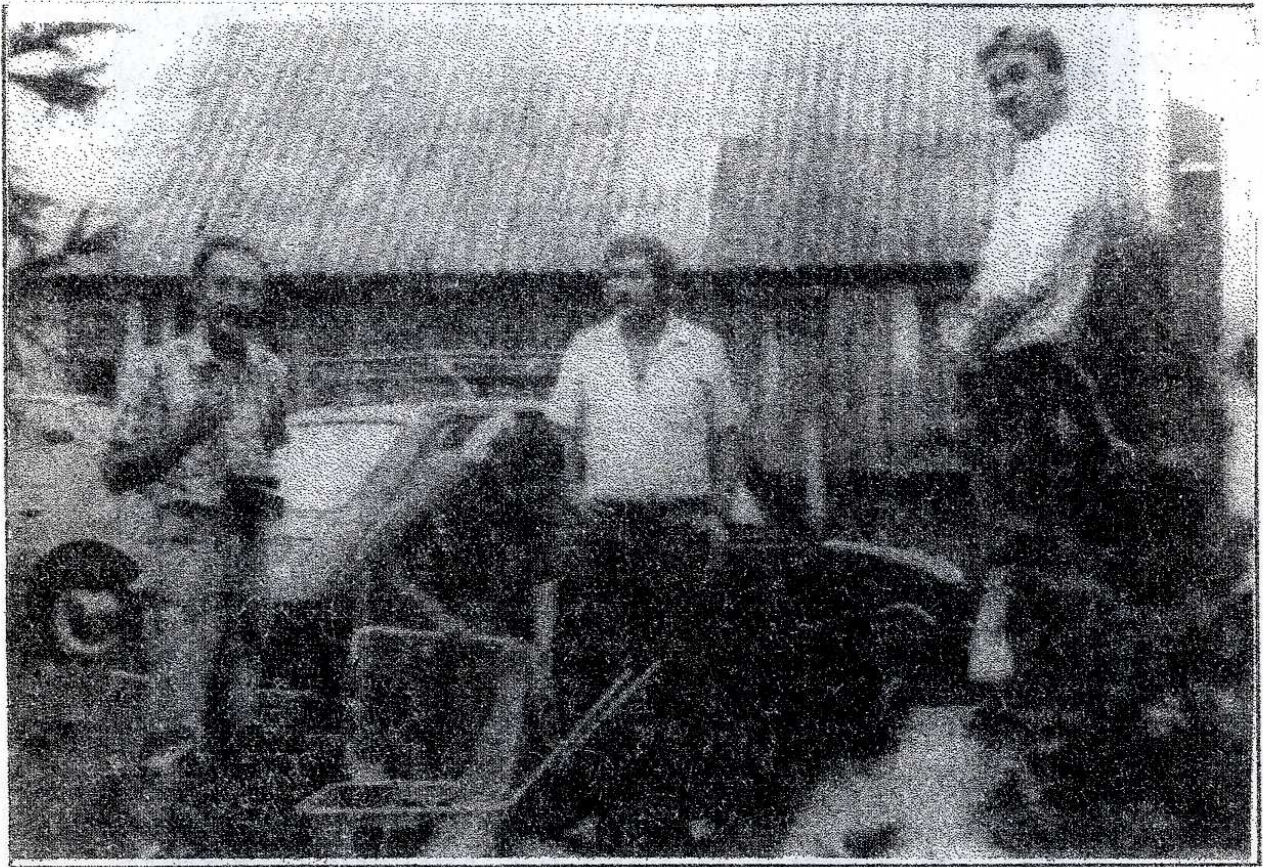
Młody, miły w obejściu człowiek z dyplomem Państwowego Liceum Technik Plastycznych w Zakopanem, ceniony za granicą, mało znany w najbliższej okolicy jest przeciwstawnym biegunem Andrzeja Wasielewskiego i nazywa się **Stanisław Trafalski**.



Fot. 25. S. Trafalski prezentuje grafiki, które wykonał jeszcze w "Szkole Kenara".

W jego królestwie rzeźb w Stefkowej można spotkać i tyrolskiego niedźwiedzia i szachy prawosławne, a nawet tryptyk ołtarza. W jego dom wprowadził mnie przyjaciel, poeta **Janusz Gołda**, a znaki magiczne pióra Gajewskiego uczyniły zeń człowieka znanego w swojej wsi.

Trafalskiego spotkać można było często u jego przyjaciela, a zarazem sąsiada, poety Janusza Gołdy, o którym wspominałem już w części "tylko dla ducha". Spotykali się tu także inni twórcy jak **Jan Tulik**, **Ryszard Kulman**, autor niniejszej książki, a nierzadko przyjaciele z "Nowin" - red. Edmund Gajewski i jego nierozłączny towarzysz, fotoreporter Włodzimierz Kirsznier.



Fot. 26. Przyjaciele zjechali; będzie dyskusja.



Fot. 27. W mieszkaniu autora. Tadeusz Śliwiak rozmawia z Tadeuszem Kubasem.

Bywało, że o dom gościnny Gołdów "zahaczali" poeci znani w kraju, jak np. **Tadeusz Śliwiak**, któremu towarzyszyła małżonka Matylda.

Wracając z Chmiela, gdzie spędzili w zgodzie z Naturą kilkanaście dni państwo Śliwiakowie wstapili raz do mnie, do Sanoka gdzie czekali już na nich inni przyjaciele **Rysiek Kulman** i **Tadeusz Kubas**, znany poeta z Rzeszowa. Spotkanie przeciągnęło się do późnej nocy.

Nie żyje już **Kazimierz Klich**, do którego prawo wstępu uzyskawszy redaktora Gajewskiego i fotoreportera Włodzimierza Kirsznera wprowadziłem, żeby rodzaj jego sztuki obejrżeli i duchem swoim ocenili.



Fot. 28. Kazimierz Klich ze swoim "Don Kichotem".

Polegała ona na wydobywaniu myśli z korzeni. I mniej tu było działania dłuta, a więcej popisów wyobraźni. W hasłach wycinanych ostrzem swojej filozofii w ciele jakby żywych istot był bezkonkurencyjny. Jak wciągać w tak stwarzaną rzeczywistość ludzi bez daru wyższego widzenia? Jak dzielić się z nimi bogactwem refleksji i doznań? Oto jego dylematy. Mimo to tworzył i ukazywał swój świat przez dziurkę od klucza rozumienia jego sztuki, przemawiał nim głęboko, często - w pustkę.

W tym znaczeniu może był Don Kichotem, wizjonerem dramatycznym, który przerósł otoczenie i z tego powodu cierpiał. Nigdy jednak nie sprzedawał swoich prac, a jeśli oddawał gratisowo to w godne, według swojej opinii, ręce.

Józefa Kielbasę, introligatora sanockiego poznałem przez swoje książki. Ale książki pisali ludzie. Mamy więc znów pośrednictwo człowieka.

Do pracowni mistrza Kielbasy warto wstąpić chociażby po to, żeby zobaczyć jego militaria z II wojny światowej, kolekcję plakatów, a przede wszystkim i nade wszystko - bogate zbiory monet z różnych epok i różnych krajów świata o łącznej liczbie ponad 6 tysięcy sztuk. O wartości tych zbiorów lepiej nie mówić.

Można przy tym i pożartować, bo kolekcjoner, introligator i numizmatyk

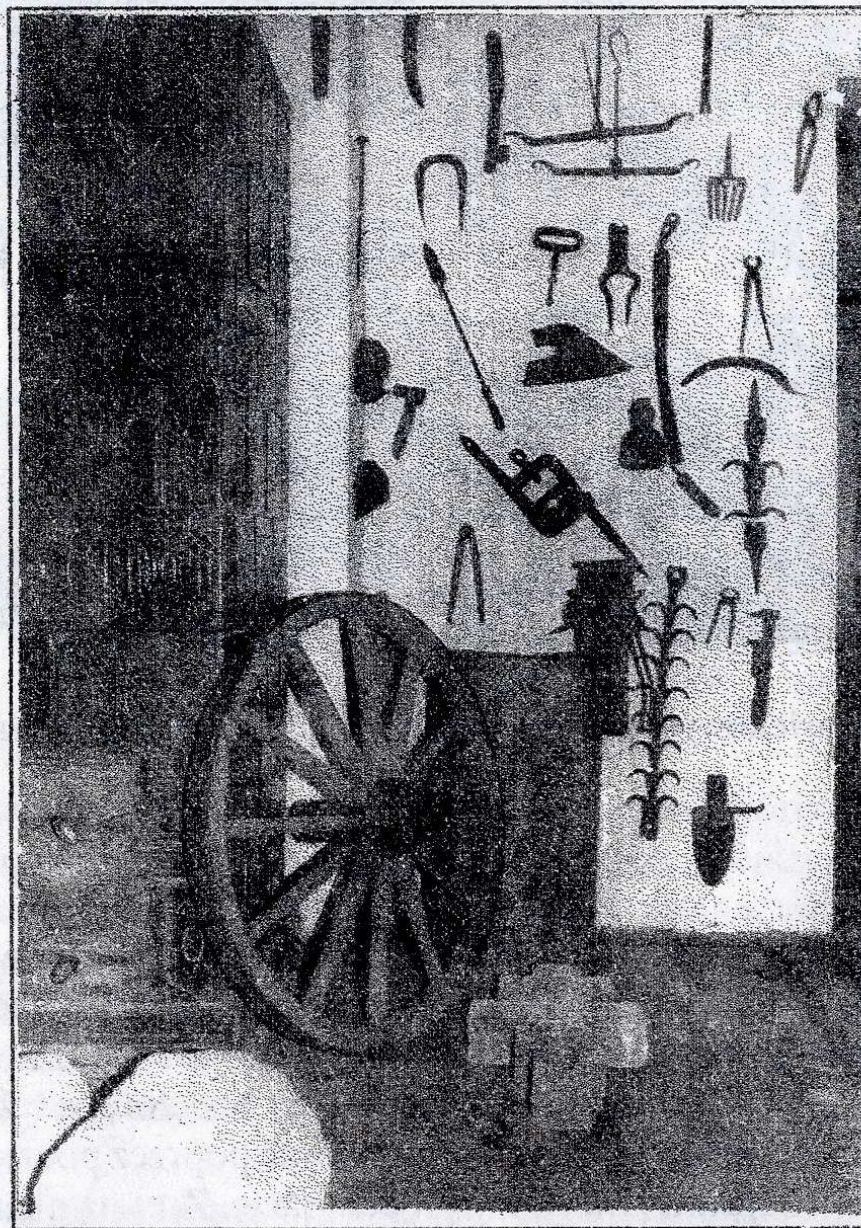


Fot. 29. W "muzeum" mistrza Kielbasy.

w jednej osobie mimo siwizny na skroniach, jest człowiekiem dowcipnym, pełnym humoru.

Nieustająca przygoda mistrza Kielbasy - jak określił jego życie red. Gajewski - wciąż trwa.

Twórcą prawie uniwersalnym jest **Zdzisław Pękalski** z Hoczwi, z wykształcenia nauczyciel. Malarz, rzeźbiarz, poeta w jednej osobie, a także zagorzały obrońca zabytków wygrał "świętą wojnę" z byłymi władzami Leska o uratowanie wszystkiego, co stanowi świadectwo kultury materialno-użytkowej i duchowej przeszłości tego regionu. Dzięki temu można oglądać je w muzeum regionalnym, na które przeznaczono budynek byłej plebanii greko-

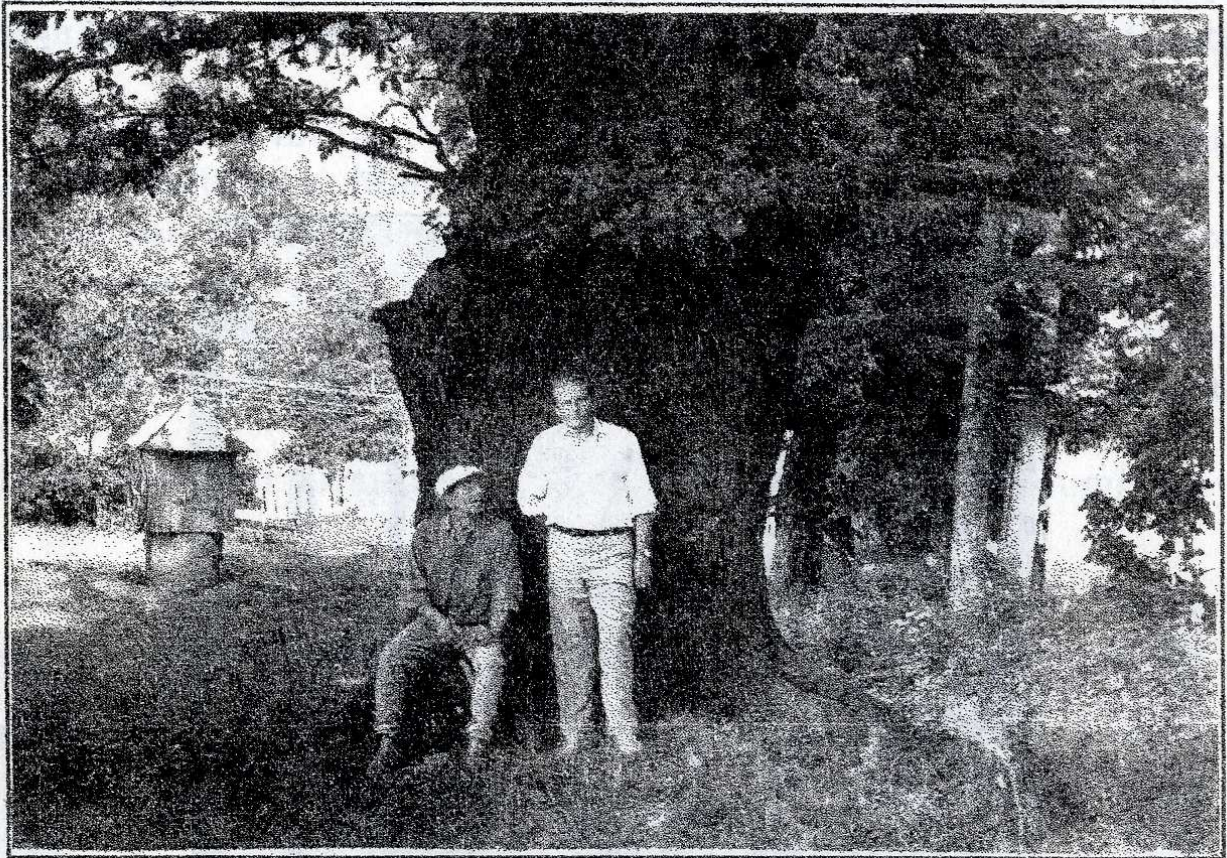


Fot. 30. W jednej z izb muzeum.

katolickiej zwanej "popówką".

Z pomocą dłuta i pędzla oswoił Pękalski bieszczadzkie biesy, a potem "pogodził je" z Chrystusem, aniołami i naturą świętych. W cichej zgodzie współlistnieją wszyscy na ścianie jego mieszkania.

Wiersze pisze, gdy zmęczone dłonie odmówią posłuszeństwa, albo zawładną nim serafiny zamieszkałe w koronach wiekowych dębów.



Fot. 31. Pod wiekowym dębem, pomnikiem przyrody osłaniającym muzeum.

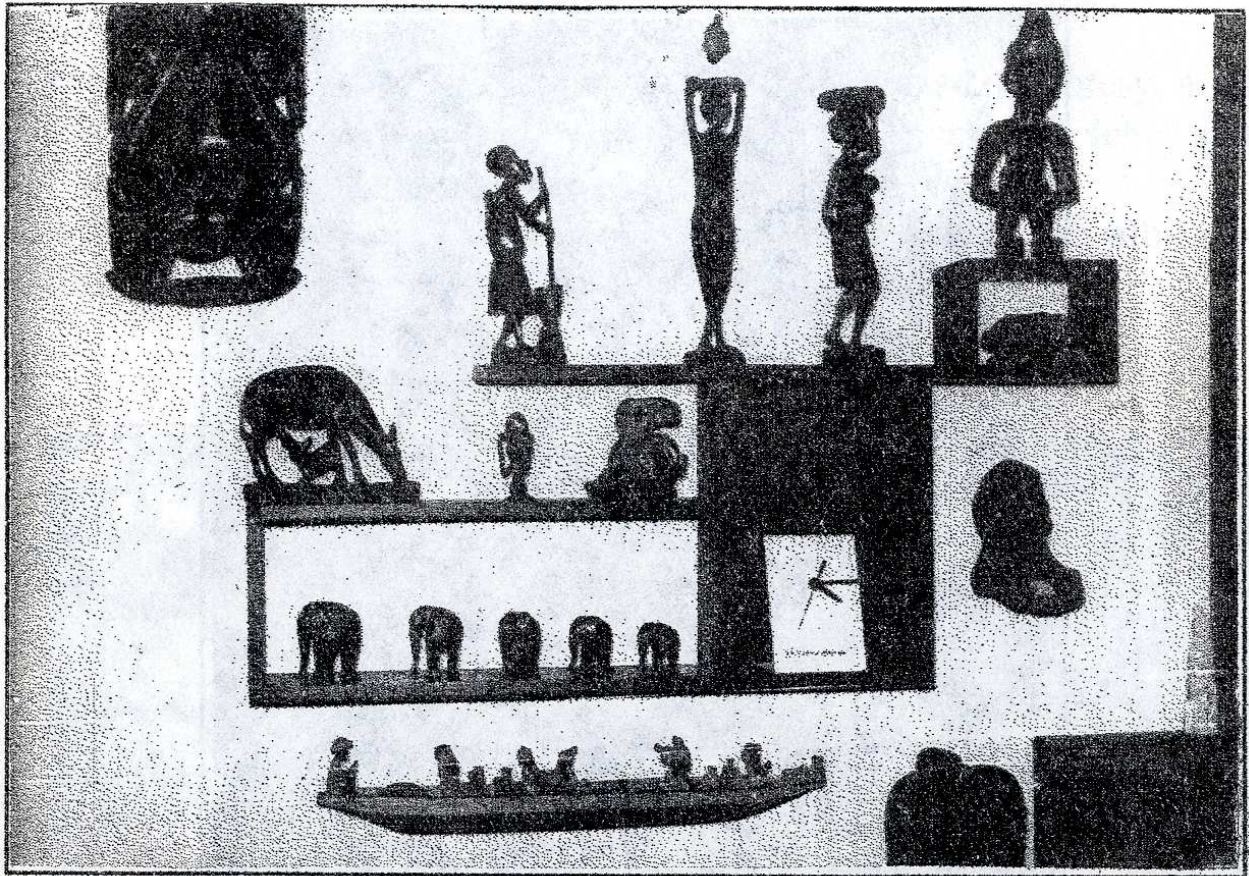
**Henryka Szarka** nie trzeba daleko szukać. Mieszka bowiem w Jędruszkowcach koło Sanoka. Dłutem wyczarowuje w drewnie sceny i ludzi "żywem wziętych" z obecnej, naszej rzeczywistości. Skąpy jest w rozdawaniu piękna twarzom swoich "bohaterów". Woli wydobywać brzydotę, gdyż jak twierdzi, "człowiek nie jest aniołem". Piękno woli kreować poprzez poezję, bo i wiersze także pisze. Przyznaję mu pod tym względem rację. Zresztą nie mogę inaczej, skoro deska pionowa regału w moim mieszkaniu jest płaskorzeźbą jego dłuta przedstawiająca przekrój naszego społeczeństwa i to w sposób trafny.



Fot. 32. Z. Pękalski w swoim królestwie. Czarny kotek przynosi mu szczęście.

Współzałożyciel Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Sanoku, jego długoletni przewodniczący i autor tomiku wierszy pt. "Słodki głód" to **Ryszard Kulman**, mój przyjaciel z osiedla. Jego pasją wymuszoną potrzebami domu są wyjazdy w daleki świat. Ma już na swoim koncie Angolę, Kostarykę i Nigerię. Wspomnienia z Angoli (niektóre mrozące w żyłach krew) pozwolił opisać red. E. Gajewskiemu w artykule pt. "W ojczyźnie Kunta Kinte". Wrażenia z pozostałych krajów spisuje sam. Życzę mu szybkiego wydania.

Nie znam bliżej **Leona Chrapki** jako artysty, chociaż miałbym chrapkę na niejednego jego obraz. Czasami wydaje mi się, że jego symbolika metafizyczna "trąca" nieco Bekszańskim, ale może się mylę. Jest także poetą. W grudniu



Fot. 33. Pamiątki z Czarnego Lądu.



Fot. 34. Przyjęcie w willi Chrapków. W okularach bohater wieczoru.

ubiegłego roku odbył się wieczór promocyjny tomiku jego poematów "Białe notatki". Ujął mnie swoisty klimat tych utworów i umiejętne połączenie prostoty ze współczesnością.

Zainteresowanych twórczością artystyczną i poetycką Leona Chrapki zachęcam do odwiedzenia artysty w jego willi "Legraź" (Le-on, Graż-yna) znajdującej się w Bóbrce k/Soliny będącej pod uroczą opieką jego muzy pani Grażyny.

Legendą Bieszczadów przez duże "L" jest ich pionier **Henryk Wiktorini** zamieszkały obecnie w Sokolem nad zatoką jego imienia, którą wciąż "cywilizuje" pragnąc ją ocalić od skutków bezwzględnych praw Natury i bezmyślnej działalności człowieka. Zanim tu osiadł na stałe, był jednym z "cowboi bieszczadzkich", o których rozpisywały się gazety. Zastępował również aktorów we fragmentach niektórych filmów o Bieszczadach.

O nim można też powiedzieć: rzeźbiarz; rzeźbi bowiem nieustannie dłutem charakteru swój los - w twardej i surowej Naturze tych gór.

Pierwszy raz go odwiedziłem wraz z rodziną latem 89 roku

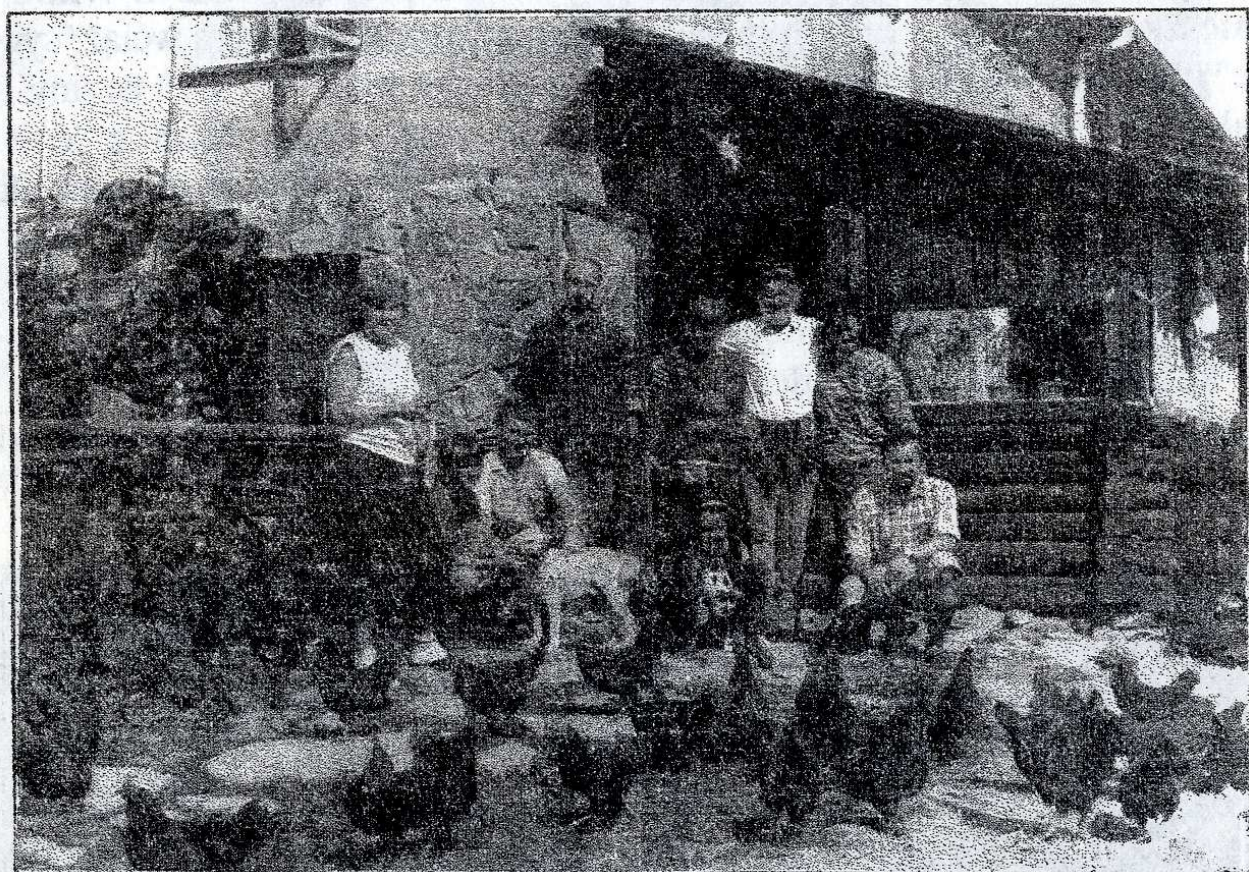
Do sadyby Henryka, którą dzisiaj nazwałbym "Betlejem bieszczadzkim"



Fot. 35. "Kriegsmarine" odbija od brzegu.

dopłynęliśmy jego łajbą podziwiając dzikie piękno brzegów Jeziora Solińskiego. Łajbę tę nazwał Henryk "Kriegsmarine". "Dowodził" nią często zaopatrzenie z Teleśnicy Oszwarowej na Sokole. Po "gdakaniu" jej silnika można było rozpoznać kiedy Henryk za sterem zasypia, a kiedy budzi się.

Nie zapomnę jego szczerzej gościnności i niesamowitych opowieści Toni - "amazonki" bieszczadzkiej.



Fot. 36. Przed sadybą H. Wiktoriniego.

Ciekawe było "spotkanie" z wilkami, kiedy w zimowy wieczór wracała konno do domu. Tajemnicze światelko, które pojawiło się nagle pośród drzew odstraszyło drapieżniki ratując konia i jeźdźca. Na próżno szukała Tonia źródła tego światelka; nie znalazła żadnych śladów ludzkich. Czyżby to była interwencja z "zaświatów"?

Innym razem miała nielada szczęście natknąć się na srebrne wilki, których szlak prowadzi od Pirenejów aż po... Kaukaz.

Sokole to miejsce szczególne, dlatego poświęciłem mu w tomiku wierszy rozdział "Światła drzew", w którym piszę m.in.:

Jest dom  
w Sokolem  
otwarty na bezdroże  
stół szeroki  
jak serce gospodarza

a o Henryku:

Są przebierańcy  
z gliny  
co udają pionierów

On -  
sam z siebie  
z prawdy i legendy...

Mój przyjaciel St. Orłowski twierdzi, że to góra "Stożek" podobna do piramidy egipskiej ma taką moc uszlachetniania każdego (nawet "zakapiora"), który zabłądzi w te strony.

Między przeszłością a teraźniejszością zachowują się niekiedy żywe pomosty. Dawniej na przykład przebywał w Beskidach i wielkie zasługi czynił dla geografii Wincenty Pol, geograf, malarz i poeta. Dziś odwiedza Bieszczady z dużym sentymentem do ich urody i natury mieszkańców jego prawnuk Adam Pol z wykształcenia inżynier górnictwa. Przygotowuje on wydanie książki pt. "Związki Wincentego Pola z Podkarpaciem".

Jestem wdzięczny Stanisławowi Orłowskiemu za to, że swoją osobowością przyciągnął Adama Pola w Bieszczady i do Ziemi Sanockiej, że mogłem pogłębić wiedzę o jego sławnym przodku i poznać bliżej jego samego, przeżyć z nim wspaniałe wieczór w pałacyku Leśnictwa Orelec, gdzie - jak to wyraził się sam gość - spotkała się "śmietanka kulturalna" Bieszczadów.

**Jan Ligaj**, obecny gospodarz i "kustosz" galerii Bieszczadzkiej Grupy Twórców Kultury (BGTK) urządzonej w budynku zakupionym jego staraniem w Zagórze to również rzeźbiarz (specjalista od intarsji) oraz doskonały historyk chociaż bez dyplomu. W swojej twórczości często nawiązuje do wydarzeń historycznych w Polsce. Przyjaciele doceniając rzetelność jego wiedzy na tym polu "nadali mu" tytuł "honorowego doktora historii".



Fot. 37. Wincenty Pol - obraz Mariana Jabłońskiego, znajdujący się w dworku W. Pola w Lublinie. Obok prawnik poety - Adam Pol.

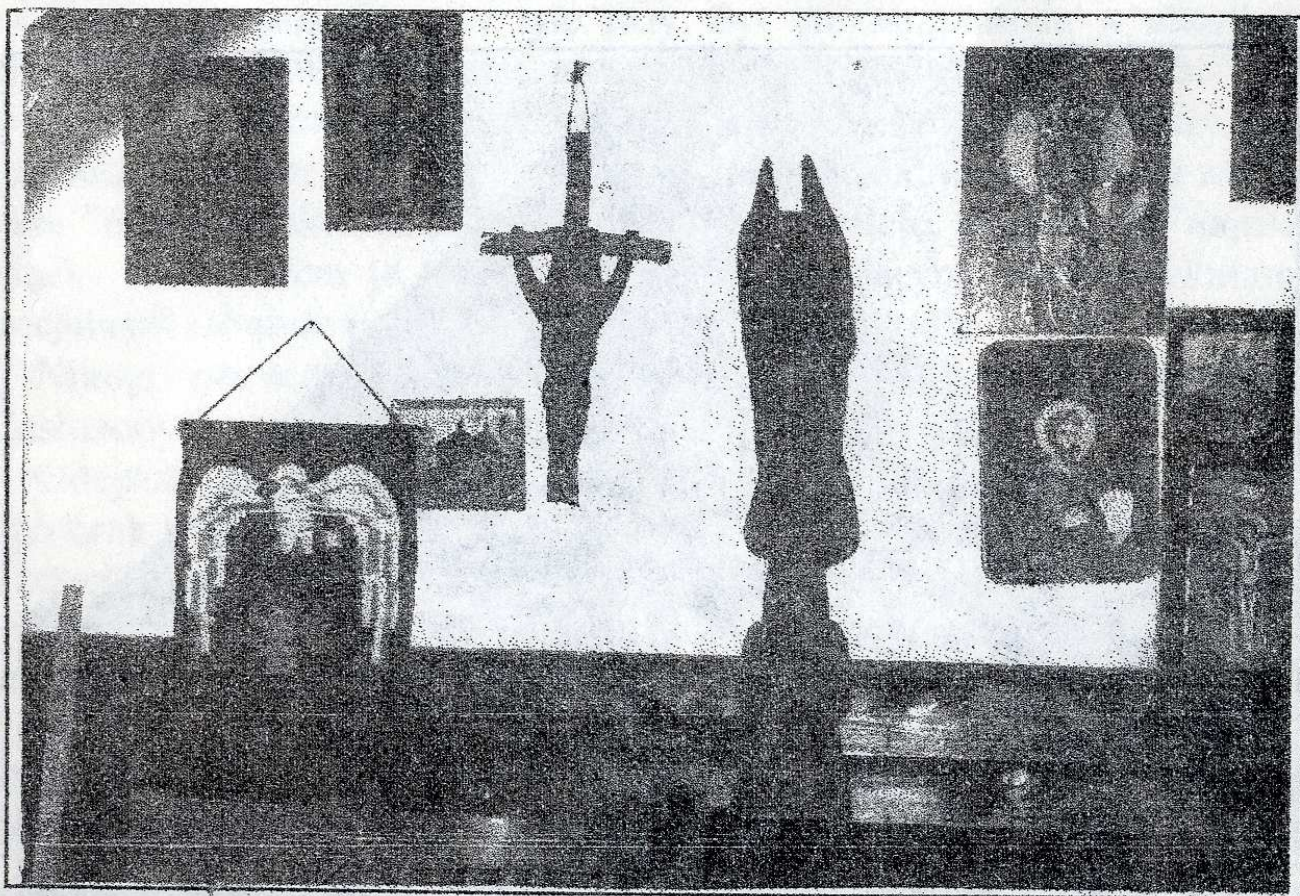
Inicjatywa, operatywność i wojskowa skuteczność działania Jana Ligaja pozwalają mieć nadzieję, że baza BGTK niebawem poszerzy się.

Dzięki Janowi Ligajowi poznałem bliżej **Władysława Prażyńskiego**, człowieka, co bardzo spontanicznie, z nieukrywaną radością wita każdego, w którym czuje duchowe pokrewieństwo.

Jest on przede wszystkim rzeźbiarzem i malarzem, ale próbuje także swoich sił w poezji. W jego dwóch pracowniach (letniej i zimowej) panuje



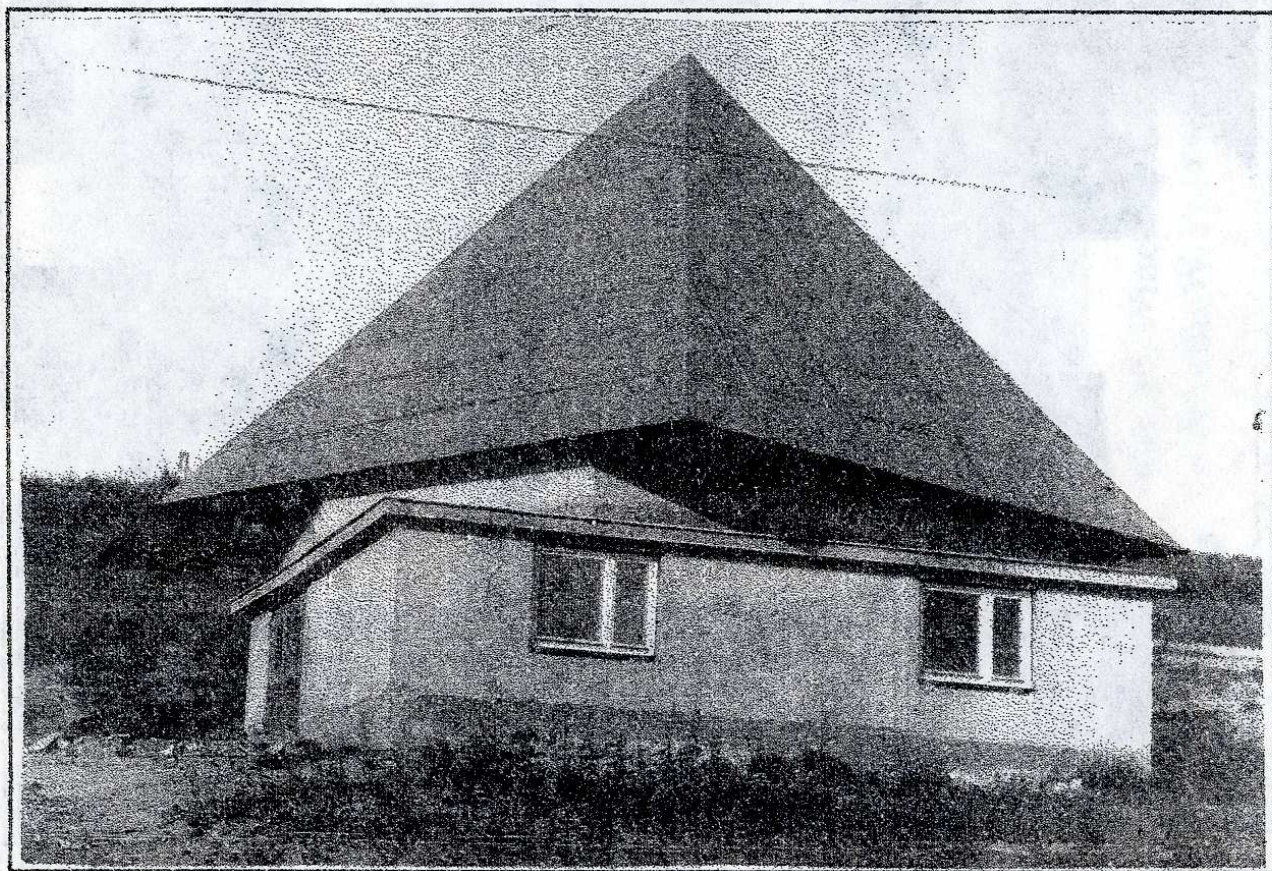
Fot. 38. Jan Ligaj i jego intarsje. Z prawej żona autora.



Fot. 39. W pracowni W. Prażyńskiego. Na środku figura Czada dłuta Mariana Hessa.

artystyczny nieład, ponieważ biesy podsuwają mu ciągle nowe pomysły, nie pozwalając żadnego zrealizować do końca. Dlatego z wielką radością przyjął od Mariana Hessa dobrotliwego diabła czyli Czada w postaci rzeźby, by mu pomógł uporządkować dorobek wielu lat.

Prażyński opowiadał mi o Hessie bardzo ciekawe rzeczy, z których najbardziej zapamiętałem fakt, że to on pierwszy zaczął rzeźbić figury diabłów dobrych i złych opierając się na znanej legendzie o Biesach i Czadach. W kontaktach z **Marianem Hessem** zdarzały się także sytuacje zabawne. Tak się raz złożyło, że kiedy Hess nakosił leczniczej trawki wskazanej mu przez weterynarza do ratowania swojej, chorej krowy, odwiedzili go przyjaciele i to z ładunkiem dziesięciu półlitrowek czystej "strażackiej". Chcąc ją "uszlachetnić" wiali zawartość butelek do cebra z leczniczą trawką, pobełtali, pobełtali, potem przecedzili i tak otrzymaną nalewką a la "żubrówka" napoili samych siebie. Bogiem a prawdą, zdrowia im nie przybyło, a jedynym efektem, którego należało się spodziewać było porykiwanie przez sen w godzinach, kiedy bydelko zdobi już bieszczadzkie pastwiska.



Fot. 40.

Człowiek oddany przyrodzie i kulturze to **Kazimierz Garstka**, mój przyjaciel z Lutowisk. Był on i gminnym dyrektorem szkół i inspektorem oświaty, ale serce jego zawsze było blisko spraw związanych z ochroną fauny i flory bieszczadzkiej. Świadczą o tym chociażby takie fakty jak hodowla węży dla celów naukowych oraz wydanie wspólnie z Marią Kownacką ciekawej, poczytnej książki przygodowej dla młodzieży pt. "Na tropach węża Eskulapa". Był także aktywnym inicjatorem działalności kulturalnej w swoim środowisku, organizatorem spotkań z literatami i innymi interesującymi ludźmi.

Na koniec tego rozdziału zagadka dla czytelników: Kto, gdzie i w jakim celu zbudował obiekt z dachem w kształcie piramidy Cheopsa, który przedstawia fotografia nr 40?

\* \* \*

Kontaktów, spotkań, niebanalnych przeżyć było wiele. Przewijały się w nich nazwiska przewodników, GOPR-owców, dziennikarzy, bieszczadzkich wyg i myśliwych, wreszcie pisarzy i poetów. Nie dla wszystkich starczyło miejsca w tej książce. Zresztą robił to o wiele lepiej **Edmund Gajewski** (popularny "Kitek"), o którym wspominałem już tyle razy. Był niezastąpionym w ukazywaniu sylwetek najciekawszych ludzi, niespotykanych gdzie indziej "typów" i to w powiązaniu z egzotyką bieszczadzkiej przyrody, której był zawsze, aż do egzaltacji, wielkim obrońcą i wielbicielem. Najciekawsze artykuły zawarł w cyklu "Bieszczadzkie ballady", które, mam nadzieję, posłużą do napisania książki. Umieściłem je wraz z innymi interesującymi mnie artykułami w specjalnym albumie pod tytułem "Kitka pióro i Włodka oko".

Nikogo więc nie zdziwił fakt, że nasz przyjaciel z "Nowin" otrzymał odznakę "Zasłużony Bieszczadom".

Odejście Gajewskiego z "Nowin" na emeryturę wielu przyjęło ze smutkiem. Jego brak na łamach dziennika rzeszowskiego i wśród nas - oddanych Jemu przyjaciół bieszczadzkich - odczuwa się do dziś.

Na pożegnanie Kitka wysłałem list do "Nowin". Treść jego opublikowaną pod tytułem "Kitek własnością społeczeństwa" zamieszczam poniżej:

Dziennikarz należy na ogół do osób znanych, przynajmniej w kręgu czytelników. Dobry dziennikarz zyskuje popularność. A taki, który trafia do innych nie tylko piórem, ale także urokiem osobistym, który łatwo nawiązuje kontakty z ludźmi pozyskując ich zaufanie, taki dziennikarz staje się wcześniej czy później "własnością" społeczeństwa jako większej rodziny. Mówi się o nim ciepło, wita bardzo serdecznie, przyjmuje nadzwyczaj gościnnie, nierzadko

obdarowuje jakąś pamiątką. I wszystko zupełnie bezinteresowanie. Ot, tak, po prostu od serca, czasem z wdzięczności.

Do takich dziennikarzy niewątpliwie należy redaktor "Nowin", Edmund Gajewski, popularny Kitek. Jego wcześniejszą zapowiedź o zamiarze przejścia na emeryturę przyjąłem jako żart. Człowiek o niewyczerpanej energii (z rodziny długowiecznych), który im krócej śpi, tym jaśniej myśli, miałby porzucić pióro dziennikarskie, tak dobrze znane i cenione w kilku województwach? A jednak...

Jeśli tak, to czuję się w miłym obowiązku w imieniu własnym i innych przyjaciół bieszczadzkich złożyć tą drogą redaktorowi Edmundowi Gajewskiemu najserdeczniejsze podziękowanie za długoletnią dziennikarską "opiekę" nad krainą, którą sobie upodobał i w której razem z nami przeżył wiele niebanalnych chwil, a także życzyć doczekania w zdrowiu i niezłej kondycji roku dwutysięcznego oraz spełnienia ambicji pisarskich. Czekamy na wydanie książki "Bieszczadzkie ballady".

Jednocześnie żywimy nadzieję, że spotykać Go jeszcze będziemy, jeśli nie w błyskach flesza kolegi-nierozłączka, Włodka Kirsznera, to może gdzieś w ustroniu bieszczadzkiej kniei, albo nad Jeziorem Solińskim w cieniu "Świętych Buków", gdzie tworząc ongiś mity o ciekawych samotnikach, sam stawał się częścią bieszczadzkiej legendy.

Nierozłącznym towarzyszem Kitka w jego eskapadach w Bieszczady był fotoreporter **Włodzimierz Kirszner**.

Pragnąc przyprawić pożegnanie Kitka nutkami pogody i humoru dołączyłem później ułożoną o nich obydwu na wesoło "Litanię o rycerzu pióra dziennikarskiego i jego foto-giermku". Mimo pewnych przebarwień literackich zawiera ona sporo trafnych obserwacji dotyczących ich osobowości, stylu życia i dziennikarskiej pracy.

Oto jej treść:

### LITANIA O RYCERZU PIÓRA DZIENNIKARSKIEGO I JEGO FOTO-GIERMKU

Nie ma podobnych w Rzeczypospolitej,  
jak Włodek Pancza i Don Kitek.

Bracia Syjamscy złączeni bytem -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Typy o sile niespożytej -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Poglądy obaj mają lite -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek

I w przekonaniach są monolitem -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Cenny i trwałe "NOWIN" nabytek -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Wielki w Redakcji autorytet -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Wszystkie tematy mają "obryte" -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Plony ich "rajdów" zawsze obfite -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Skutecznie tropią moce ukryte -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Ujmują w dłonie różdżki z witek -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Znajdują język z każdym magikiem -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Hymny śpiewają nad pszczelim kitem -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Podają ziółka na dopitek -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Wabi ich także lekarski kitel -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Lubią historie niesamowite -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Z polotem tworzą bieszczadzkie mity -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Wspierają piórem twórców elitę -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Najlepiej czują się za Otrytem -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Bo tam ich dusze są wrażeń syte -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

I kuszą Biesy - w drewnie ryte -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

A w Sanie grzechy mają zmyte -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Obiekty westchnień wielu kobitek -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Rycerscy wobec przyzwoitek -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Kochają wejścia na "orbitę" -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Humorki mają więc znakomite -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Za to gardełka nieco przepite -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Jednak gotowi zawsze przed świtem -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Rozbili już niejedną klikę -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

A pewnej "świni" targnęli korytem -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Na wszystko znajdą dowody niezbite -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Potrafią uspić nawet Komitet -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Serca przyjaciół mają zdobyte -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Bronić ich będzie Bieszczadzka Nike -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.



Fot. 41. Jedno z ostatnich spotkań z Kitkiem (drugi od prawej) przed jego odejściem na emeryturę.

A na pomniku będzie wyryte: -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

P.S.

Obaj mieszkają w Rzeszowie City -  
Włodzimierz Pancza i Don Kitek.

Sanok, A.D. 1989

Kitka i Włodka spotykałem jeszcze nieraz podczas moich wyjazdów do Rzeszowa. Każde spotkanie z nimi sprawiało mi ogromną radość.

Niestety, nadszedł moment, moment nieoczekiwany i porażający, w którym zrozumiałem nagle, że takich spotkań już nie będzie. Był to moment, kiedy otrzymałem wiadomość o tragicznej śmierci przyjaciela Włodka Kirsznera.

Jedyne co mogłem wtedy uczynić to napisać cisnący się na usta wiersz pożegnalny. Okoliczności, w jakich zginął mój przyjaciel podsunęły mi tytuł wiersza: "Cena chwili"

Otwarty na wszystko  
w jednym błysku flesza  
objąłeś więcej  
niż błyskawica  
wykraczając poza zwykłą  
rzeczywistość

Wpadając w Twe ramiona  
Przyjacielu  
w spłowiełą zieleń  
wiatrówki  
jak w przyjazne ustronie  
twarzą w twarz  
gdzie w brodzie "niby-zakapiora"  
przemyciałeś zapach  
wysokich traw  
słysząc było  
serce Twoje światło-czułe  
na myśl drugiego człowieka  
bijące zawsze  
tak samo

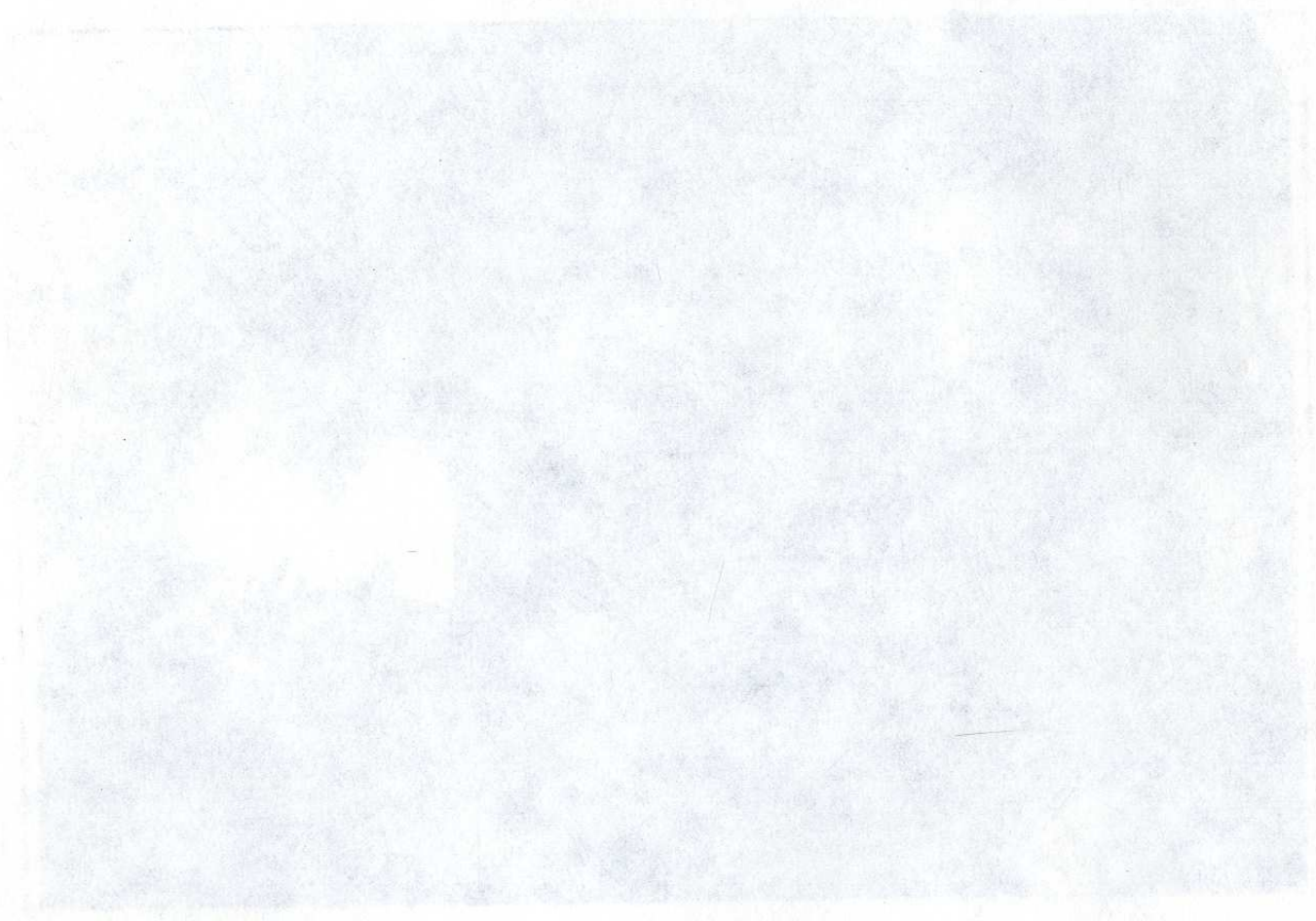
Nie wiedziałeś tylko  
że chwila zauroczenia  
może kosztować  
życie.

Sanok 03 08 91r.

Życie ma jednak swoje prawa. Góry nie zważając na dramaty jednostek, pisały dalej swą historię, mnożyły legendy, ujawniały sylwetki nowych, interesujących ludzi, kładąc podwładną pod bieszczadzką mitologię. Niektóre opiszę w następnym rozdziale tej książki.



# WILKA CIĄGNIE DO LASU



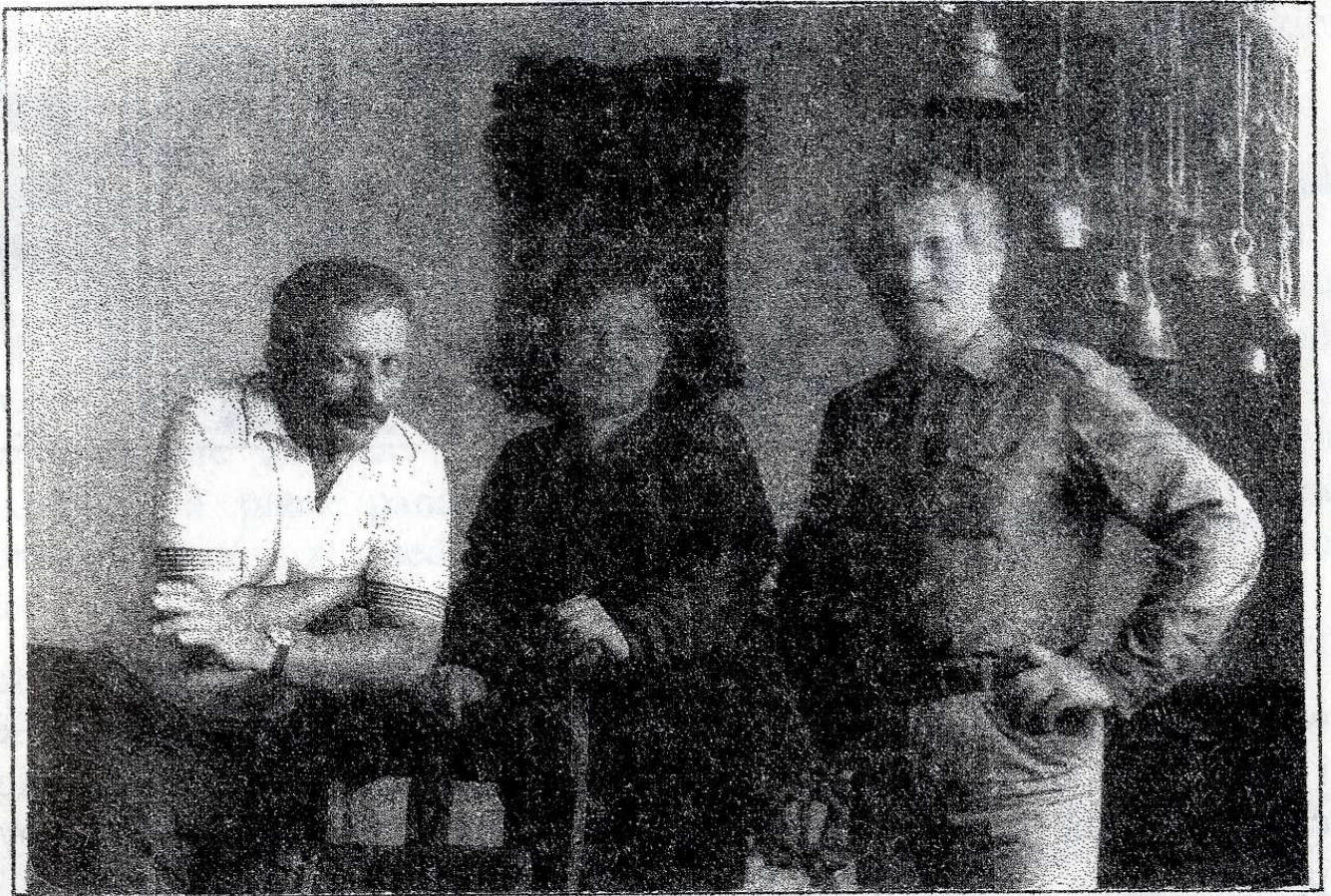
Fot. 42. W mieszkaniu U. Kowalskiego. Przed wystrzałem wilk przeskoczył przez okno i ukrył się w lesie.



## Na runo i na rogi!

Sanok nie leży daleko od okolic górskich, z którymi wiąże mnie wiele miłych wspomnień, niebanalnych przeżyć i przygód. Dlatego nie mogłem się oprzeć pokusie ucieczek od zatłoczonego samochodami i ludźmi miasta z szaro-siną czapą nad blokami. Najłatwiej było organizować całodniowe (czasami dwudniowe) wycieczki (częściowo samochodem) w ulubione, wcześniej upatrzone i poznane miejsca na grzyby, jagody i inne dary leśne.

Rolę przewodnika coraz częściej przejmował syn z wykształceniem leśnik, specjalista od grzybów, orientujący się dobrze w terenie. Ja natomiast specjalizowałem się w bezkrwawych łowach za pomocą aparatu fotograficznego.



Fot. 42. W mieszkaniu Orłowskich. Przed wyprawą na Tarnicę ładujemy się energią z wibracji dzwonków.

Jeszcze ciekawsze były wyprawy na runo z najbliższymi przyjaciółmi.

Ze Staszkiem Orłowskim czuliśmy się zawsze bezpiecznie; jest on dobrym przewodnikiem, ma receptę na każdą dolegliwość, umie się dostosować do możliwości fizycznych współtowarzyszy.

W towarzystwie Sosenkiewiczów nie trzeba było się śpieszyć; oni zawsze mieli czas na zachwywanie się pięknem przyrody (szczególnie Klara), odkrywanie nowych zakątków, czy biwak na łonie natury.



Fot. 43. Biwak w Suchych Rzekach.

Mężczyźni (Stanisław i Jerzy) miłośnicy Bieszczadów, a także myśliwi, wybierając się na polowanie zabierali ze sobą nie tylko strzelby, ale także serce i rozum. Wśród swoich trofeów myśliwskich wspominają często dawne, dobre czasy łowieckie, kiedy mieszkali jeszcze w Krasieczynie, a syn Jerzy przebywający obecnie w USA umieścił w jednym z listów wzruszające zdanie: "Kiedy mam wolny czas po pracy, wydaję mapę Bieszczadów i wędruję palcem szlakami, których jeszcze nie przemierzyłem". Nic dodać, nic ująć.

Kolega **Stanisław Rabicki**, wędrowiec-samotnik o nieprzeciętnej kondycji fizycznej i doskonałym zmyśle orientacji miał zawsze (i ma dzisiaj) aktualne rozeznanie "o stanie zasobów" czarnej jagody leśnej. Od czasu do czasu zabierał mnie ze sobą, ale wstyd mi było później pokazywać swoje wiaderko; gdy ja napełniłem z trudem jedno, on - aż trzy! "Klasę" swoją potwierdził na "jagodobraniu" w Szwecji, gdzie wyraźnie zdystansował wszystkich ze swej grupy, o czym pośpiesznie doniosła prasa szwedzka. Wtedy wyzbyłem się kompleksu; przegranie z mistrzem Europy to przecież żaden wstyd. Dodam jeszcze, że jeśli potomkowie kolegi Stanisława będą mieli ciemną karnację skóry i czarne jak jagody oczy, wiadomo będzie z czego. Umiejętność trafnego "przeskakiwania" z jednego pola jagodowego (borówkowego) na drugie wykorzystał kol. Staszek w szachach. Rezultat: dobre miejsce zajęte w turnieju szachowym organizowanym dla nauczycieli w Łodzi A.D. 1992 roku.

**Stanisław Białogłowicz** (czwarty z kolei Stanisław!) dawniej uczestniczył chętnie we wspólnych wyprawach na jagody. Teraz lubi chadzać swoimi ścieżkami i podobnie jak ja, nie ma specjalnego szczęścia, ani do grzybów, ani do jagód, ale za to "znalazł" kiedyś taką żonkę, która potrafi rozmawiać z roślinami, czuje ich troski i niepokoje, a z kalendarzem biodynamicznym nie rozstaje się nawet podczas snu. Największym dla niej postrachem jest smog nad grodem Grzegorza-humanisty, którego "mieszczuchy" olśnieni blaskiem reklamy jakby nie dostrzegają.

Mistrzem w znajdowaniu poroży jeleni jest **Bronisław Domaradzki**, emerytowany nauczyciel, długoletni dyrektor szkoły polsko-greckiej w Krościenku za Ustrzykami Dolnymi. Chyba kontakty z Grekami uczyniły zeń "jasnowidza" do wieńców zrzucanych przez byki w kniei bieszczadzkiej. Miewał czasami sny prorocze, w których ukazywały mu się konkretne miejsca z wieńcami poroży. Dzięki temu ilość rogów znalezionych przez pana Bronisława starczyłaby na głowy wszystkich żonatych panów z osiedla Jana Kochanowskiego. Lecz o tym paniom sza...

Ja też zachorowałem kiedyś na "chorobę wieńcową", ale szczęście spotkało mnie tylko jeden raz. I zataiłem ten fakt przed żoną.

Podczas wyprawy z synem do Lutowisk odwiedziłem przy okazji mego przyjaciela **Kazimierza Garstkę**, o którym już wspominałem. On i jego małżonka Teresa przyjęli nas bardzo serdecznie, udzielając gościny i cennych wskazówek przed wyruszeniem w góry.

Wprawdzie przywieźliśmy z Lutowisk tylko jedno poroże i to ze ściany mieszkania państwa Garstków, ale za to pod wrażeniem przygody przeżytej w górach zrodził się wiersz "Przygoda"

Od Halicza do Krywki  
w szarych burkach szła  
obłoków naganka  
cała mglista  
Wiatr zamykał kocioł  
aż u Berda ścichł -  
w Lutowiskach

A ona przywarła  
za odyńca snem  
czekała w potoku  
aż zawilce podrosną  
aż upoi się wiosną  
kwietnia deszczowy dzień

Wyskoczyła nagle...!

.....

Inny mój przyjaciel **Jan Chrobaczyński**, przewodnik zakochany w Bieszczadach jak we własnej żonie, oprócz wędrówek po górach uprawia także turystykę po krainie "złoty myśli" i aforyzmów. Pomaga mu w tym psychologia, którą postanowił "zdoktoryzować" na własny użytek. Od razu widać efekty: aforyzmy i motta cytowane przez niego w gabinecie dyrektorskim oraz w urzędowych pismach potrafią rozbroić każdego adresata. Za to samo lubię odwiedzać jego przytulne i nietypowo wymoszczone "służbowe gniazdko".

### "U wilków"

Często celem naszych weekendów sobotnio-niedzielnych były wilki hodowane przez Leśnictwo Orelec. Zżyliśmy się z nimi jak z ludźmi i dlatego używaliśmy zwrotów: jedziemy "do wilków", byliśmy "u wilków" itd. Pewnego jesienno dnia o zmierzchu wysłuchaliśmy ich koncertu, który przenikał do szpiku kości.

Jeden z pracowników leśnych opowiedział nam przedziwną i nieprawdo-



Fot. 44. Za "kratkami".

podobną historię o wykorzystywaniu tych zwierząt (za władzy ludowej) w polowaniach dewizowych. Oto ona: Kiedy myśliwy "dewizowiec" stał na ambonie wypatrując zwierzę, podrzucano w pobliżu niej padlinę i wypuszczano na linie psa maści wilczopodobnej. Po strzałach z ambony psa (żywego czy martwego) ściągano z powrotem, a na jego miejsce podrzucano wilka z hodowli, nieco wcześniej zastrzelonego z broni takiego samego kalibru jak broń "dewizowca". Miejsce rzekomego trafienia skrapiano czasem dodatkowo zwykłą czerwoną farbą. Skutkiem stosowania takich majstersztyków (Polak wszystko potrafi) myśliwi z Europy mieli cenne trofea, a my również cenną zachodnią walutę.

Ile w tym prawdy wie najlepiej leśniczy **Robert Fitkowski**, który często był organizatorem takich polowań, ale pozwólmy mu zachować tę słodką tajemnicę dla dobra legeny

### Obóz logopedyczny

Jedynym swego rodzaju obozem i to posiadającym podwójny charakter był obóz logopedyczny zorganizowany w Ustrzykach Górnych początkiem lata

1989r. Nazwa obozu nie wyjaśnia wszystkiego: oprócz ćwiczeń logopedycznych prowadzonych dla młodych nauczycieli, na program obozu składały się także wypad w okoliczne góry, dające młodym szansę na zdobycie odznaki GOT (Górskiej Odznaki Turystycznej). "Zaliczono" wówczas: Połoninę Wetlińską i Caryńską, Małą Rawkę oraz Tarnicę z podziwianiem wschodu słońca.

Podczas schodzenia z Połoniny Caryńskiej jedna z koleżanek nagle rozplakała się. Myśleliśmy, że zwichnęła nogę, a ona do nas drżącym głosem:

- To ze wzruszenia. Zawsze jeździłam tylko nad morze i wydawało mi się, że nie ma piękniejszych widoków od widoku goniących się fal, a teraz... kiedy znalazłam się tutaj i patrzę w tę zamgloną górską dal, na lasy bukowe i połoniny, zmieniłam zdanie.

Takich reakcji ludzkich na piękno nie zapomina się nigdy.



Fot. 45. U Lutka pod "Chatką Puchatka".

## Druga wyprawa na Sokole

Zainteresowanie przeobrażeniami (regulacją brzegów) Zatoki Wiktorieniego było głównym motorem drugiej wyprawy na Sokole.

Zatoka Wiktorieniego z uwagi na jej "intymny urok" (wyrażenie red. St. Siwaka) jest ulubionym i wdzięcznym tematem dla dziennikarzy i poetów. Henryk Wiktorini, pionier i żywa legenda Bieszczadów, ostał się tu jedyny po zalaniu Sokolego wodami Sanu, nie tylko z pobudek romantycznych czy po to, żeby zadziwić surowym życiem samotnika, ale głównie z wewnętrznej potrzeby ucieczki od tłumów i z chęci obcowania z Naturą według własnej filozofii. Pozostał tutaj wraz ze "swymi ludźmi" ponieważ, jak pisał poeta:

... brzegi zarastają -  
dzikie piękno  
odgrażają się Niebu

(.....)

ale tu  
w Sokolem  
z dala od próżni tłumów  
w świetle drzew  
widać ile w nas  
człowieka

I wcale nie jest tak bardzo samotnym, jakby się mogło wydawać; krzyżują się tutaj (zwłaszcza latem) szlaki różnych wędrowców, nawet takich, którzy niedawno wrócili z dalekich krajów, przynosząc ciekawe wieści o świecie, rozmaite trofea, rzadkie znaleziska czy amulety. W jego bibliotece znaleźć można książki o mądrościach Dalekiego Wschodu oraz powieści pióra przyjaciół pisarzy. Ostatnio gościł w jego domu sam **Zbigniew Świąch**, autor książki



Fot. 46. W drodze na Sokole.

"Klątwy, mikroby i uczeni". Nakręcił film o gospodarzu tego zakątka i pozostawił kilka swoich (i nie swoich) ciekawych książek z miłą sercu Henryka dedykacją.

Odwiedziłem Wiktoriniego początkiem tego lata w towarzystwie syna i mojego przyjaciela Stanisława Orłowskiego, przewodnika bieszczadzkiego, bez którego Zatokę Wiktoriniego znalazłbym jedynie z mapy turystycznej Bieszczadów. Barczystą sylwetkę Henryka na tle topinamburu (odmiana słonecznika pastewnego) rozpoczynaliśmy natychmiast. Ledwie zdołał odwrócić się w naszą stronę, byliśmy już w jego ramionach. Po rytualnym wypiciu garnuszka świeżego, kwaśnego mleka udaliśmy się nad zatokę.

Od razu stwierdziliśmy, że jest ona Zatoką Wiktoriniego nie tylko z nazwy. Henryk czując się tutaj prawdziwym gospodarzem i "panem wszelkiego stworzenia" ujął nie tylko cugle wiatru w swoje twarde dłonie, ale wychodząc naprzeciw wyzwaniu Czasu podjął się próby ratowania "swojej zatoki" i przed zdziwieniem, i przed powolnym umieraniem, gdyż w wyobraźni poety już

krwawi mgła  
dryfują ku swemu przeznaczeniu  
śnięte gwiazdy

Nie tak dawno samotny żeglarz, dobijając do jej brzegu dotykał rany ziemi postrzępionej przez fale i erozję gleby - dzieło wód deszczowych spływających ze Stożka.

Dziś jego oczy wypełnia odbłask szaro-złotej plaży, wijącej się wstęgą wzdłuż skarpy zabezpieczonej faszyną na długość ok. 300 m, a powyżej, na powierzchni około 2 hektarów z wysokich traw wystają biało-czerwone paliki znaczące "las" świeżo posadzonych jodeł, świerków, modrzewi i kasztanów.

Za kilka lub kilkanaście lat "aleją modrzewi" przechadzać się będzie słońce, a wiatr od zatoki niósł będzie zapach drzew pod dom,

dom otwarty  
na bezdroże  
w którym stół szeroki  
jak serce gospodarza



Fot. 47. Powitanie kwaśnym mlekiem.

Zaskoczeni mile postępem robót ekologicznych, rozmawiamy z Henrykiem o jego dalszych planach. Robi wrażenie człowieka, który odkrył nagle nowy sens życia na "bezludziu".

- Tereny bagienne - snuje swoje realne marzenia Henryk - zasieję tatarakiem, a potem zabiorę się za drugi brzeg. Wierzmy święcie jego słowom. W końcu jest spod znaku Lwa.

- Gdyby każdy w taki sposób zadbał o miejsce na Ziemi, w którym żyje...? - zadumałem się wzruszony widokiem przeobrażeń w Zatoce.

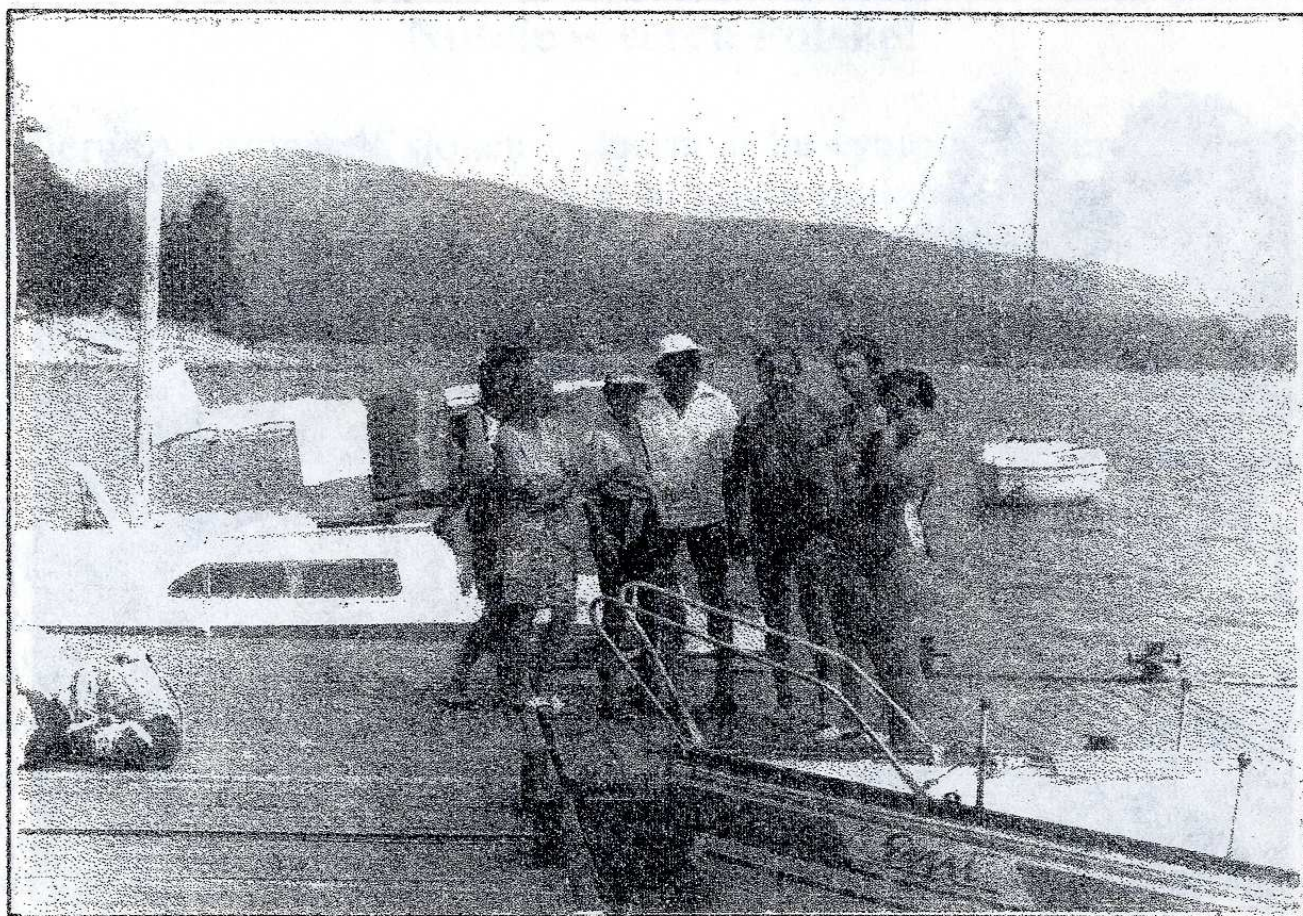
Żegnając ją ostatnim nostalgicznym spojrzeniem kierujemy się ku sadybie Hanryka na smaczny oscypek i bonc.

Przed progiem domostwa przystajemy na chwilę, by zaciągnąć się wonią kwiatów i ziół z półdzikiego ogródka i raz jeszcze, tym razem od środka ogarnąć "królestwo Henryka", które winno przetrwać w blasku Zatoki, w granicach horyzontu szerokiego myślenia.

## Na Jeziorze Solińskim

Jest upalne południe 31 lipca. Jezioro koło Polańczyka z wysepką pośrodku przypomina olbrzymi kwiat falujący w słońcu płatkami zatok, pokryty rojem motyli-żaglówek, lekki wiatr sprzyja żeglarzom. Wkoło basenu "siarkopolu" słychać plusk nurkujących miłośników głębin. W basenie mniej zaawansowani w pływaniu. Wstęp (na cały dzień!) 15 tysięcy zł. dla dorosłych i 10 tysięcy zł. dla młodzieży. Do dyspozycji są ponadto rowery wodne, łodzie, kajaki i żaglówki.

Renata z Elą, które przyjechały ze mną skosztować Solińskiego Lata, popłynęły rowerem wodnym w siną dal, a ja szukam znajomych wśród istot opalonych na brąz. Na kei spotykam znajomą mi twarz. To Henryk Boryczko w towarzystwie dwóch córek, brata i... "Kasi" przycumowanej już po rejsie. Sterczącym smutnie masztem bez żagli "Kasia" żegna "swego kapitana", który musi wcześniej wracać do domu. Henryk z żalem rzuca ostatnie spojrzenie na bezmiar wód, z którymi zawarł przymierze, po czym zbiera swych podopiecznych, by sprawdzić bagaże i wydać niezbędne polecenia. W ostatniej chwili podchodzą do nich Renata i Ela. Wykorzystuję ten moment i "łapię" wszystkich w obiektyw aparatu. Zdjęcie na pożegnanie. Obiecują, że wnet tu powrócą, może za tydzień. Znając klimat Jeziora Solińskiego i zamilowania sportowe Henryka wierzę, że dotrzymają słowa.

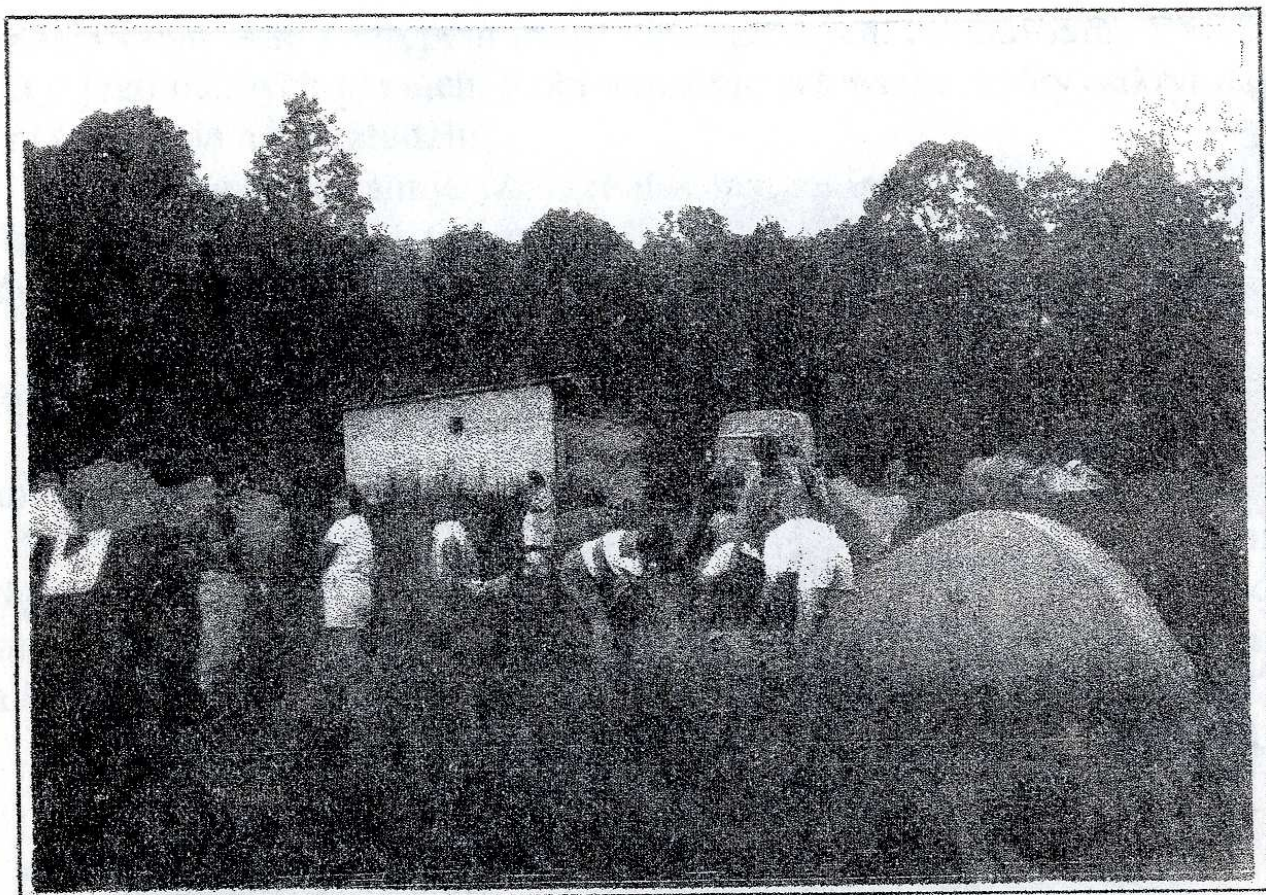


Fot. 48. Zdjęcie na pożegnanie.

W upalne lato jezioro przyciąga jak magnes. W polu jego oddziaływania ulega zakłóceniu wyobraźnia ludzka i słabnie instynkt samozachowawczy, co w połączeniu z lekkomyślnością prowadzi do tragedii. Jest to jednak temat do odrębnych i koniecznych przemyśleń, póki co upajamy się aurą tego akwenu, zażywając rozkoszy kąpieli.

### Rajd papieski

W tym samym dniu o zmierzchu docieramy we trójkę do Rajskiego. Na ostatnim skrzyżowaniu skręcamy w prawo i wkrótce znajdujemy się w "raju"; wysokie (jak na nasz "maluch") gęste trawy, a wśród nich ukryte różnokolorowe domki-namioty. Odkrywamy je po kolei, jak grzybki w bujnym runie leśnym. Grupka młodych ludzi wita nas serdecznie. To obóz uczestników III RAJDU "ŚLADAMI PAPIEŻA JANA PAWŁA II" w oczekiwaniu na swego gościa Stanisława Orłowskiego, przewodnika i wspaniałego gawędziarza bieszczadzkiego. Nad horyzontem błyska, jakby ktoś zapalał gromnice. Po chwili ciepły, oczekiwany jak błogosławieństwo deszczyk zrasza żywioł traw,



Fot. 49. W "rajskich trawach".

namioty i natchnione oblicza młodych rajdowców, którzy nazajutrz o świcie wyruszą w drogę. Niektórzy odbierają ten deszczyk jako poświęcenie obozu dokonane niewidzialnym kropidłem Pana Boga.

Zjawia się wreszcie gość. Uczestnicy rajdu otaczają stos suchego drewna, a prezes Zarządu Oddziału PTTK w Lesku Tadeusz Rygalik wygłasza gorącą mowę powitalną. W czerni nocy wybuchają płomienie ogniska rozjaśniając twarze skupione głęboko na słowach przewodnika-krasomówcy. W niczym nie zmąconej ciszy cofamy się w odległe czasy historyczne, do okresu pierwszego osadnictwa na tej ziemi, by wiek po wieku szlakami wędrujących plemion i ścieżkami bieszczadzkich zbójników dotrzeć do teraźniejszości, a w niej raz jeszcze objąć całą duszą krasę i niepowtarzalny urok bieszczadzkiej krainy. Po tej uczcie duchowej odmawiamy modlitwę za zdrowie naszego papieża Jana Pawła II, po której wybija godzina na chóralne pieśni.

Dla nas to pora powrotu. Żegnamy gospodarzy przy akompaniamencie gitar i odjeżdżamy, wyzwalając się z objęć zachłannych traw.

## Noście w sercu Polskę!

Pierwszy sierpnia. W słońcu chylącym się ku wyniosłości Berda powierzchnia Zalewu Myczkowskiego drga połyskliwie milionami wodnych lusterek. Nad zatoką, na zielonej murawie, w cieniu sosen i brzoź stoją w kolumnach dziewczęta i chłopcy czterech narodowości: litewskiej, białoruskiej, ukraińskiej i polskiej. Na pierwszy rzut oka niełatwo ich rozróżnić: jeszcze onieśmieni, ale wszyscy patrzą ufnie w twarze swoich przełożonych wyznaczonych rozkazem komendanta Bieszczadzkiej Akcji Letniej. Są karni i czują się jak jedna rodzina. A jeszcze nie tak dawno temu...

Dziewczęta i chłopcy w liczbie 135, których widok napaja optymizmem, to uczestnicy Centralnego Obozu Radioorientacji Sportowej ("radiowe łowy na lisa") zorganizowanego na terenie ośrodka Komendy Hufca Sanok w Myczkowcach, po drugiej stronie Zalewu. Za chwilę rozpoczyna się ich pierwszy apel z udziałem dyrektora sanockiej Delegatury KOiW, Stanisława Orłowskiego. Po odpowiedniej komendzie i przy wtórze hymnu harcerskiego białoczerwona flaga wędruje na wierzchołek masztu. Teraz komendant obozu hm. Marek Ruszczak odczytuje rozkaz, w którym podkreśla gotowość do realizacji



Fot. 50. Pierwszy apel.

ideałów Braterstwa i Służby Ojczyźnie nawiązując do bohaterów Powstania Warszawskiego, a kończy słowami: " - Dziś w czterdziestą ósmą rocznicę Powstania Warszawskiego szczególną cześć oddajemy harcerzom z Szarych Szeregów i ich starszym kolegom - żołnierzom wszystkich powstańczych formacji. Oddajemy hołd ich ofierze krwi i życia minutą ciszy. Cześć ich pamięci!"

Po apelu o godzinie 17-tej zgodnie z rozkazem Naczelnika ZHP rozniecony zostaje "strażniczy ogień" rozpoczynający szaro-szeregowe wici. Zapalenia ogniska dokonuje rzadki, niecodzienny gość obozu, powstaniec warszawski pan Adam Kulczycki zamieszkały obecnie w Sanoku. Rzecz niezwykła: czerstwa twarz, uśmiech w kącikach ust oraz wciąż pogodne oczy "nie potwierdzają" tego, co pan Adam rzeczywiście przeżył w pamiętnych miesiącach 1944 roku, biorąc udział w akcjach "małego sabotażu" i innych, o których opowiada płynnie, ale ze spokojem (bez dramatyzacji) jak o rzeczach zwyczajnych. Może wyczuł, że dla obecnego pokolenia "tamte dni" to już tylko historyczny zapis w pożółkłych księgach i w pewnym stopniu abstrakcja?

Tak czy inaczej jest żywym pomnikiem (jak to określił komendant obozu), pomostem łączącym przeszłość z obecnym pokoleniem młodych Polaków. Takie "pomosty" należy wykorzystywać dopóki one istnieją.

Komendant obozu dziękując gościowi za przybycie na to spotkanie, w swoim wystąpieniu odwołuje się do uczuć patriotycznych, a kończy pięknymi, wartymi zapamiętania słowami: "- Noście zawsze w sercu Polskę!"

Jest jeszcze poezja i pieśni harcerskie przy wtórze gitary, ale kiedy pada komenda: "Do swoich kwater odmaszerować! - rozkaz zostaje natychmiast wykonany.

Po spożyciu harcerskiej kolacji pan Adam i inni goście zostają "zaokrętowani" na łodzi motorowej i serdecznie żegnani przez kadrę obozu odpływają. Zabierają ze sobą wzruszenia i ciepło "strażniczego ognia".

## Konno z połonin do gwiazd

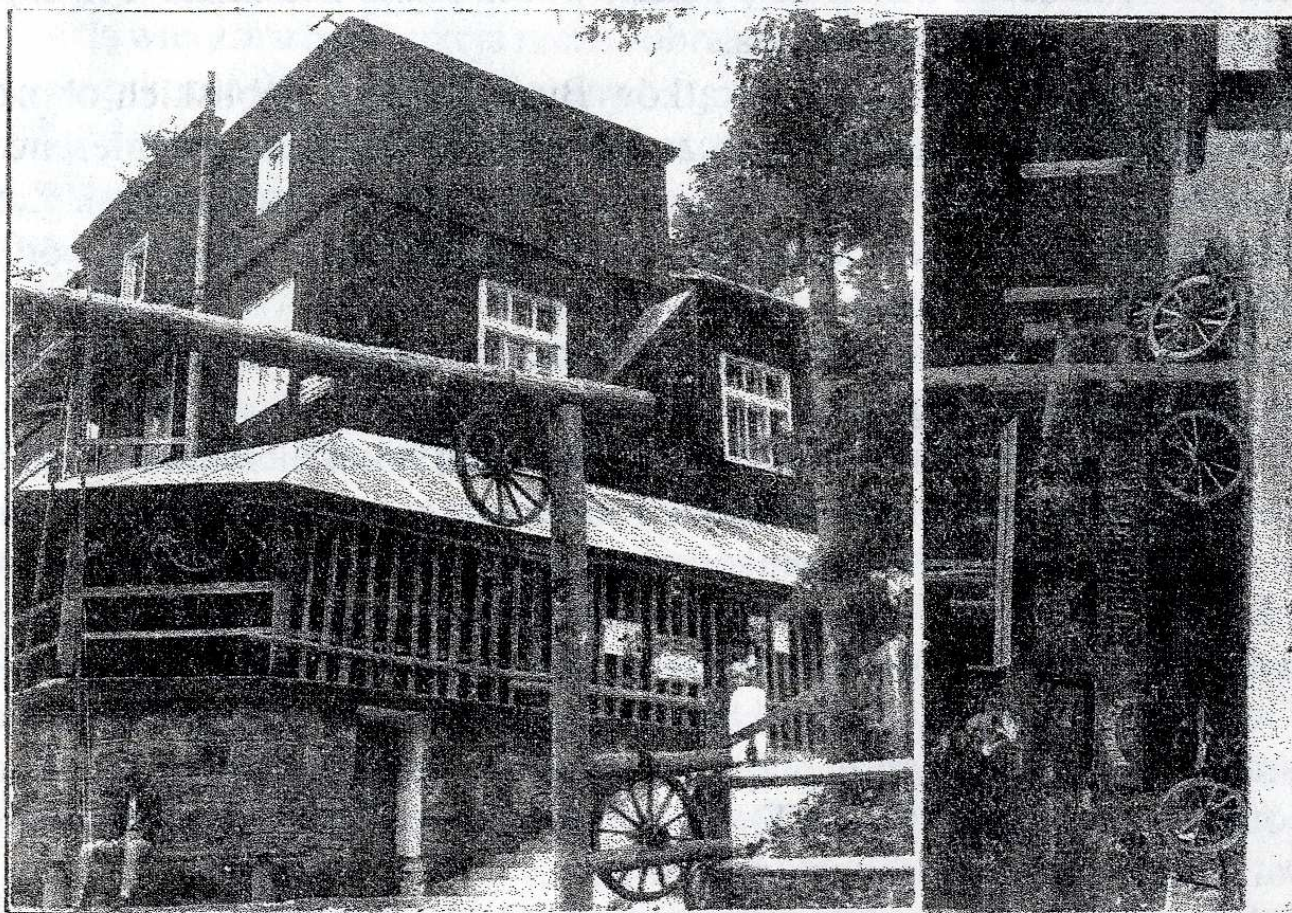
Pod takim hasłem jak wyżej, odbył się 12 lipca roku w schronisku PTTK "Podkowiata" w Komańczy wieczorek-piknik poświęcony ludziom z "czarnej listy" umieszczonej na plakacie obok ich sylwetek, z których górowała barczysta, wysoka postać Henryka Wiktoriniego. Wieczorek ten został zorganizowany w ramach ogólnobieszczadzkiej imprezy "Country w Bieszczadach".

Na wiadomość, że w Komańczy szykuje się "spęd" pionierów i "zakapio-rów" bieszczadzkich oraz innych ciekawych bieszczadników od razu podjąłem decyzję: - jechać! Dołączył do mnie Rysiek Kulman, poeta z Sanoka. Uzbrowieni w aparaty fotograficzne i kamerę video ruszyliśmy na południe szlakiem, który kiedyś odgraniczał Bojków od terenu Łemków. Wkrótce wchłonął nas las rozśpiewany wyjątkowo na wszystkich piętrach, a po chwili zaskoczył widok "żywcem wzięty" z Dzikiego Zachodu. W bramie, na kłodzie stanowiącej rodzaj huśtawki bujała się para "łaciatych" obieżyświatów. Za nią wyrosła nagle w oczach bryła "Podkowiatej" podobna do oberży z amerykańskich westernów. Obejście zamykał "Bar u Kija" oblepiony pierwszymi gośćmi w strojach stosownych do scenerii otoczenia i charakteru tego, co miało się wydarzyć po godzinie 17-tej. Cennik informował:

Piwo, kufel 6900

+ 100 zł na konia dla Jędrka Połoniny

Inną atrakcją był dylizans o nazwie "Kołotoczek bieszczadzki" przykuwający spojrzenia obcych oraz "Ruletka beskidzka" w postaci koła od wozu. W zaroślach przycupnęła kuchnia polowa strzeżona przez rosłego owczarka. W cieniu drzew, na ławie siedziało już kilku kapeluszowych brodaczy, kołysząc



Fot. 51. Wjazd do "oberży".

się w rytmie żdźbła żubrówki uwięzionej w szkle. Równowagę ich podtrzymywał sympatyczny i przytomny w każdej sytuacji Lutek Pińczuk, szef "Chatki Puchatka" z Połoniny Wetlińskiej.

Oczy zwodziły kolorowe plakaty i afisze wykonane z fantazją. Podeszedłem bliżej i jednym spojrzeniem objąłem nazwiska (prawdziwe i przybrane) z "czarnej listy":

HENRYK WIKTORINI  
LUTEK PIŃCZUK  
JUREK DWA TYSIĘCY  
DZIOŃEK NIEDOPTA  
RYSIEK PREZES  
WŁADEK KARABIN  
LESZEK MNICH  
JUREK ŻAK

Nie było na niej Artura Pustelnika, Radosa i kilku innych współtworzących swoisty światek bieszczadzkich wagabundów.

W dolnym prawym rogu odczytałem dowcipne zdanie:

"Za głowę każdego z nich daję pękaty worek Złota Bieszczad" i firmową pieczętę szefa schroniska Betona.

Brać turystyczna z różnych zakątków Bieszczadów i pobliskich obozów oraz miejscowi przybywali pojedynczo i grupami. Było wielu przebierańców udających Indian lub cowbojów. Niektórzy przyjechali samochodami. Z pokrytego białymi gwiazdami, wystawał z kabiny futerał ze strzelbą - dowód, że wśród gości byli także myśliwi.

Mój towarzysz, Rysiek uruchomił kamerę, aby utrwalić klimat otoczenia i wzrastającą temperaturę uczuć.

Szefowa schroniska-salonu w długiej, zwiewnej sukni niczym leśny cherubin, uwijała się witając przybywających i rozdzielając kwatery. Czasem zamieniała się w amazonkę, aby utrzymać w cuglach tych, którzy "zaczęli" wieczorek w południe. W cieniu twarzowego kapelusza kryła mniej wykwintne słówka swoich "podopiecznych", żeby wszystko było o'key!

Goście szukający intymności zapadali się w schornisku; po ominięciu "Biura szeryfa" mogli znaleźć przytulne miejsce w sali bufetowej, gdzie dodawał otuchy złoty napis: "OSTATNIA DESKA RATUNKU", umieszczony na kawałku drewna powieszonoego na ścianie.

Niapięcie sięgnęło zenitu, gdy pojawił się Henryk Wiktorini w asyście Jędrka Połoniny i Staszka Orłowskiego, znanego przewodnika- krasomówcy,

piewcy uroków bieszczadzkiej krainy i autora książeczki "O bieszczadzkich zbójnikach". Braterskim uściskom, powitalnym gestom nie było końca. Zapieniły się nowe ciągi kufli. Poszły w ruch aparaty fotograficzne i kamery video.

Wybiła wreszcie godzina 17-ta i nad lasem rozległ się grzmot - sygnał od Pana Boga dla zespołów COUNTRY. "Countrowcy" odpowiedzieli... milczeniem. Czas ich zwolnił bieg, jakby przesiedli się na gwiazdy pędzące z prędkością podświetlną. Zanim zdążyli podłączyć i wypróbować instrumenty, wskazówki zegarków potencjalnych słuchaczy przesunęły się o... półtorej godziny.

Było to jednak skutkiem awarii urządzeń nagłaśniających. Po jej usunięciu rozpoczął się koncert czołówki polskich i zagranicznych wykonawców tej muzyki. Pierwsza ruszyła w tany młodzież. Spontaniczna i żywiołowa. W maskach dowiezionych przez pana Lipińskiego zaczęła zataczać coraz szersze kręgi, omijając z młodzieńczą brawurą krzewy i wysmukłe sosny wokół schroniska.

Gospodarze uraczyli gości z "czarnej listy" i ich przyjaciół beczką piwa, obiadem, napojami orzeźwiającymi, a na kańcu okowitą. Ta ostatnia zrobiła swoje; Lutek Pińczuk z gitarą w ręce zaintonował "Czerwony pas" i "Zakapio-ry" w rytm płynącej melodii włączyli się do radosnej zabawy. Muzyka country przeplatana rodzimą muzyką i pieśniami rozbrzmiewała do późnej nocy, zagłuszając pohukiwania sów nad klasztorem sióstr Nazaretanek.

Perłą wieczoru była aukcja rzeźb i obrazów, z której dochód przeznaczono na zakup konia dla Jędrka Połoniny.

Wybredny "salonowiec" czy ktoś w majestacie swej powagi mógłby w niektórych momentach przymykać oczy lub zatykać uszy, ale to jest już inna sprawa. Zresztą w tego typu imprezach otwartych i na szerszą skalę obowiązują swoiste prawa (i obyczaje), nie takie jak w zamkniętych przybytkach kultury, będących pod ścisłym nadzorem muzy i służby porządkowej. Ważne, że uczestnicy spotkania z różnych stron kraju o różnym wieku, profesji i osobowości w plenerze słonecznego lata, w uroczym zakątku Bieszczadów mogli przeżyć wspaniałe chwile zbratania, tak niezbędne dzisiaj, w dobie kryzysu wartości do tworzenia wspólnoty duchowej i wyzwiania radości życia.

Szkoda tylko, że wśród gości zabrakło Edmunda Gajewskiego, który tyle miejsca poświęcił w "Nowinach" bieszczadzkim ludziom-legendom, pogłębiając sens słowa "zakapior" i tworząc początki "mitologii bieszczadzkiej".

Księżyc był sprawiedliwy; połączył niebo nad Rzeszowem z niebem nad doliną Osławy, oświetlając pełnym blaskiem drogę z Połonin do gwiazd.

## "Ogniobranie"

"Ogniobranie" miało miejsce przy płonącym ognisku. Wśród zaproszonych gości znaleźli się seniorzy harcerstwa, ks. prałat Adam Sudol i dyrektor Delegatury Zamiejscowej Kuratorium Oświaty i Wychowania Stanisław Orłowski. Rozpalenia ognia i otwarcia uroczystości dokonano z ceremoniałem godnym tej imprezy. Po przywitaniu gości komendantka hufca wygłosiła gawędę, w której pogłębiła znaczenie słów Ojczyzna, Nauka, Cnota. Wiele też uwagi poświęciła braterstwu, a zakończyła słowami Al. Kamińskiego:



Fot. 52. Ceremoniał "Ogniobrania".

"- Jeżeli mam swe życzenia przekazać młodym dnia dzisiejszego to nade wszystko życzę abyście coraz silniej odczuwali smak "dawania", a coraz słabiej smak "brania".

Sanocki duszpasterz wzruszony atmosferą ogniska nawiązał do tradycji harcerstwa w okresie międzywojennym i w czasie okupacji nakreślając wzorzec osobowy harcerza II Rzeczypospolitej jako przykład do naśladowania. Komendantka Chorągwi przedstawiła szeroko zadania, jakie czekają harcerzy

i zuchów.

Dyrektor St. Orłowski mówił o misterium ognia - czynnika łączącego ludzi nawiązując do tradycji huculskich i pasterskich, a gawędę swoją zakończył słowami: - Bądźcie zawsze dobrzy, rozdawajcie ciepło jak czyni to ogień.

Wystąpienia gości i inne, podniosłe momenty jak na przykład wyróżnienia za pracę w harcerstwie przeplatały pieśni harcerskie śpiewane w rytmie tańczących płomieni i przy akompaniamencie instrumentów muzycznych. Temperatura uczuć wzrosła wreszcie do takiego stopnia, że można było rozpocząć rozdawanie ognia. Obrzędu tego dokonała komendantka hufca wręczając drużynowym rozżarzone głoownie do rozniecania ognisk w drużynach. "Ogniobranie" zakończono pieśnią odśpiewaną w kręgu.

Niech w kopertach wydanych z okazji tej wspaniałej imprezy rozestane zostaną po kraju światło i ciepło z harcerskiego "ogniobrania".

\* \* \*

Epilogu nie będzie, ponieważ moja przygoda wciąż trwa.



## Spis treści

WSTĘP .....	5
<b>BIESZCZADZKI CHRZEST</b>	
Decyzja .....	9
Wgórowstąpienie .....	9
Szkoła w izbie .....	10
W gościnie u Semczyka .....	11
Uciekaj stąd synu! .....	12
Odwiedziny matki .....	12
Łączność ze światem .....	13
Zimowe wieczory .....	15
Chrzest .....	16
Strzały nad Wolą .....	16
Polowanie ``na dziko" .....	18
Niezwyčajny mecz .....	18
Zabawa pierwszomajowa .....	19
Razem czy osobno? .....	20
Dzwonek na przerwę .....	21
Pożegnanie Woli .....	22
<b>PIERWSZE LATA W OLSZANICY</b>	
Wybór .....	27
Olszanica .....	27
Kawalerska przygoda .....	28
Narodziny pasji .....	31
Z wakacji .....	35
Z chaty do chaty .....	39
Sagan .....	41
<b>NIE DAĆ SIĘ WYPRZEDZIĆ</b>	
Wizje .....	45

Przeprowadzka .....	45
Plany i czyny .....	46
Drugi etap .....	50
Bieszczadzkie Kuranty .....	53
Pasjonaci w gminie .....	55

## TYLKO DLA DUCHA

Spotkania olszaniczkie .....	61
Między Zwierzyniem a Stefkową .....	63
Śmiech jak lekarstwo .....	64
Ślubowanie przewodników .....	67
To się nazywa szczęście! .....	68

## PODCINANIE SKRZYDEŁ

Skutki bycia sobą .....	75
Bez pożegnania .....	77

## W GÓRY...

Trochę retrospekcji .....	83
Wyprawa na Małą Rawkę .....	84
Bieszczadzka Eskapada Weselna .....	84
Powódź stulecia .....	91
Na granicznym szlaku .....	93
Śladami sławnych ludzi .....	95
Księżyc nad Bieszczadami .....	97

## OSTATNI PŁOMIEŃ

Pasje zawodowe odżywiają .....	101
Przyprószanie ognia .....	103
W roli pedagoga .....	105
Refleksje z dystansu .....	106
Rehabilitacja .....	111

## OD CZŁOWIEKA DO CZŁOWIEKA

Kiedy człowiek się otwiera .....	115
Pionierzy, twórcy i legendy .....	115

## WILKA CIĄGNIE DO LASU

Na runo i na rogi! .....	143
"U wilków" .....	146

Obóz logopedyczny . . . . .	148
Druga wyprawa na Sokole . . . . .	148
Na Jeziorze Solińskim . . . . .	153
Rajd papieski . . . . .	153
Noście w sercu Polskę . . . . .	155
Konno z połonin do gwiazd . . . . .	157
"Ogniobranie" . . . . .	160

# Errata

Str.	Wiersz	Jest	Winno być
35	3 - 5	Do Lisznej dochodziły również, a raczej dopływały łodzią dzieci z Międzybrodzia, wsi położonej za Sanem, która...	Do Trepczy natomiast dopływały łodzią dzieci z prawobrzeżnego Międzybrodzia, wsi, która...
145	19	smogg	smog
145	29	z Osiedla Kochanowskiego	z Osiedla Błonie
150	8	rozpoczynaliśmy	rozpoznaliśmy

W OGIĘTY

Trzydzieści wierszy 37

Wyprawa na Małą Karę 44

Bieśki: szkole i Szkoła Wesoła 54

Powód? studnia 64

Na grzebień 75

Słodka, sławnych leśnik 83

Króki i pod Bieszczadami 87

OSIĄNI PIŁOZIEN

Przyrodnicze dozwolenia 101

Przyrodnicze dozwolenia 103

W roli przyrodnicze 105

Refleksje z dymem 106

Rehabilitacja 111

OD CZŁOWIEKA DO CZŁOWIEKA

Kiedy człowiek się orzeka 113

Promiery, twórcy i legendar 115

WILKA CIĄCNIĘ DO LASU

Na rękę i na nogę 143

"O wilku" 145

164

201











